CZŁOWIEK EPOKI

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

CENA 3 ZŁ
ROK XX NR 17 (1011)
24 KWIETNIA 1977 R.

150

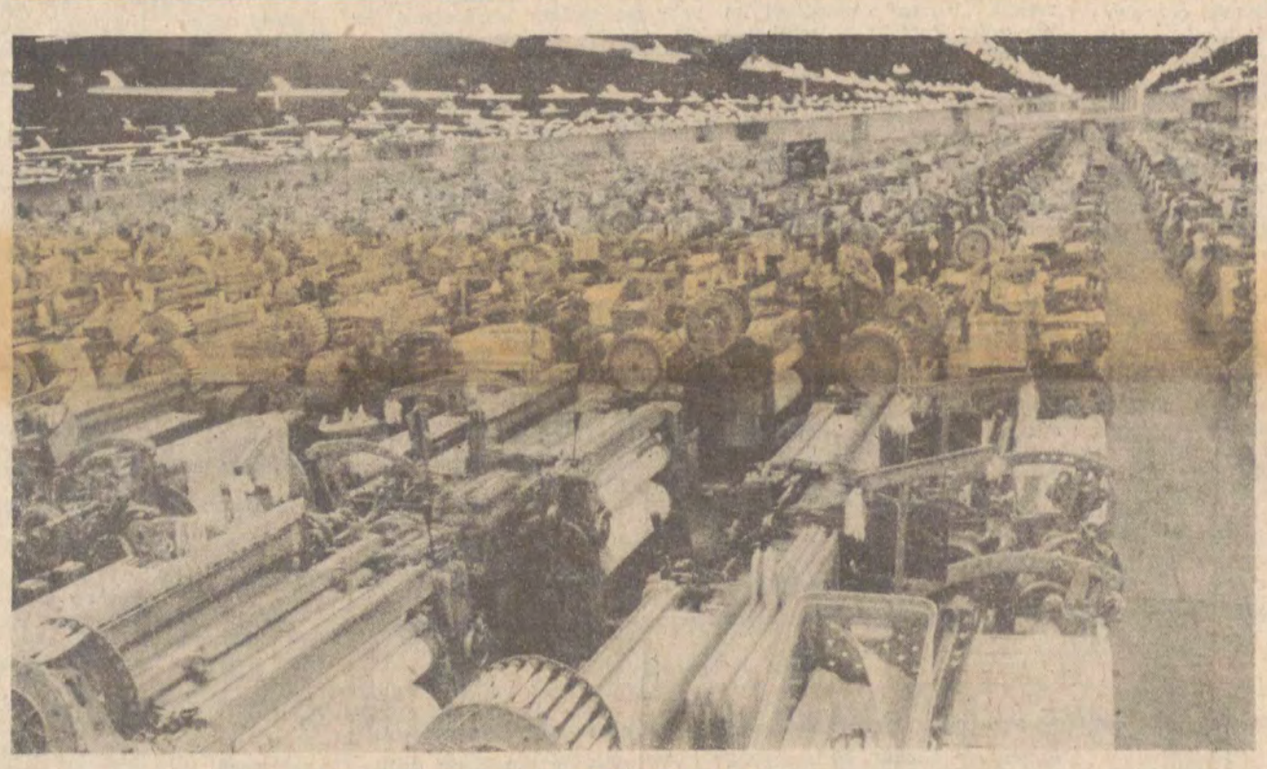

„UNIONTEX":

★ ROZMOWA Z DYREKTOREM FABRYKI MARIANEM KACZKOWSKIM
★ FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA
★ PLENER W FABRYCE
★ WARSZTATY TEATRALNE „PSTRĄGA"

CZYTAJ STRONA II, VI, VII

REPORTAŻ

WALDEMAR MAREK WIŚNIEWSKI

NA SPOTKANIE Z ŻUBREM

ŻUBR jest panem na Puszczy Białowieskiej, Puszczy Świsłockiej, Ladzkiej i wsiach kilkunastu. Stolica królestwa — Białowieża.

POCIĄG RUSZYŁ

Pierwszy raz tego dnia — o 4.20. Ma jeszcze dwa kursy z Białegostoku do Białowieży. Ludzi mało. Po drodze dosiadają. Strabla, Bielsk Podlaski, Cisówka, Gnilec, Dubiny i przed Hajnówką wszystkie siedzące miejsca zajęte. Obok siedzą — Katieńka, Nadia i Kola. Jadą do roboty w Hajnówce i gadają, gadają... Trzeba też dobrze słuchać. Grypsują. Język nie wiadomo jaki. Niby rosyjski ale nie do końca. Polski też nie. Najważniejsze, że można zrozumieć i podsłuchiwać.

— Katia, ty wczoraj wódkę pokupiła?
— Nu...?
— W monopole?
— Nie, w tom sklepie wozlie rzeźnika.
— Nie pomniu...
— Nu kak tyż... Na liewo przy cerkwi.
— Nie znaju. Kostia, a ty był tam?
— Wot, choliera baby!!! Pospat choczietsa a wy kak...

Dalszy ciąg na stronie 8

LOTNICTWO

WIESŁAW MACHEJKO

Świat widziany Z OKĘCIA

Tak się złożyło, że na wieży kontrolnej **Międzynarodowego Portu Lotniczego na Okęciu** byłem kilkanaście godzin przed wylądowaniem porwanego Boeninga-727. Wraz z grupą dziennikarzy z całego kraju obserwowaliśmy pracę kilkudziesięciu ludzi pełniących przez okrągłą dobę swój lotniczy dyżur. Dla jednych jest to obserwacja całego lotniska z oszklonej gabloty umieszczonej no którymś tam piętrze betonowej wieży, wydawanie dyspozycji bezpośrednich, dowodzenie placem lądowań i startów. Ci co są niżej w salach o zaciemnionych oknach, wpatrzeni w migocące światełka radarów błądzące po krajach Rzeczypospolitej i sąsiedztwie Stolicy wiodą samoloty do nas lub od nas.

Każdego dnia i nocy w powietrzu nad Polską znajduje się — około 300 maszyn różnej wielkości, od małych powietrznych sanitarek do kolosów w rodzaju Ił-62. Nie wszystkie naturalnie

Dalszy ciąg na str. 12

PLENER NA 150-lecie

Próby jednoznacznej definicji wszystkiego, co składa się na obraz współczesnego zakładu przemysłowego muszą być wycinkowe, niepełne. Wielkość produkcji czy jej nowoczesność, ludzie czy maszyny, budynki, obiekty socjalne? Prawdy o zakładzie nie mówią telewizyjne migawki i prasowe artykuły, bo za murami poszczególnych oddziałów odbywa się w każdej minucie tysiące czynności, dzieje się coś nowego, niezliczone obroty kół i przekładni napędzają maszyny, drżą fundamenty a powietrze pulsujące nieustannym stukotem i szumem nasyca się zapachem smarów i apretury. Ludzie przy maszynach wykonują pozornie jednostajne, precyzyjne ruchy — praca wymaga skupienia. Potrafią jednak śmiać się głośno w palarni czy stołówce, na zakładowej wycieczce po grzyby albo do teatru. Razem z maszynami i budynkami tworzą właśnie zakład, jak gdyby wszystkie te elementy nawzajem do siebie należały. Majster zmianowy zapytany czym jest jego własna fabryka odpowie co innego niż socjolog czy autor książek i na tym, między innymi, polega trudność definiowania istoty współczesnego zakładu przemysłowego. Jeśli mimo to próba taka zostanie podjęta — siłą rzeczy budzi zainteresowanie, prowokuje do dyskusji.

Na jubileusz 150-lecia założenia fabryki dyrekcja **Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „UNIONTEX"** podjęła, wspólnie z **Zarządem Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Łodzi** organizację pleneru malarskiego i rzeźbiarskiego na terenie zakładów. Inicjatywa miała na celu więcej niż okazjonalne uczczenie rocznicy; wyniknęła z konsekwentnie realizowanego przez UNIONTEX i plastyków **„Sojuszu Świata Pracy z Kulturą i Sztuką"**. Zakłady przyjęły rolę współczesnego mecenasa, choć z pewnością fakt zaproszenia artystów nie miał nic wspólnego ze „sztuką na zamówienie".

Dlatego może prace 10 łódzkich artystów — efekt pleneru, wystawione po raz pierwszy w świetlicy UNIONTEXU — prezentują bardzo indywidualne, niekiedy całkowicie odmienne widzenie tematu, z którym malarze i rzeźbiarze mieli okazję zapoznawać się podczas wizyt w zakładzie, spotkań i rozmów z robotnikami.

Plakacista **Janusz Wiktorowski** przedstawił kompozycję, która w syntetycznej formie odwołuje się do genealogii człowieka i jego pracy, a zarazem ukrywanych tęsknot za spokojem i ciszą: z rąk — korzeni wyrasta korona drzewa mającego zamiast liści motki przędzy; pośrodku całości wkomponowany został fragment pejzażu z nieodłącznym jeleniem. Podobnym skrótem posłużył się grafik **Andrzej Kabała.** Z właściwym sobie poetyckim wdziękiem wyrysował niesłychanie precyzyjnie owal mieszczący plan zakładu ,stylizowany na stare ryciny, fragment dekoracyjnego daszku nad wejściem do przędzalni, ludzkie twarze. Wszystkie te symbole złożyły się na kartkę ze starego albumu, żyją we wspomnieniach, przypominają o tradycji.

Helena Tchórzewska na dwóch pokazanych obrazach zmieściła całą mozaikę tematów i motywów zaobserwowanych we wnętrzu zakładu: fragmenty maszyn i sprzętów, naczynia z farbą, kolorowe wstęgi drukujących się tkanin, doniczkowe kwiaty. Płaski rysunek i swobodne zatłoczenie powierzchni obrazów sprawiają, że wywołują one skojarzenia z tkaniną zadrukowaną skomplikowanym wzorem. Myślę, że takie właśnie odczytanie — na zasadzie barwnej mozaiki — jest chyba najbliższe wrażeniu, jakie wywołuje na przybyszu z zewnątrz nowoczesny zakład przemysłowy i skomplikowane sprzężenie ludzi, maszyn, sprzętów, kształtów i barw, dźwięków i zapachów.

Pozostali artyści zaproponowali jeszcze inne „obrazy" UNIONTEXU, widziane przez pryzmat indywidualnego stylu i własnych doświadczeń. **Wiesław Śniadecki** pokazał imponujący zestaw akwareli z fragmentami architektury, portretami ludzi, nawet dzieci z zakładowego przedszkola. **Marian Kępiński** posłużył się najdalej chyba idącą metaforą: namalował rytmiczne, zgeometryzowane struktury odwołujące się do wrażeń i reminiscencji z kontaktów z fabryką. **Jan Lukasik i Edward Habdas** potraktowali zakład w kategoriach architektury w pejzażu, **Ryszard Hunger i Jan Iwaniuk** użyli metaforycznego i abstrakcyjnego skrótu. Rzeźbiarze: **Jan Martyka i Aleksander Hałat** zaproponowali całkowicie różne kompozycje, z których rzeźba Hałata wydaje się być doskonałą ofertą do zrealizowania w większej skali.

Plon kontaktów artystów — plastyków z zakładem nie jest imponujący. Założenia pleneru określiły liczbę prac i twórcy wywiązali się z zadania, choć może na tym właśnie polega przyczyna pewnej słabości wystawy (bo nie poszczególnych prac). Wydaje się na pozór oczywiste, że zetknięcie się z tak wielowarstwowym, ciekawym tematem powinno zaowocować o wiele obficiej — bo przecież w „Obrońcach Pokoju" inspiracje do wielu obrazów, grafik czy rzeźb można znaleźć niemal na każdym kroku...

Myślę, że łódzki plener trzeba traktować jako ważne doświadczenie, praktyczny sprawdzian realizacji programu kontaktów artystów i ludzi pracy. Malarski obraz UNIONTEXU na jubileusz 150-lecia nie jest pełny, bo taki być nie może, chociaż dlatego właśnie potrzeba kontynuowania akcji „Sojuszu" wydaje się tak bardzo oczywista.

ANDRZEJ MAJER

Warsztaty teatralne „Pstrąga"

W podjętej przed miesiącem uchwale IV Plenum ZŁ SZSP **„O dalszy rozwój kultury studenckiej w środowisku łódzkim** znalazł się punkt: **„Obecność studenckiego ruchu kulturalnego w społeczeństwie".** Autorzy uchwały mieli tu na myśli zwłaszcza współpracę z zawodowymi placówkami kulturalnymi i związkami twórczymi. Ale owa „obecność" nie może się jedynie ograniczać do kontaktów ze środowiskami twórczymi.

Dla członków Studenckiego Teatru **„Pstrąg"**, działającego od ponad 20 już lat przy Uniwersytecie Łódzkim, hasło obecności studentów w życiu kulturalnym miasta stało się pretekstem, punktem wyjścia do refleksji nie tylko nad scenariuszami i przesądami, które nagromadziły się wokół idei hasła, ale również szerzej: nad wzajemnym stosunkiem robotników i studentów.

Studenci z teatru „Pstrąg" uznali, że ich sztuka może okazać się dobrą płaszczyzną porozumienia. Zorganizowali więc tak w swym teatrze, jak i na terenie Zakładowego Domu Kultury przy **ŁZPB im. „Obrońców Pokoju"** „Warsztaty teatralne". Do udziału zaprosili młodzież robotniczą m. in. z Przyzakładowej Szkoły Zawodowej, aktywistów ZDK.

Hasło wychodzenia do środowisk nałożyło się zresztą w wypadku **„Pstrąga"** na dawne tradycje więzi tej sceny z zakładami pracy. Z pomocy **„Uniontexu"** korzystał zaś **„Pstrąg"** jeszcze w ubiegłym roku, przy okazji przygotowań technicznych do premiery „Graala" i wyjazdu do Anglii.

Jak pokazała seria 6 cotygodniowych spotkań (obserwowali je również przedstawiciele prasy), zarówno otwarta, niekrępująca forma (nie ma tu ani kart wstępu ani list obecności), jak i tematy „Warsztatów" realizowane przez elementarne ćwiczenia aktorskie, etiudy, improwizowane scenki mimiczne i ruchowe, doprowadziły do przekształcenia czegoś, co na pierwszy rzut oka może wydawać się błahą „zabawą w teatr" w głębszą formę rozmowy, porozumienia, poznania. Pod porozumieniem zewnętrznym: ruchowym i mimicznym wytworzyła się w czasie „Warsztatów" nieskrępowana, spontaniczna więź psychiczna. Tekst wzbogacił tę pierwszą, pogłębioną nić porozumienia, wyczulenia na to, co w działaniu teatralnym — przez wspólnie przeżywany wysiłek — tworzy się we wspólnocie przeżyć, w interakcji, w porozumieniu między ludźmi. Od ruchu (właśnie podczas „Warsztatów" młode robotnice z PSZ uświadomiły sobie, że ruch ciała jest zjawiskiem, które można kontrolować) przez tekst i dyskusje „Warsztaty" dojdą do punktu, w którym najważniejsze staną się idee. Punktem wyjścia będzie tu scenariusz nowego widowiska. Celem artystycznym „Warsztatów" będzie spektakl.

Tak więc ci, którzy dotąd tylko „słuchali o teatrze", „chodzili do teatru" mają szansę oprócz poznania ludzi i pracy w studenckim teatrze, współuczestniczyć w jego tworzeniu. „Pstrąg" umożliwi im nie tylko kontakt z osobliwym światem teatru, odprężenie po pracy w zakładzie, ale także rozbudzi inwencje twórcze, zrealizuje kulturalne aspiracje. W ten sposób studenci przeciwstawiają się modelowi kultury „dla robotnika" oderwanemu od rzeczywistych potrzeb i ambicji kulturalnych ludzi pracy.

Forma „Warsztatów" umożliwia konfrontację wyobrażeń o pracy robotnika z jego codziennością, odnalezienie tego, co jest wzajemnie cenione we wspólnym otoczeniu, poznanie i wymianę poglądów. Ale bez ośmieszonych już swego czasu gestów „poklepywania", pustego, pseudointeligenckiego kultu i zachwytu nad pracą przy maszynie...

Inspiratorami „Warsztatów teatralnych" są **Krystyna Piaseczna** i **Michał Czernaew,** którzy dotychczasowe spotkania również prowadzili. Ze strony **„Uniontexu"** o organizacyjny kształt troszczą się: dyrektor ZDK — **T. Gałecki** i **T. Pieniak,** która zapewnia także łączność z zakładowym radiowęzłem i gazetą. Ponieważ sposób się już obronił, jest szansa, że „Warsztaty" staną się spotkaniami masowymi, że nawiązana będzie rozmowa z możliwie pełną reprezentacją środowiska robotniczego.

„Warsztaty teatralne" organizowane wspólne z młodzieżą robotniczą ŁZPB im. Obrońców Pokoju" są naturalną konsekwencją określenia się 30-osobowej grupy teatralnej „Pstrąga" wobec współczesnej rzeczywistości: na „nie" w stosunku do haseł „sztuki dla sztuki", obojętności dla spraw ponadjednostkowych, bezideowości, która znaczy tyle co bezmyślność; na „tak" zaś — za społeczną aktywnością, łamaniem schematów, za szukaniem porozumienia z ludźmi, od których kształt Polski zależy i będzie zależeć.

TOMASZ SOLDENHOFF

MUZYKA

W AURZE BOHEMY

Nie wszystkie kierunki i style okazały się w sztuce jednakowo owocne artystycznie, nie wszystkie też mają samych tylko zwolenników. Co do weryzmu w muzyce, który bywa przyrównywany do naturalizmu w literaturze (przy całej ryzykowności takich porównań), to wśród części historyków muzyki i krytyków nie cieszy się on najwyższym uznaniem. Cóż z tego, kiedy dzieła werystów, głównie Pucciniego weszły niemal od razu do żelaznego repertuaru najwybitniejszych teatrów operowych świata, występują w nich chętnie najznakomitsi śpiewacy, a takiego powodzenia u publiczności mało kto się doczekał, jak właśnie Puccini.

Tak też jest i z „Cyganerią", powstałą przed osiemdziesięciu laty na kanwie wątków popularnej niegdyś książki Henri Murgera „Sceny z życia Cyganerii", od której nazwa „cyganów" przylgnęła na długi czas do braci artystycznej, żarliwie oddanej sztuce i pędzącej niezależny od mieszczańskich norm tryb życia — głodno i chłodno, lecz swobodnie. Zewnętrznym atrybutem „cygana" stała się na przełomie wieku malownicza czarna peleryna, znakomicie skrywająca wszelkie niedostatki stroju.

Wobec takich to, branych „wprost z życia" inspiracji zastosowanie nowego, swobodniejszego rytmicznie (rubata) języka muzycznego, lepiej przylegającego do akcji scenicznej, wydaje się czymś naturalnym, wyrażającym niejako „ducha czasu".

Tym, którzy „Cyganerii" jeszcze nie znają nie będę jednak streszczał dziejów miłości poety Rudolfa i hafciarki Mimi, są one zresztą, jak na konwencję operową, przedstawione raczej niesztampowo, zaznacza się w nich pewien rozwój wzajemnych uczuć od miłosnego oczarowania, przez erotyczną namiętność aż po — zbyt późne — uświadomienie sobie przez kochanka, czym jednak była dla niego odtrącona dziewczyna. Co prawda ten rozwój narasta raczej w warstwie muzycznej niż na scenie, raczej w interpretacji śpiewaczej niż w grze aktorskiej, ale mimo wszystko w operze (choć to też i teatr) życiowa prawda dzieła realizuje się (w moim odczuciu) głównie w artyzmie muzycznym. A z tym było na ogół dobrze, ale różnie w dwóch premierowych obsadach.

Jako Mimi Teresa May-Czyżowska zarówno wokalnie, jak i w interpretacji muzycznej stworzyła kreację... po prostu godną dotychczasowych, była równie niezawodna jak w całym szeregu poprzednich partii. Szkoda, że Delfina Ambroziak miała trochę kłopotów (w tym również intonacyjnych) w pierwszym akcie, później „odnalazła się" całkowicie i zabłysnęła kilkakrotnie pięknym i stylowym bel canto.

W pierwszej obsadzie partnerował Czyżowskiej (jako Rudolf) Franciszek Przestrzelski niezbyt fortunnie, nie panując nad techniką wokalną, mało nośnym dźwiękiem, co zwłaszcza ujawniało się w duetach z doskonale usposobionym Jerzym Jadczakiem (Marceli — w obu obsadach), którego baryton górował nad tenorem Przestrzelskiego. Również aktorsko nasz tak obiecujący tenor powiela stale tę samą sylwetkę, tę samą żywiołową chłopięcość. W tej roli duży krok naprzód zrobił za to Jan Kunert, który śpiewał bardzo wyrównanym głosem, precyzyjnie, niezawodnie w duetach, aktorsko powściągliwy i ujmujący.

W obu obsadach wystąpił Eugeniusz Nizioł (Schaunard), bez zarzutu wokalnie, z kulturą muzyczną i aktorską, doskonały zwłaszcza w scenach beztroskiej zabawy IV aktu. Jako Collin miał wiele pięknych momentów, obdarzony wspaniałym głosem Włodzimierz Zalewski, trudno jednak nie przyznać wyższości występującemu w tej roli w drugiej obsadzie Zdzisławowi Krzywickiemu, którego „pożegnanie z płaszczem" było prawdziwym majstersztykiem.

Debiutująca w roli Musetty Łucja Wierzbińska-Jóźwiak okazała się świetnie wyszkoloną, muzykalną śpiewaczką. Wprawdzie jej miły w brzmieniu głos ginął trochę na „średnicy" w większych zespołach i przebijał się dopiero w koloraturze, ale za to w bardziej sprzyjających okolicznościach IV aktu dał się poznać w całej swej urodzie. Debiut bardzo obiecujący wokalnie, mniej — aktorsko, a ściśle mówiąc — ruchowo, trochę zapewne z winy niefortunnego stroju, skracającego szyję i jakby przygarbiającego sylwetkę — co niekorzystnie odbijało się na tanecznych obrotach śpiewaczki, rozporządzającej zresztą doskonałymi warunkami scenicznymi.

Znakomicie jej partnerował w drugiej obsadzie młody Kazimierz Kowalski, który potwierdził swoje umiejętności wokalne i aktorskie, typu charakterystycznego, wykazane już w szkolnym przedstawieniu „Verbum Nobile".

W ogólnym przekroju drugie przedstawienie należy chyba ocenić jako bardziej udane, bardziej płynne i śpiewne, prowadzone przez dyrygenta pewniejszą ręką mimo kilku jeszcze niezborności pomiędzy sceną a orkiestrą, doskonale w obu przypadkach wypadł chór. Scenografia sugestywna i nieprzeładowana, wprowadzała, w klimat artystycznej dzielnicy dawnego Paryża. Reżyseria, jak się wydaje, szła po linii poszukiwania „złotego środka" pomiędzy utartą konwencją operową a bardziej realistycznym stylem teatru dramatycznego, co nie wszędzie udawało się jednakowo dobrze.

Z tym wszystkim, jak sądzę, łódzka „Cyganeria" powinna znaleźć uznanie u publiczności.

JERZY KWIECIŃSKI

Giacomo Puccini: „Cyganeria". Opera w czterech aktach. Kierownictwo muzyczne — Włodzimierz Kamirski. Inscenizacja i reżyseria Laco Adamik, scenografia Iwo Dobiecki, kierownictwo chóru — Zbigniew Pawelec. Oprócz zespołu Teatru Wielkiego w Łodzi udział wzięli: orkiestra Garnizonu Łódzkiego pod dyrekcją por. Zdzisława Borkowskiego i chór chłopięcy POSM I stopnia im. H. Wieniawskiego, pod dyrekcją Henryka Blachy.

INFORMACJE

MIĘDZYNARODOWA REWIA NA LODZIE w STOLICY

W dniach od 10 do 15 maja będziemy mogli podziwiać na warszawskim Torwarze słynną międzynarodową rewię na lodzie Holiday on Ice. Największą atrakcją tegorocznego programu tej rewii będą występy jednej z gwiazd współczesnego łyżwiarstwa figurowego, mistrza olimpiady, trzykrotnego mistrza świata i czterokrotnego mistrza Europy, reprezentanta Czechosłowacji — Ondreja Nepeli.

Zobaczymy także wielu innych znakomitych solistów, m. in. Teri Tucker, Milosa Mana, Alaina Herminjarda i Susan Michaud oraz kilkudziesięcioosobowy zespół baletowy składający się z łyżwiarzy reprezentujących blisko 20 krajów świata, w tym także Polskę.

LAUREACI KONKURSU NA SCENARIUSZ TV

14 kwietnia odbyło się w Warszawie wręczenie nagród laureatom konkursu zamkniętego na scenariusz sztuki telewizyjnej o tematyce antyalkoholowej. Organizatorami konkursu była **Naczelna Redakcja Widowisk Teatralnych Telewizji Polskiej i Zakład Badań nad Alkoholizmem Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie.**

I nagrodę otrzymał **Jerzy Grzymkowski,** II — **Maciej Z. Bordowicz,** III — **Władysław Terlecki,** a dwa wyróżnienia — **Ireneusz Iredyński** i pisarz łódzki **Władysław Orłowski.**

Cieszy nas, że w tym doborowym gronie nie zabrakło przedstawiciela naszego środowiska. Oczekujemy realizacji nagrodzonych i wyróżnionych widowisk na antenie TV!

ŁÓDZKI KSIĘŻY MŁYN

Łódzkie osiedle Księży Młyn usytuowane w dzielnicy Widzew zaliczane jest do najlepiej zachowanych XIX-wiecznych osiedli robotniczych w Europie. Decyzją władz wojewódzkich po przywróceniu budynkom ich dawnego stanu, ten swoisty skansen przekształcony zostanie w ośrodek działalności kulturalnej, który wzbogaci bazę lokalową placówek upowszechniania kultury i Muzeum Historii Łodzi.

W części budynków znajdzie się osiedle akademickie dla młodzieży szkół artystycznych.

TOMASZOWSKIE MUZEUM

W br. 50-lecie swojej działalności obchodzi Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim. Placówka posiada kilka działów i może poszczycić się unikalnymi eksponatami.

Muzeum powstało w 1927 roku z inicjatywy działaczy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

W czasie wojny Muzeum uległo zniszczeniu. Ocalały zaledwie 73 zabytki.

W chwili obecnej działalność Muzeum znana jest szeroko na terenie województwa piotrkowskiego.

Od 1962 r. działa przy Muzeum „Studium regionalne".

Od 11 lat Towarzystwo Przyjaciół Muzeum. Towarzystwo jest organizatorem wielu imprez m.in. prezentuje zbiory prywatne mieszkańców miasta.

II PRZEGLĄD ETIUD STUDENCKICH

W Rzeszowie odbył się II Przegląd Etiud Studenckich, Filmów Faktu i Filmów Eksperymentalnych.

Organizatorem i gospodarzem imprezy było „Kino Młodych 77", Dyskusyjny Klub Filmowy „Klaps".

Przeglądowi towarzyszyło ogólnopolskie seminarium, w którym wzięli udział twórcy, krytycy, działacze DKF oraz instruktorzy upowszechniania kultury filmowej.

Laureatami „Złotego Klapsa" zostali:

— w kategorii etiud studenckich — Janusz Kijowski — za film „ZK Sieradz",

— w kategorii filmów faktu — Witold Starecki za film „Spokojny dzień",

— w kategorii filmów eksperymentalnych — Piotr Szulkin za film „Copyright by Film Polski".

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: Archiwum

ANDRZEJ BLAJER

CZŁOWIEK EPOKI

22 kwietnia przypada 107 rocznica urodzin Włodzimierza Lenina, wybitnego przywódcy rosyjskiego i międzynarodowego proletariatu. Jego imię stało się trwałym symbolem zwycięskich idei Rewolucji Październikowej, a zarazem symbolem epoki największych przeobrażeń społecznych w historii świata. Wśród twórców naukowego socjalizmu Lenin był bowiem pierwszym, który przeniósł rewolucyjne treści marksizmu z płaszczyzny teoretycznej na grunt praktyki.

Był zarazem pierwszym teoretykiem polityki, zajmującej dotychczas (nawet w pismach Marksa i Engelsa) plan dalszy za ekonomiką i zagadnieniami społecznymi, jako że w dziedzinie politycznej przypisywano jeszcze zbyt wielką rolę samoczynnym rozstrzygnięciom społecznym. Również jako pierwszy, dokonał Lenin celowego oddzielenia zadania „zorganizowania rewolucji" od zagadnienia społeczno-ekonomicznych warunków, które byłyby dla niej najkorzystniejsze. Pod wpływem ewolucji sytuacji politycznej na świecie, jaka ukształtowała się w czasie trwania I Wojny Światowej, Lenin uznał, że objęcie władzy w Rosji, nie czekając „na dojrzenie" warunków ekonomicznych, jest obowiązkiem i historyczną koniecznością partii klasy robotniczej. I właśnie rewolucja, której dokonała stworzona i zorganizowana przez Lenina partia komunistyczna, pokazała dopiero dowodnie, co znaczy polityka, jako działanie dla zdobycia i utrzymania władzy proletariatu.

Geniusz polityczny Włodzimierza Lenina, energia i siła jego woli, dalekowzroczność i niezwykła wprost umiejętność przewidywania jak również podejmowania właściwych decyzji w odpowiednim momencie chwili dziejowej oraz bezkompromisowa konsekwencja w działaniu, przysporzyły jego postaci nimbu wielkości. W historiozofii niemarksistowskiej uważa się Lenina za jednego z tych „wielkich ludzi" Carlyle'a, którzy stali się „zbawicielami swojej epoki". Kryje się w tym tylko pozorna słuszność, bowiem heroistyczna koncepcja historii i roli odgrywanej w niej przez wielkie jednostki nie jest w stanie wytłumaczyć fenomenu wielkości Lenina, gdyż ten polegał na czymś zupełnie innym. Choć oczywiście nie można zaprzeczyć historycznej roli utalentowanych jednostek, to jednak rola ta nie polegała, jak chciał Carlyle, na „rządzeniu za pomocą siły" czy presji, lecz, jak zauważył Engels, na „inspirowaniu i przodowaniu".

Jednostka wyróżniająca się talentem wtedy dopiero stawała się przywódcą i pełniła historycznie doniosłą rolę, gdy potrafiła przekonać zbiorowość o słuszności swych idei, dać wyraz nurtującym ją potrzebom i uzasadnić jej dążenia. Również sam Lenin przeciwstawiał się ahistorycznemu pojmowaniu jednostki wybitnej i rozpatrywaniu jej roli jako funkcji talentu bez względu na układ stosunków społecznych. Historyczna rola tych jednostek była bowiem determinowana ich miejscem w strukturze socjalnej, ich zaangażowaniem po stronie walczących klas społecznych, udziałem w konfliktach klasowych. I tak też właśnie, uświadamiając sobie doniosłość całokształtu działalności politycznej Lenina, zarówno teoretycznej jak i praktycznej, co poniżej zostanie dowodnie wykazane, należy pojmować rolę, jaką on sam odegrał w historii ludzkości.

Świat, a zwłaszcza Europa, u progu XX wieku nie była Europą tych samych struktur społeczno-politycznych, które były dlań charakterystyczne w połowie ubiegłego wieku. Wśród licznych przeobrażeń o charakterze ilościowym, dokonujących się wewnątrz tych struktur, na czoło wybijały się takie zjawiska, jak zwielokrotnienie aktywności politycznej mas społecznych (w rezultacie upowszechnienia się praw wyborczych oraz oddziaływania potężnych bodźców ideologicznych), ostry konflikt między starą i nową ideologią, pojawienie się nowych koncepcji państwa oraz powstanie tzw. „społeczeństwa masowego". Były to symptomy kształtowania się nowej sytuacji w świecie końca XIX wieku, sytuacji nowej również dla klasy robotniczej, której liczebność wraz z umacnianiem się kapitalistycznej ekonomiki stale wzrastała. Rezultatem tych zjawisk było wyłonienie się nowej filozofii społecznej stanowiącej ostatni składnik nowej sytuacji w świecie. Tak też należy rozpatrywać marksizm — jako wynik a nie przyczynę tej nowej sytuacji.

Idee naukowego socjalizmu, intensywnie popularyzowane, stawały się coraz łatwiej przyswajalne dla szerokich rzesz robotników, ale koncepcje dotyczące walki klasowej, rewolucji socjalistycznej i konieczności ustanowienia dyktatury proletariatu musiały być rozważane ściśle w kontekście aktualnej sytuacji historycznej, zwłaszcza tej, jaka wyłoniła się na początku XX wieku. Teoretyczne ustalenia twórców naukowego komunizmu musiały być więc stale rozwijane i wzbogacane oraz konfrontowane na płaszczyźnie praktyki. Zadania tego podjął się i konsekwentnie je realizował lewicowy odłam rosyjskiego ruchu robotniczego z W. I. Leninem na czele. Nietrudno zauważyć, iż spośród wielu różnorodnych rozwiązań, które pojawiały się w koncepcjach ówczesnych propagatorów i interpretatorów idei socjalistycznych, jedynie teorie Lenina stanowiły w całym tego słowa znaczeniu konkretną odpowiedź na wyłaniające się zewsząd, na przełomie XIX i XX wieku, nowe okoliczności.

Pierwszym, wielkim osiągnięciem Lenina było przedarcie się przez ewolucyjny labirynt wspomnianych koncepcji. Wprawdzie już Karol Marks w swojej „Krytyce programu gotajskiego" z 1875 roku ostro atakował gradualizm Niemieckiej Partii Socjalistycznej, podkreślając, że przejście od kapitalizmu do socjalizmu można osiągnąć jedynie za pośrednictwem dyktatury proletariatu, lecz dopiero Lenin wypracował metody rewolucyjne i stworzył w ten sposób z marksizmu nową naukę dla nowego wieku.

Podstawą analizy kierunków rozwoju społeczno-politycznego była dla W. I. Lenina materialistyczna wykładnia pojmowania dziejów. Jego rozprawę krytyczną „Co robić?" (1903 r.) można traktować jako epilog filozofii politycznej poprzedniej generacji, a zarazem prolog działania politycznego następnego pokolenia. Zarówno w tej pracy jak i w dwóch kolejnych rozprawach: „Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej" (1905 r.) oraz „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu" (1916 r.), sformułował między innymi dwie główne zasady rewolucyjnego marksizmu, do których ciągle powracał i na których opierało się jego dzieło.

Pierwsza z tych zasad głosiła, iż „bez teorii rewolucyjnej nie może być ruchu rewolucyjnego", druga z kolei podkreślała, iż polityczna świadomość klasy rewolucyjnej nie może liczyć na „spontaniczny" postęp, to znaczy, że w sposób żywiołowy proletariat może sam wznieść się co najwyżej do poznania własnych dążeń ekonomicznych i do określenia utopijnych wizji socjalizmu jako całkowitego przeciwieństwa ustroju kapitalistycznego. Przyczyn tego, że proletariat nie wznosi się samodzielnie ponad ekonomiczną samowiedzę, Lenin upatrywał w dwóch zjawiskach: przede wszystkim w dominacji ekonomicznej klasy panującej, z której rekrutowali się w swej większości twórcy kultury, zapewniając presję ideologiczną swej klasy wobec mas pracujących oraz po drugie, w służebnej roli państwa wobec klas posiadających. Zatem zarysowane przez twórców marksizmu przejście proletariatu od stanu klasy „w sobie" do stanu klasy „dla siebie", czyli uświadomienie sobie przezeń własnych historycznych zadań, nie było dla Lenina przejściem od ideowej próżni do wypełnienia świadomością, lecz przechodzeniem od świadomości nie wykraczającej poza światopogląd burżuazyjny do naukowej świadomości socjalistycznej.

Lenin, zdając sobie sprawę, że świadomość tę masy mogą przejąć jedynie z zewnątrz, stanął na stanowisku konieczności stymulowania przemian rewolucyjnych świadomą i organizacyjną działalnością samych ludzi oraz przyswajania ruchowi jego rewolucyjnych celów, jak również tworzenia zdolnej do przewodzenia masowemu ruchowi robotniczemu zorganizowanej, rewolucyjnej awangardy. Uwzględniając warunki panujące na początku XX wieku, które w sposób istotny różniły się od tych z połowy XIX stulecia, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę charakter zorganizowania burżuazji światowej, Lenin wysnuł wniosek, iż klasa robotnicza może przeciwstawić się istniejącemu systemowi tylko wówczas, gdy będzie dysponować wyższą formą organizacji politycznej, którą miała być właśnie partia proletariatu. Koncepcja tej partii była konsekwencją leninowskiego pojmowania procesu historycznego, uosobieniem dialektycznej jedności czynnika obiektywnego i subiektywnego, jedności naukowego poznania i rewolucyjnego działania. Mówiąc inaczej — partia proletariacka stanowiła jedność trzech elementów: rewolucyjnej ideologii, prowadzącej do celu taktyki i określonej struktury organizacyjnej warunkującej sprawne funkcjonowanie dwóch pierwszych członów. Uwzględniając zaś to, co zostało już podkreślone wyżej, tak pojęta partia winna grupować w swym kierownictwie ludzi zajmujących się zawodowo działalnością intelektualną i rewolucyjną, by w ten sposób była w stanie wnieść świadomość socjalistyczną w szeregi ruchu robotniczego.

Struktura i organizacja partii miała, według Lenina, umożliwić rozstrzyganie przez nią na korzyść proletariatu sytuacji rewolucyjnej. Wiedząc doskonale, iż przesłanki obiektywne tej sytuacji (ekonomiczne i socjologiczno-historyczne — kryzys drążący klasy panujące i ich system władzy politycznej oraz powszechne niezadowolenie społeczeństwa) są nie wystarczające do przekształcenia się sytuacji rewolucyjnej w rewolucję, Lenin położył szczególny nacisk na konieczność istnienia jeszcze przesłanki subiektywnej, którą jest „zdolność klasy rewolucyjnej do rewolucyjnych akcji masowych, dostatecznie silnych by złamać (lub nadłamać) stary rząd, który nigdy, nawet w okresie kryzysów, nie „upadnie", jeśli się go „nie strąci". (W. I. Lenin: „Krach II Międzynarodówki").

Na zakończenie nie sposób nie podkreślić znaczenia silnej i niezwykłej osobowości Lenina i jego geniuszu rewolucyjnego, które to cechy umożliwiły mu przejęcie władzy w Rosji, kiedy nadszedł właściwy moment. Przecież rewolucja, jak zresztą przewidywał w „Kapitale" Marks, winna była nastąpić w krajach wysoko rozwiniętych, takich jak Niemcy, Anglia, bądź Francja, a nie w zacofanej, na wpół feudalnej Rosji. I tu właśnie ujawnił się w pełni geniusz polityczny Lenina, gdy zakwestionował schematyczne stosowanie do warunków rosyjskich marksowskich analiz kapitalizmu zachodnioeuropejskiego, stwierdzając, że konieczność historyczna realizuje się w rozmaitych formach, zależnie od warunków bytu i dotychczasowej historii narodów. Właśnie to stwierdzenie jest w dobie współczesnej niezwykle aktualne, zwłaszcza w odniesieniu do wielu krajów Trzeciego Świata.

Można dziś nie bez racji stwierdzić, iż rewolucyjny marksizm, zarówno jako doktryna polityczna, jak też jako ruch polityczny, był dziełem Lenina, i że dzieło to dało początek nowej epoce społecznego rozwoju świata. O przywódcy rosyjskiego proletariatu można powiedzieć, że wprowadził do doktryny i praktyki rewolucyjnej porządek, metodę i autorytet, które dotychczas należały do prerogatyw rządów i w ten sposób położył fundamenty pod pierwsze na świecie państwo socjalistyczne. Marksizm stał się więc, dzięki Leninowi, jedynym systemem politycznym, który jest tak prężny, dynamiczny i wszechstronny w swym oddziaływaniu na wszystkie narody kuli ziemskiej.

NIE TYLKO HISTORIA

MAGIA KLEJNOTÓW

Lżejszy kaliber piśmiennictwa historycznego przedstawia gamę rozmaitych gatunków. Niegdyś, kiedyśmy uważali, że tak zwany „masowy" czytelnik ceni sobie przede wszystkim lekkostrawną papkę, podkolorowaną wedle potrzeb chwili — dzisiejszej rzecz jasna, a nie minionej — nasze domy wydawnicze serwowały nam taśmowo produkowane „popularniaki". Robiło się je prościutko, tak jak bułki. Brało się trzy poważne książki i robiło z nich czwartą — niepoważną i wtórną, oryginalną jedynie o tyle, o ile ściągnięte od innych tworzywo dało się zlepić przy pomocy tak zwanego (wówczas)... sosu. Mimo oporów ze strony tak wydawców, jak wyspecjalizowanych chałturzystów historycznych, ten rodzaj popularnego pisarstwa historycznego coraz szybciej odchodzi w niepamięć. Kształtują się nowe wzory historycznych książek, obliczonych na zaciekawienie czytelników, których nie waża się już za zbiorowisko niedouczków o bardzo ograniczonych możliwościach percepcyjnych. Tak zwany „szeroki" — ukochane to słowo wielu wydawców, autorów i recenzentów — czytelnik sam zresztą doskonale wie, po którą książkę sięgnąć, a po którą nie i kieruje się tu jakże często bardzo trafnym — również z poznawczego punktu widzenia — rozeznaniem.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza miała owego „nosa", kiedy zdecydowała się na wydanie książki pań Bożeny i Róży K r z y w o b ł o c k i c h. Miały go też i autorki, skoro pokusiły się o napisanie książki o... drogich kamieniach. Powiecie: któż dzisiaj ma z nimi bliżej do czynienia? Prawda, ale któraż z pań się nimi w ten czy inny sposób nie interesuje? „Magia kolejnotów" pań Krzywobłockich jest właśnie książką o klejnotach: o tym, czy one są pod względem swych cech fizykalnych, o tym czym były w różnych historycznych epokach w kulturze. Książka została bowiem napisana przez parę specjalistek: mineraloga i historyka. Mineralog opowiedział nam, czym są naprawdę owe diamenty, beryle, opale, topazy, szafiry, rubiny i inne szlachetne materiały, używane do jubilerskich wyrobów, kiedy, jak i gdzie je wydobywano, obrabiano, przetwarzano. Historyk zrelacjonował zaś dlaczego tak się a nie inaczej z tymi klejnotami działo, opowiedział o ich znaczeniu w ludzkiej kulturze od czasów najdawniejszej starożytności po dzisiaj. W ten sposób powstała książka niezmiernie oryginalna i zarazem ciekawa: oryginalna, bo któż się tymi sprawami dotąd zajmował i o nich pisał? Ciekawa — to już z pewnością sprawa nie tylko tematu, ale i pisarskiego talentu autorek.

Jedną z nich — pierwszą w kolejności alfabetycznej — znamy bardzo dobrze jako historyka i politologa, autorkę licznych rozpraw naukowych i wielu prac popularnych z nowożytnej historii Polski, wśród których poczesne miejsce zajmuje obszerna, wydana przed kilkoma laty monografia o polskiej Chadecji, dzieło oparte o bardzo szeroką kwerendę źródłową, nasycone mnóstwem nie znanych dotychczas nauce szczegółów, a jednocześnie przynoszące syntetyczny obraz ruchu politycznego, który zaznaczył się na mapie politycznej międzywojennej Polski. Skala zainteresowań doprawdy ogromna, ale chociaż dobrze — jak mi się wydaje — znam Bożenę Krzywobłocką, nigdy nie spodziewałem się, że jakie szczęśliwe licho podsunie jej pomysł zajęcia się akurat... historią klejnotów.

Myślę, że „Magia klejnotów" nie jest książką napisaną przez panie jedynie dla pań. Jest to z pewnością książka dla tak zwanego „każdego", dla wszystkich, których zainteresują opowieści o szlachetnych kamieniach, ich zadziwiających dziejach, o przypisywanych im nadnaturalnych właściwościach. Zjawisko magii klejnotów ma charakter historyczny: jest integralnym składnikiem pewnych kultur, odgrywa w nich istotną rolę, jak na przykład w starożytnym Egipcie. Ale nie tylko wtedy — książka pań Krzywobłockich daje na to liczne przykłady z dawnych i nowszych czasów. A jednak — głośno się zastanawiam — jest to mimo wszystko książka bardzo... damska. Bo gdybym pisał ją ja albo np. Jurek Wilmański, nie mówiąc już o Lucku Włodkowskim, to z pewnością byłoby w niej mniej o owej magii, a więcej o całkiem przyziemnym... przemycie, nielegalnym i na pół legalnym handlu i tak dalej. Byłyby tu — gdyby to pisał Włodkowski — autentyczne rozmowy z nie mniej autentycznymi pracownikami Urzędów Celnych i niewątpliwie autentycznymi osobami, zainteresowanymi bynajmniej nie platonicznie jednym z obowiązujących u nas Kodeksów. Ale byłaby to wówczas — nie ma co do tego wątpliwości — zupełnie inna książka, traktująca o sprawach niestety już wcale nieźle znanych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TARAS NA PARNASIE

I

Czy z was ktoś, bracia, znał Tarasa?
Gajowy z niego bez bojaźni.
Na chleb zarabiał u Panasa,
Żył w Puciawiszczach koło łaźni.
Człowiek to był poczciwy wielce,
Co się nieczęsto teraz zdarza,
Nikt go nie zoczył przy butelce,
Jakby poprzysiągł u ołtarza.
Szanował pan, ceniła pani,
Gdyż spełniał dobrze swe zadania,
Wójt ani razu nie przyganił,
Strzegł rojstów od samego rana.
Z pukawką zawsze gdy o brzasku
Ruszał na obchód pańskich włości —
Za pas siekierę — z byle lasku
Strzelał do ptaków, ot, z radości.
Czy dużo chodził, czy też mało —
Nieważne, lecz razu pewnego
W borze nieszczęście go spotkało...
Oto są własne słowa jego...

II

„W dzień święta Kosmy i Damiana
Poszedłem w bór strzelać cietrzewie,
Wstałem ja wtedy bardzo z rana,
Kur chyba piał, już teraz nie wiem.
Kroczę więc sobie powolutku,
Że czasu dość, to się przysiadło
Na pniu, aż nagle — łup-łup-łupu,
Jak gdyby zwierzak wpadł w mokradło.
Cap za dwururkę — pyk! — niestety,
Pach! — nabój znowu nie wypalił!
Oczom nie wierzę, lecz... o rety,
Zza świerków niedźwiedź ku mnie wali!
Chłop ze mnie — co tu gadać — dzielny,
Przecie zadrżałem niczym trzcina,
Zęby mi dzwonią, pot śmiertelny...
Aż patrzę — nadzieja jedyna! —
Na wprost mnie złamana sośnina!

III

Skoczyłem... lecz nie tam, gdzie trzeba.
Czułem, jak na dno jamy lecę.
W coś uderzyłem, wielkie nieba!
Dotknąłem czoła — guzem świecę!
Nie pomnę wcale, trwało krótko
Czy może długo to lecenie!?
Ocknąłem się jak spity wódką...
Dzień jaśniał, gdy poczułem ziemię.
Powstałem z ziemi, raczej z błota,
Za pozwoleniem — niby świnia —
Do życia przeszła mi ochota,
Takie to zbytki los wyczynia!
Skrobię się w głowę koło ucha,
Na szczęście miałem garść tabaki,
Nie żałowałem sobie niucha —
Dzień bez niej zawsze jest nijaki.
Tak sam się jakoś ocuciłem.
Gdzież bym pamiętał o niedźwiedziach!
Przez ramię strzelbę przewiesiłem
I baczę, aby nie zjeść śledzia.

IV

Patrzę, dalibóg! Jak tam ładnie!
Maki i róże kwitną pięknie...
Ktoś namalował obraz składnie?
Czy rzucił na trawę sukienkę?
Wszystko się mieni, są i ptaki,
Wdzięczniej śpiewają niż słowiki...
Lecz mi się zdaje, że bies jakiś
Tutaj mnie przywiódł w ostęp dziki.
Cóż miałem robić? Rozdziawiłem
Na oścież gębę, gdym go zoczył.
Przyszedł czy sfrunął? Może śniłem?
Lecz nie! Ten chłopiec ku mnie kroczył.
Krągły i hoży, miał kędziorki,
Jakby barana na łeb włożył,
Oczki świecące jak paciorki,
Z kołczanem łuk na grzbiet nałożył.
„Dokąd i skąd ta droga wiedzie?"
— spytałem tego chłopca grzecznie.
„Z tamtego świata, panie, jedziesz,
Na Parnas tędy jedź bezpiecznie".
I rzekłszy to, uniósł się w górę,
Na skrzydłach chyżo się oddalał,
Nie wiedział zasię w stronę którą
Ma iść nasz Taras — strach nie małał.

V

A to dopiero! Cóż to znaczy
Parnas? Ki diabeł, do kaduka!
Chwyciwszy kij więc jak się patrzy
Ruszyłem, by Parnasu szukać.
Uszedłszy dziesięć wiorst złej drogi
Stanąłem zerkam — jaka góra!
Pod nią zaś kłębi się tłum srogi,
Że ją zasłania niczym chmura.
Podszedłem bliżej: co u licha?
Ni to pospólstwo ni to państwo,
A każdy szpetnie się rozpycha,
Wszyscy pod górę, a to draństwo!
A czynią rejwach jak w bóżnicy,
Każdy by żywcem zjadł drugiego,
Biegną co sił nie po próżnicy,
Lecz by na górze dopaść swego.

VI

Widać uczeni, bowiem książki
Taszczą na grzbiecie, pot z nich spływa,
A ścieżka na szerokość wstążki,
Więc jeden głośno się odzywa:
„Ostrożnie, bracia, ja was błagam!
Niosę felieton! Miejcież względy!
Mam numer „Pszczoły" — do nóg padam!
Ach, wiedzcie, mnie szanują wszędy!
A jeśli mnie zlekceważycie,
Ja was w gazetach skrytykuję,
Bom wszystkich gazet założyciel...
Mój cios sam Gogol jeszcze czuje!"
Spoglądam — a któż to tak łaje?
Kurdypel jakiś, ale śmiały,
Niby to pan (a nuż udaje?)
A wrzeszczy niczym oszalały.
Niech będzie pan. Wielki wór dźwiga,
Jak domokrążca objuczony,
W nim całe rzędy książek widać,
Wór nimi po wierzch wypełniony.
I by mu ulżyć, za nim spieszy
Kolega, co wór podtrzymuje,
Sam z własną gramatyką bieży,
Każdy ją w szkole uczniak kuje.

VII

Nie dziw, że społem w głos krzyknęli,
Tłum nieco się rozstąpił z tyłu
I niczym ptaki przefrunęli...
To czterech tęgich zuchów było!
Boć przyznasz — poczet prawie boski:
Mickiewicz, Puszkin, Kochanowski
I Gogol — szybko nas minęli,
Na Parnas pusząc się pomknęli.
Cóż mówić — wielu się zebrało,
By przedrzeć się na szczyt Parnasu,
Mnóstwo hałastry, panów mało...
Jak wszędzie jest za naszych czasów.
Co tu zatajać — powiem prosto:
Ja też się przeciskałem z wprawą,
Pchałem się naprzód całkiem ostro,
Na górę się wspinałem krwawo.

VIII

No wreszcie się wdrapałem z trudem,
Gmach taki jak dwór pański stoi,
Tyn go odgradza jakby murem,
Więc złodziej tutaj nie nabroi.
A po dziedzińcu świnie chodzą,
Krowy i kozy, ba! barany,
Bogowie zasię w gnoju brodzą,
Hodują bydło, orzą łany.
I w kości parnasowcy grają,
Młódź sama, ot, chłopcy-podrostki,
Kopiejek zaś którzy nie mają
Grają o drtyczki również w kostki.
Zalazłem wreszcie i do chaty,
Ileż w niej, rety, bogów było,
Pomyślałbyś — to są sołdaty
W koszarach — tylu, aż niemiło!

IX

Czy ja to śnię, czyżby na jawie?
Taras zdumiony oczy mruży,
Jak gdyby w karczmie siadł na ławie —
Ten nuci, plecie, fajkę kurzy...
Bo przecie widzi: szewcy szyją
Przepiękne dla bogiń chodaki,
Boginie wcale się nie kryją,
Że piorą bogom strój wszelaki.
Tam Saturn, mocząc łyko w wodzie
Zniszczone swoje łapcie plecie,
A że w niejednej był przygodzie
Dość łapci zdarł chodząc po świecie.
Neptun zaś oporządza sieci,
Oścień na żerdzi osadzając,
Przy nim robotne jego dzieci
Podrywki zręcznie naprawiają.

X

Masz tobie — bójka. To za bary
Mars z Herkulesem się chwycili.
Wielce ucieszył się Zeus stary,
Widząc, jak z sobą, ach, walczyli.
Zeus rozłożywszy się na piecu,
Siermięgę wnet pod głowę złożył,
Grzał stare kości, bo się źle czuł,
W brodzie gdy iskał — sen go zmorzył.
Co za pięknisia? Och, Wenera!
Przed lustrem jeno wierci zadkiem,
Policzki bieli, włos naciera,
Że chciałbyś dotknąć ją przypadkiem.
Amor z dziewkami wciąż żartuje:
To chustkę z głowy ściągnie z nagła,
To któraś w usta pocałuje,
To na harmonii szybko zagra.
Piosenki nimfom rzewne śpiewa.
Oko przymrużyć? Żadna sztuka!
Więc żadna nań się nie pogniewa,
Rada by z nim amorów szukać.

XI

Aż górą nagle coś wstrząsnęło:
To Zeus na piecu się poruszył,
Ziewnął, przeciągnął się — gruchnęło,
Gdy wrzasnął: „Głód mnie setnie suszy!"
Natychmiast zręczna dziewka Hebe,
Co bogom za służącą była,
W mig obdzieliła wszystkich chlebem,
Gorzałką czarki napełniła.
Do nieba za najmitę wzięta,
By warzyć jadło, prać, omiatać,
Czy kto o płacy jej pamięta?
Bo moc tu trzeba się nalatać.
Niełatwo tylu ich nasycić!
Wszyscy niebiańscy wnet przybyli,
Na chleb jak sroka w kość patrzyli,
Nie byli, widać to, obyci.
Bogowie siadłszy zaś czekali:
Co Hebe na stół — do gęb brali.

XII

Przysmaków sporo: wpierw kapusta,
Za nią szedł kulesz ze skwarkami,
Zupa z krupami potem tłusta...
Ale się częstowali sami!
Kisiel następnie. I żur chłodny,
I kasza, co tłuszczem ocieka.
Gęsina... Choć byś nie był głodny,
To też skusiłaby człowieka.

A Hebe gdy na stół kiełbasy
Podała, i owsiane bliny,
Ślinka pociekła: „To mi czasy!"
Nie miał nasz Taras tęgiej miny.
Bogowie zaraz pić zaczęli,
Z dzbana gorzałkę rozlewają,
Podpiwszy sobie pieśń huknęli
Jak w karczmie chłopi tak śpiewają.
Bachus, nie licząc się zupełnie,
Zaczął bezecne swe przyśpiewki,
A jako że miał nieźle we łbie
Zawstydził łatwo wszystkie dziewki.
A Zeus napity prawie pada,
Na nogach ustać już nie może,
Chce coś powiedzieć, z trudem siada...
Taki to, bracia, sprośny bożek!
Mnie o tym mówić — nie należy,
Przecie... Czyż można to powtórzyć?
Kto chętny, niechaj mi uwierzy.
Lubił pohulać, życia użyć!

XIII

Gdy się najedli i popili
Od stołu syci ledwie wstając,
Dmuchnięto w dudy w pewnej chwili,
Bogowie pląsać zaczynają.
Wenera, wziąwszy chustkę, pierwsza
Ruszyła skakać „miecielicę",
A piękna była trzeba wiersza,
By w rymach oddać tę dziewicę.
Czerwona cała, krągła w biodrach,
Oczy, ot piasty, w chłopskim kole,
We włosach wstążka niczym modrak,
Że bogom marzą się swawole.
Czarki gorzałki Amor chwycił,
I nagle zrobił się weselszy —
Miałżeby dziewczyn nie zachwycić,
Gdy grając w takt był jeszcze śmielszy?
Neptun z Najadą, wprost pięknisią,
Poszedł w prysiudy rżnąć kozaka,
Stary jegomość, to byś przysiągł,
A kipi krew jak u chłopaka!
Jupiter z Westą, spójrz, u boku,
Puścił się w tan, staruch zgrzybiały,
Jak narzeczony w dziarskim kroku
Objąwszy młodą, nader śmiały...
Mars zaś wyskoczył w nowych butach,
Rozrzutny, gdzieżby ich żałował!
Jakby zamienił się w koguta,
Tak skakał, tupał i tańcował.
Po prawdzie, każdy z bogów szalał
I hulał nie do powstrzymania,
Tymczasem który pałę zalał
Pod ławkę kładli go do spania.

XIV

A gdy „skakuchę" dudarz zagrał
W Tarasa jakby coś wstąpiło,
Powietrza pełne płuca nabrał
I śmignął w tan aż zadudniło.
Chociaż miał łapeć połatany,
Tupiąc nim chwacko, bogów zdumiał,
Nie znane były takie tany,
Które nasz zuch pokazać umiał.
Jupiter zerka nań zdziwiony,
W rytm dudów klaszcząc w dłonie składnie,
Aż przerwał mu zaciekawiony
I tanecznika tak zagadnie:
„Skąd żeś to, dzielny przyjacielu?
Czego tu szukasz na Parnasie?
Możeś ty pisarz, jakich wielu?"
„Ej, nie, mój panie gdzieby zasię...
Jam w Puciawiszczach jest gajowy,
Wyłazłem z chaty w bór o świcie,
W czas tu doszedłem południowy —
I właśnie tutaj mnie widzicie.
Panoczku, bądźże mi łaskawy,
Zawiedź do chaty lub wskaż drogę.
Ja na Parnasie nie mam sprawy,
A głodnym, że zjeść wołu mogę"...

XV

Zeus skinął — migiem zwinna Hebe
Do misy z mlekiem krup nalała,
Obdarowawszy jeszcze chlebem,
Rzekła mi: „Jedz" — na stół podała.
Tedy najadłszy się do syta,
Podziękowałem bogom grzecznie,
Torbę na plecy i chcę zmykać,
Nie siedzieć przecie mi tu wiecznie.
Ale zefirki mnie chwyciły,
Jeden za pas, drugi za rękę,
Jak ptaszki z sobą potaszczyły.
Przez boski Parnas, gdziem miał mękę.
Niosły na skrzydłach niczym wichry,
Aż się znalazłem w naszym borze,
I patrzę: wieczór w koło cichy,
Młodzika lśni na niebie rożek..."
Taras się od tej pory leni,
Nigdy o świcie w las nie chodzi,
Kto kradnie drzewo, ten to ceni,
A innym chyba też nie szkodzi.
Takie przygody miał nasz Taras.
Sam mi je niegdyś opowiadał,
A że tak było, świadczył Panas,
Ufajmy więc, że prawdę gadał.

PRZEŁOŻYŁ:
STANISŁAW KASZYŃSKI

OD TŁUMACZA

„Taras na Parnasie" jest anonimowym poematem białoruskim, powstał w latach czterdziestych XIX wieku, znany z licznych odpisów ręcznych, co świadczy o dużej popularności. Po raz pierwszy był drukowany w 1889 roku. Obecny tekst, z którego dokonano przekładu, powstał z kilku wersji. Jest to pierwszy przekład w języku polskim tego poematu, wysoko cenionego w literaturze białoruskiej. Do pracy nad tym przekładem zachęcił mnie Jan Huszcza, z którego pomocy wiele skorzystałem.

POLITYKA

JAK NARODZIŁ SIĘ APARTHEID?

20 listopada 1963 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych uchwaliła DEKLARACJĘ W SPRAWIE ZLIKWIDOWANIA WSZELKICH FORM DYSKRYMINACJI RASOWEJ. Artykuł 1 tej Deklaracji głosi:

„Stosowanie wobec ludzi dyskryminacji z powodu ich rasy, koloru skóry lub pochodzenia etnicznego stanowi obrazę godności człowieka i powinno być potępione jako zaprzeczenie zasad Karty Narodów Zjednoczonych, jako pogwałcenie praw człowieka i podstawowych wolności proklamowanych w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, jako przeszkoda w utrzymywaniu przyjaznych i pokojowych stosunków między narodami, jako czynnik mogący zakłócić pokój między ludźmi i naruszyć ich bezpieczeństwo".

Ogółem **Organizacja Narodów Zjednoczonych** przyjęła 128 rezolucji, w których przeciwstawiano się apartheidowi i dyskryminacji rasowej. Również na XXXI sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ debatowano nad polityką apartheidu i dyskryminacji rasowej oraz wyrażono potępienie dla tego rodzaju polityki i praktyk.

W sprawie kolonializmu, dyskryminacji i segregacji rasowej wypowiedziała się **Organizacja Jedności Afrykańskiej** w rezolucji przyjętej na konferencji założycielskiej, która odbyła się 25 maja 1963 roku w Addis-Abebie. W rezolucji tej szefowie państw i rządów krajów afrykańskich stwierdzili między innymi:

„...że terytorium Afryki Południowo-Zachodniej stanowi terytorium afrykańskie znajdujące się pod mandatem międzynarodowym, i że wszystkie próby anektowania go przez Republikę Południowej Afryki będą uważane za akt agresji...

Potwierdza ponadto niezaprzeczalne prawo narodu Afryki Południowo-Zachodniej do samookreślenia i niezależności...

...popiera ruch narodowy w Rodezji południowej...

Postanawia zerwać stosunki dyplomatyczne utrzymywane przez państwa afrykańskie z rządem Republiki Południowej Afryki".

Poza tym **Organizacja Jedności Afrykańskiej** postanowiła:

„Zaapelować do wszystkich rządów, które jeszcze utrzymują stosunki dyplomatyczne, konsularne i gospodarcze z rządem południowo-afrykańskim, aby zerwały te stosunki i zaprzestały wszelkiej innej działalności która mogłaby stanowić zachętę do uprawiania polityki apartheidu".

APARTHEID stanowi system segregacji rasowej, stanowiący oficjalną politykę stosowaną w Republice Południowej Afryki, Rodezji czyli Zimbabwe i Afryce Południowo-Zachodniej czyli Namibii.

„...apartheid napisał w książce „Gdyby cała Afryka" Ryszard Kapuściński — **jest, nieodłączną składową częścią całego systemu kolonializmu i w Południowej Afryce osiągnął tylko swoją najwyższą, ostateczną, zamkniętą formę. W apartheidzie Południowej Afryki jak w najostrzejszym zwierciadle przegląda się cały kolonializm".**

Apartheid stanowi powszednią praktykę kolonializmu, ale wielekroć był maskowany. W Afryce Południowej ujawnił się w całej okazałości, gdyż tu kolonializm rozwinął się w innych warunkach, inne przybrał formy. Podstawą wszelkiego kolonializmu — jak to podkreśla Ryszard Kapuściński w cytowanej książce — jest grabież. Kolonializm opiera się bowiem na dwu biegunach. Na jednym jest ograbiana kolonia, na drugim — prosperująca znakomicie i szybko rozwijająca się metropolia. Mieszkańcy metropolii korzystający z bogactw ograbianych kolonii nie musieli wiedzieć wszystkiego o tym, co tam się dzieje. Odległość kolonii od metropolii pozwalała ukryć prawdę o grabieżach oraz osłaniać ją różnymi „teoriami" o wyższości cywilizacji i białej rasy. W Afryce Południowej rzecz się miała odwrotnie. Tutaj grabieżcy i grabieni żyją obok siebie. Tutaj więc segregacja rasowa musiała wystąpić ostrzej, wyraziściej i musiała stać się porządkiem świata, który sankcjonuje grabież w imię podziału ras.

Afryka Południowa to nie tylko RPA, to również Namibia i Zimbabwe. Dla wielu Europejczyków nazwy te jednak niewiele mówią. Nasz sposób myślenia charakteryzuje europejski punkt widzenia, nakazujący nam uważać, że wszystko, co tu się dzieje ma największe dla świata znaczenie. A przecież codzienne doniesienia agencji prasowych coraz silniej powinny wyrabiać przekonanie, że również procesy zachodzące na innych kontynentach, w tym w Ameryce Południowej, Azji i Afryce odgrywają coraz istotniejszą rolę w życiu politycznym naszego globu. Każdy konflikt wybuchający w jakimkolwiek rejonie kuli ziemskiej, niesie z sobą poważne niebezpieczeństwo dla światowego pokoju, dla utrwalanej z takim trudem polityki odprężenia.

Warto więc bliżej przyjrzeć się temu rejonowi Afryki, o którym stale donoszą agencje prasowe, który jest widownią coraz silniej narastającej walki o wyzwolenie narodowe i prawa ludzi do normalnego życia. Na początek kilka danych o Republice Południowej Afryki, Rodezji — Zimbabwe i Afryce Południowo-Zachodniej — Namibii.

REPUBLIKA POŁUDNIOWEJ AFRYKI. Powierzchnia jej wynosi 1,2 miliona km kwadratowych. Obszar ten zamieszkuje około 25 milionów ludzi, ale 17,8 miliona osób to ludność afrykańska w większości należąca do plemion Bantu. Białych jest w RPA 4,2 miliona osób, ale Afrykanerów w tym tylko 58 procent, Brytyjczyków 37 procent. A poza tym „kolorowych", jak tam się nazywa mieszańców rasy białej, czarnej i żółtej — 2,3 miliona osób.

Stolicą RPA jest Pretoria, ale parlament ma swą siedzibę w Kapsztadzie, a sąd najwyższy — w Bloemfontein. Językami urzędowymi są: afrykanerski i angielski. Jednostką monetarną jest tu rand, który dzieli się na 100 centów.

RPA dzieli się na 4 prowincje: Kraj Przylądkowy, Natal, Oranię i Transwal oraz 10 bantustanów.

Prezydentem jest dr Nicolaas D. Diederichs. Na czele rządu stoi Balthazar Vorster.

NAMIBIA — od 1968 roku przyjęta przez ONZ nazwa **Afryki Południowo-Zachodniej.** Powierzchnia tego kraju wynosi 824 tys. km kwadratowych, a zamieszkuje go 850 tys. ludzi, z czego 80 procent stanowią Afrykanie należący głównie do plemion Bantu, Nama i Buszmenów, 11 procent stanowią biali przeważnie pochodzenia niemieckiego lub południowoafrykańskiego. Wśród białych językiem angielskim posługuje się tylko 10 procent, niemieckim — 23 procent, a afrykanerskim — 67 procent. Językiem urzędowym jest afrykanerski i angielski.

Stolicą Namibii jest Windhoek.

Jednostką monetarną: — 1 rand, który dzieli się na 100 centów.

Formalnie Namibia podlega ONZ jako byłe terytorium mandatowe Ligi Narodów, **faktycznie jednakże** władzę sprawuje tu RPA. Wybrzeże Namibii zbadali już w XV wieku Portugalczycy, ale terytorium tym zainteresowano się dopiero w XIX wieku. W drugiej połowie ubiegłego wieku na mocy porozumień między Francją, Portugalią a Niemcami terytorium Afryki Południowo-Zachodniej zostało wyodrębnione od 1884 roku — po stłumieniu buntu tamtejszych plemion — wcielone jako kolonia do Rzeszy Niemieckiej.

Od 1920 roku Namibia jest terytorium mandatowym Ligi Narodów a zarządza nią Związek Południowej Afryki, jako że nazwa Republika Południowej Afryki obowiązuje od 1961 roku. Po drugiej wojnie światowej Związek Południowej Afryki nie uznaje ONZ jako sukcesora Ligi Narodów i bezprawnie przejmuje pod swoje rządy terytorium Namibii. **27 października 1966 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ pozbawia RPA mandatu nad Namibią,** a w 1967 roku zostaje powołana Rada ONZ do spraw Afryki Południowo-Zachodniej, który w 1968 roku zmienia nazwę na Rada ONZ do spraw Namibii, i do której należy władza ustawodawcza i wykonawcza w tym kraju. Ale tylko formalnie. Faktycznie sprawuje ją bowiem RPA.

Na czele czteroosobowego Komitetu Wykonawczego stoi mianowany przez prezydenta RPA administrator — B.J. van der Walt. Komitet Wykonawczy powołuje Zgromadzenie Ustawodawcze, składające się z 18 osób wybieranych przez białą ludność Namibii.

RODEZJA — ZIMBABWE. Obszar — 390 tys. km kwadratowych. Ludność — przeszło 6 milionów, w tym 5,8 milionów osób to Afrykańczycy przeważnie pochodzący z plemion Bantu. Białych jest około 300 tysięcy w tym blisko połowa to Brytyjczycy.

Stolicą Rodezji jest Salisbury. Jednostką monetarną dolar rodezyjski dzielący się na 100 centów. Obowiązuje w Rodezji angielski system miar i język angielski jest językiem urzędowym. Formalnie bowiem Rodezja jest kolonią brytyjską, posiadającą szeroką autonomię wewnętrzną. Faktycznie jednakże jest to państwo niezależne, gdzie kolonizatorzy przejęli samowolnie władzę.

Rodezja leży między rzekami Zambezi i Limpopo. W międzyrzeczu tych dwóch afrykańskich rzek od dawna rozwijały się plemienne państwa. Obszarem tym kolonizatorzy zainteresowali się dopiero w drugiej połowie XIX wieku i byli to Brytyjczycy. W 1890 roku z inicjatywy przemysłowca i polityka Cecila Rhodesa kraj ten przeszedł pod zarząd Brytyjskiej Kompanii Południowoafrykańskiej. Od Cecila Rhodesa też kolonia ta otrzymała swoją nazwę: Rodezja, choć tubylcy kraj ten nazywają Zimbabwe.

Autonomiczną kolonią brytyjską Rodezja została dopiero w 1923 roku. W latach 1953—1963 wchodziła w skład Federacji Rodezji i Niasy. Z końcem 1963 roku federacja została rozwiązana przez Wielką Brytanię, a w rok później Rodezja Północna czyli Zambia i Niasa czyli Malawi otrzymały niepodległość.

11 listopada 1965 roku kolonizatorzy zamieszkujący Rodezję, w obawie, aby i ta kolonia brytyjska nie otrzymała niepodległości, proklamowali ją samodzielnie pod wodzą Iana Smitha, buntując się tym formalnie przeciw Wielkiej Brytanii. Ale Wielka Brytania do tej pory nie potrafi sobie poradzić z „buntownikami". Formalnie Wielka Brytania nadal sprawuje władzę nad Rodezją, **ale faktycznie** na mocy konstytucji z listopada 1969 roku głową państwa jest prezydent, który to urząd sprawuje obecnie John Wrathall. Od 1965 roku premierem Rodezji jest Ian Smith.

Tyle faktów o trzech krajach południowej Afryki, w których apartheid stał się systemem pozwalającym funkcjonować państwom, oficjalną doktryną, podstawą polityki wewnętrznej. Ale, aby lepiej zrozumieć jego istotę trzeba cofnąć się w przeszłość. **Apartheid nie został bowiem wymyślony współcześnie.** Już w 1685 roku Holenderska Kompania Wschodnioindyjska zakazała Europejczykom zawierania małżeństw z tubylcami. **W 1774 roku** gubernator Cape karał więzienia a nawet i karą śmierci groził za utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów z „czarnymi dzikusami".

Wprawdzie Przylądek Dobrej Nadziei odkrył w 1488 roku Bartolomeo Diaz, ale bliżej południową Afrykę zainteresowano się dopiero w XVII wieku. Wtedy to Jan van Riebec wylądował w Zatoce Góry Stołowej i założył fort Cape — dzisiejszy Kapsztad. Wówczas powstała tutaj baza aprowizacyjna dla statków płynących do Indii Wschodnich i wracających do Europy. Później zaczęli osiedlać się tutaj uchodźcy z Francji — przeważnie Hugonoci uchodzący przed prześladowaniami, niemieccy kupcy z portów nadbałtyckich oraz chłopi holenderscy.

W stosunku do tej części Afryki używa się dwu pojęć: **Afrykańczycy** czyli rodowici mieszkańcy czarnej rasy i **Afrykanerzy** też tutaj urodzeni, ale są to biali potomkowie dawnych białych kolonizatorów zwanych też Burami. Oni to z mieszaniny języków holenderskiego, francuskiego, niemieckiego oraz dodatków zaczerpniętych z języka angielskiego i języków malajskich utworzyli swój własny język zwany **afrykanerskim.** Są niewątpliwie narodem, ukształtowanym w specyficznych warunkach kolonialnych podbojów, który prawo do własnego życia i istnienia zdobył gwałtem i mordem. Ale nie tylko to zaciążyło na ich sposobie myślenia, na ich narodowej świadomości.

W 1795 roku Brytyjczycy zajmują Kapsztad i rozpoczynają podbój południowej Afryki. W 1806 roku Kraj Przylądkowy zostaje oficjalnie uznany jako kolonia brytyjska. Napływ Anglików do południowej Afryki powoduje, że wielu Burów rusza na wschód i północ w poszukiwaniu nowych terenów dla siebie. Tereny te zdobywa gwałtem i mordem, zagarniając dobytek tubylców, a przede wszystkim bydło oraz biorąc tubylców w niewolę, aby mieć siłę roboczą.

W 1836 roku Wielka Brytania znosi niewolnictwo. Dla Afrykanerów, zwanych wówczas Burami, był to cios straszny. Ryszard Kapuściński w książce „Gdyby cała Aryka" cytuje fragment pamiętnika Anny Steenkamp, która w 1838 roku napisała następujące słowa:

„Postawiono niewolników na tej samej stopie, co chrześcijan, co jest przeciwne prawu bożemu i zgodnemu z porządkiem natury podziałowi na rasy i kolory skóry. Dla każdego uczciwego chrześcijanina było to tak, jakby kazano mu przyklęknąć, aby zakuć go w kajdany. Dlatego woleliśmy raczej uciec dla zachowania naszej wiary w czystość rasy".

W tych słowach zawiera się cała filozofia apartheidu i ona legła u podstaw tego, co w historii południowej Afryki nazywa się **Wielkim Trekiem.** Był to partyzancki ruch skierowany przeciw prawowitym właścicielom niezagarniętych jeszcze terenów. Trwał dwadzieścia lat. Ryszard Kapuściński nazywa Wielki Trek **„wyprawą krzyżową kolonialistów afrykanerskich dla oczyszczenia Ziemi Świętej z czarnego barbarzyństwa"** Burowie z Kraju Przylądkowego dotarli aż do dzisiejszego Mozambiku i Rodezji, paląc po drodze wsie murzyńskie, mordując i grabiąc bydło. Dla siebie wzięli najlepsze, najżyźniejsze ziemie, co jest typowe dla wszelkich form kolonialnej działalności.

Niewolnictwo zostało zniesione, ale coś trzeba było z tym fantem zrobić. Pozostał bowiem **problem siły roboczej.** Biali, jako przedstawiciele wyższej rasy, wybranej przez Boga do sprawowania rządów, nie mogli pracować. Do pracy Bóg przeznaczył inne rasy, ale jak teraz zmusić do pracy „wolnych" barbarzyńców? Znalazł się i na to sposób.

W 1809 roku gubernator Cape, Earl of Caledon wprowadził za zgodą rządu brytyjskiego **„pass system"** dla rodzimych mieszkańców Afryki. System ten istnieje i działa do dziś. Pomysł był nadzwyczaj prosty. Afrykanin stał się wprawdzie wolnym, ale musi służyć białemu. Jeśli więc Afrykanin nie zawarł z białym umowy o pracę, jeśli na niego nie pracuje, to nie otrzymuje specjalnej przepustki czyli „pass". Każdy biały, jako przedstawiciel rasy panów, może wylegitymować każdego czarnego, jako przedstawiciela rasy służących. I jeśli nie stwierdzi, że ten posiada przepustkę, wtedy doprowadza go na policję, a policja może każdemu białemu „wypożyczyć" każdego czarnego, który nie posiada „pass", aby ten go zatrudnił u siebie i dał podstawę do wystawienia „pass". Dziś system ten znacznie ulepszono i nadano mu pozory legalności, a nawet wyposażono w całą „ideologię". Ale to też nic nowego, gdyż podstawy dla tej ideologii stworzono właśnie już wtedy, na początku XIX wieku.

W 1836 roku, a więc w czasie, kiedy Wielka Brytania zniosła niewolnictwo, ojciec Theophilus Stepsone ogłosił w południowej Afryce nową i interesującą doktrynę. Wedle niego tubylcy powinni żyć na wydzielonych im terenach i mogą je opuszczać tylko za zgodą białych. Były to podwaliny funkcjonującej do dziś teorii **„oddzielnego rozwoju".** Z teorii tej wyrosła koncepcja tworzenia **bantustanów.** Afrykanin bowiem nie może żyć obok białego, może dla niego pracować a wtedy może nawet mieszkać pod jednym z nim dachem jako służący lub w pobliżu domu białego, jako jego robotnik. Afrykanin musi mieć swój własny kraj — **homeland.** Zaczęto więc tworzyć bantustany. Pierwszy powstał w 1963 roku — **Transkei** i we wrześniu 1976 roku odbyły się tam wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego, a w październiku 1976 roku RPA przekazała władzę nowo utworzonemu rządowi, na czele którego stanął Kaizer D. Mantanzima. Prezydentem Republiki Transkei został Botha Sigcau.

Przyznawanie niepodległości bantustanom jest kamuflażem rasistów. Dlatego też Zgromadzenie Ogólne ONZ w październiku 1976 roku przyjęło rezolucję, wedle której proklamowanie Republiki Transkei uznano **„za nieważne i niebyłe",** wzywając wszystkie kraje świata do **„odmowy uznania tego faktu w jakiejkolwiek formie".** I Republika Transkei nie została uznana przez żadne państwo na świecie, poza RPA i przez żadną organizację międzynarodową.

Dla zrozumienia istoty apartheidu warto przypomnieć jeszcze jeden fakt. Otóż **w 1870 roku w Kimberley odkryto diamenty.** Ten fakt nie pozostaje bez znaczenia dla losów tego rejonu Afryki. W tym rejonie wydobywa się do dziś diamenty, złoto, węgiel, rudy miedzi, cyny, uranu, manganu, ołowiu, wanadu, wolframu, chromu, żelaza, a poza tym azbest, srebro, fosforyty.

W książce Ryszarda Kapuścińskiego „Gdyby cała Afryka" cytowana jest wypowiedź pewnego południowoafrykańskiego przemysłowca. Jest to bardzo znamienna wypowiedź:

„...Południowej Afryki Zachód nie pozwoli ruszyć za cenę światowej wojny. W roku 1963 wydobywaliśmy złota o wartości miliarda dolarów. Na naszym złocie opiera się cała strefa szterlingowa. Odebrać złoto Południowej Afryce — to znaczy złamać światową strefę szterlingową".

Ale walka trwa. W Namibii, RPA i Rodezji czyli Zimbabwe. Jak doniosła prasa komitet koordynacyjny **Patriotycznego Frontu Zimbabwe** postanowił połączyć dotychczasowe oddziały zbrojne Afrykańskiego Ludowego Związku Zimbabwe i Afrykańskiego Narodowego Związku Zimbabwe w **armię ludową Zimbabwe.** Do dalszej charakterystyki istoty apartheidu i do walki o wolność narodów południowej Afryki powrócimy.

OPRACOWAŁ:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

REFLEKSJE

Ukazała się interesująca praca Józefa Szłapczyńskiego „Nauka o polityce w Republice Federalnej Niemiec" (PWN, Warszawa 1976). Aczkolwiek traktuje ona o politologii zachodnioniemieckiej (różnej od naszej z racji odmiennych warunków ustrojowych), to jednak lektura tej publikacji inspiruje do szeregu przemyśleń oraz pozwala jaśniej widzieć zarówno osiągnięcia, jak i braki rozwijanej u nas nauki o polityce. Zdecydowanie rzuca się w oczy potrzeba dokonania autorefleksji, potrzeba teoretycznego samookreślenia tej dziedziny wiedzy. Niezbędne jest bowiem określenie przedmiotu badania i odpowiedniej dla niego metodologii oraz specyzowanie stosunku nauki o polityce do praktyki politycznej.

Tym właśnie kwestiom poświęcona jest praca J. Szłapczyńskiego. Należy zauważyć, że jest to jedna z nielicznych u nas publikacji książkowych poświęcona teoretycznym problemom politologii uprawianej w państwach kapitalistycznych. Jedynie politologia francuska zaprezentowana została w pracy H. Groszyka „Francuska koncepcja nauki o polityce" (Warszawa 1968). Szczególna doniosłość książki J. Szłapczyńskiego wynika z faktu, że ukazuje ona bardzo szeroki wachlarz problemów związanych z ukonstytuowaniem się naukowych rozważań nad polityką.

Po przedstawieniu historycznego rozwoju oraz omówieniu aktualnego stanu tej nauki w RFN, autor przechodzi do zasadniczego zagadnienia, mianowicie problemu odrębności nauki o polityce. Odrębność nauki o polityce związana jest, zdaniem większości naukowców, ze specyficznym charakterem przedmiotu badawczego, jakim jest polityka; dla niektórych jednak wyróżnikiem jest metodologia. Wśród tych badaczy, którzy wyodrębniają tę naukę z racji odrębności przedmiotu występuje oczywiście ogromne zróżnicowanie, bowiem pojęcie polityki nie jest jednoznacznie określone i jego zakres bywa rozmaicie ujmowany. W tym gąszczu rozmaitych koncepcji można jednak wyróżnić trzy zasadnicze orientacje uprawianej w RFN politologii: ontologiczno-normatywna, sprowadza się do udzielania rad i wskazówek praktyce politycznej w oparciu o pewne aprioryczne zasady i normy „ogólnospołecznej pomyślności"; empiryczno-analityczna zajmująca się badaniem konkretnych problemów i zjawisk politycznych bez odwoływania się do wskazań moralno-normatywnych; krytyczno-społeczna, opierająca swe badania na ogólnej teorii rozwoju społecznego oraz próbująca wypracować koncepcję przemian, a raczej reform społecznych.

Orientacja krytyczno-społeczna zasługuje na szersze potraktowanie i osobne omówienie z racji jej niewątpliwych osiągnięć oraz dużej popularności wśród lewicującej młodzieży RFN. Poza tym spora część młodego pokolenia zachodnioniemieckich politologów skłania się ku temu właśnie sposobowi uprawiania nauki o polityce. W pracy J. Szłapczyńskiego brakuję dokładnego omówienia tego nurtu. Jest to jednak w pełni zrozumiałe, ponieważ książka prezentuje wielość sposobów traktowania jednego tylko zagadnienia, problemu odrębności nauki o polityce. Uwaga ta nie jest zatem zarzutem wobec pracy J. Szłapczyńskiego. Jest raczej apelem o szersze zainteresowanie się nurtem społeczno-krytycznym, apelem o przeprowadzenie głębszej analizy i dokładnej oceny tego nurtu, z czym ma niewątpliwe kłopoty autor omawianej publikacji.

Wyraźnie poza tym występuje dysproporcja pomiędzy bardzo obfitym materiałem części referującej poglądy politologów zachodnioniemieckich a rozdziałem, w którym autor dokonuje syntetycznej oceny politologii w RFN. Dysproporcja ta potwierdza jedynie konieczność dokonania z pozycji marksistowskich głębszej refleksji teoretycznej nad przedmiotem i metodą politologii, potwierdza konieczność rozwinięcia całościowej teorii polityki.

Punktem wyjścia takiej teorii byłaby analiza struktury wartości leżących u podstaw ustroju socjalistycznego. Fundamentalne dla ustroju wartości muszą zostać następnie skorelowane z określonymi instytucjami, narzędziami i sposobami ich realizacji. W dalszym postępowaniu konieczne jest rozwinięcie metod pozwalających badać adekwatność instytucji i narzędzi wobec realizowanych za ich pomocą wartości. Celem opisanej procedury byłoby ukazywanie dróg wiodących do coraz pełniejszego urzeczywistniania podstawowych dla ustroju norm i zasad.

Lektura pracy J. Szłapczyńskiego nasuwa również szereg innych refleksji. Autor podkreśla wyraźne powiązanie nauki o polityce z praktyką polityczną w RFN. Więź tego typu jest nieunikniona, a w przypadku politologii marksistowskiej jest wręcz oczywista i konieczna. Praktyczna przydatność politologii, to zarówno ogólna refleksja nad urzeczywistnianiem podstawowych dla ustroju wartości, jak i konkretna analiza warunków dla podjęcia określonej decyzji politycznej. Oczywiście oba te momenty powiązania teorii (nauki) z praktyką (działalnością polityczną) muszą występować jednocześnie, bowiem wzajemnie się uzupełniają. Ograniczenie się do jednego tylko z tych dwu wymiarów może grozić oderwaniem od rzeczywistości teoretyzowaniem lub też ciasnym praktycyzmem.

Obserwacja zachodnioniemieckiej nauki o polityce wskazuje na bardzo szeroki front jej oddziaływania. Politologia wykracza mianowicie poza krąg naukowców i stara się dotrzeć do różnych środowisk społecznych. Taka postawa powinna również charakteryzować uprawianą u nas naukę o polityce, a profesjonalni politologowie powinni uprawiać publicystykę polityczną oraz zajmować się popularyzacją samej nauki.

ANDRZEJ M. KANIOWSKI

150

Dzisiejsze ŁZPB im. Obrońców Pokoju należą do jednej z najstarszych w kraju fabryk przemysłu włókienniczego. Powstały z połączenia dwóch odrębnych zespołów włókienniczych, należących do prywatnych właścicieli: Treugotta Grohmana i Karola Scheiblera. Grohman, już w 1827 roku prowadził w Zgierzu manufakturę wyrobów bawełnianych, Scheibler zaś w 1855 roku uruchomił przędzalnię i tkalnię na placu przy Wodnym Rynku. Pod koniec lat siedemdziesiątych minionego stulecia zakłady Grohmana i Scheiblera należały do rzędu największych zakładów przemysłu bawełnianego na ziemiach polskich. W 1921 roku nastąpiło formalne połączenie fabryk Grohmana i Scheiblera w „Zjednoczone Zakłady Przemysłowe Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana — Spółka Akcyjna".

Wkrótce po wyzwoleniu Łodzi w 1945 roku, na wiecu załogi nazwę tych zakładów zmieniono na Państwowe Zakłady Włókiennicze, a nieco później, kolejno, na: PZPB Nr 1 i PZPB im. J. Stalina. Po komasacji, przeprowadzonej w latach 1962—1964, powstały największe w Polsce: Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju — „Uniontex". Jest to jeden z największych kombinatów przemysłu włókienniczego w Europie.

Sto pięćdziesiąt lat historii dzisiejszych ŁZPB im. Obrońców Pokoju, to także historia blisko stuletniej walki rewolucyjnej łódzkich robotników, dziesiątków tysięcy włókniarzy, często całych włókniarskich rodzin, o ludzkie warunki pracy, o swobody polityczne i społeczne, o likwidację prywatnej własności ziemi i fabryk. Jednym z pierwszych zorganizowanych wystąpień klasy robotniczej w Łodzi był tzw. bunt tkaczy łódzkich w kwietniu 1861 roku, kiedy to dwa tysiące tkaczy zniszczyło krosna mechaniczne w zakładach Scheiblera. W następnych dziesięcioleciach w zakładach Grohmana i Scheiblera raz po raz wybuchały strajki, hale fabryczne były widownią gwałtownych wystąpień i demonstracji. W zakładach Scheiblera i Grohmana narodziła się fala rewolucyjnych wystąpień lat 1905—1907. To tutaj, 29 czerwca 1905 roku, wznieśli robotnicy jedną z pierwszych barykad, u wylotu ulicy Fabrycznej i Widzewskiej. W okresie międzywojennym, aż do wybuchu II wojny światowej, załogi zakładów Scheiblera i Grohmana — później: „Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana" — brały czynny udział w masowych, zorganizowanych strajkach i wystąpieniach, skierowanych przeciwko wzmagającemu się wyzyskowi klasy robotniczej.

W czasie okupacyjnego terroru w „Zjednoczonych Zakładach Przemysłowych" działał ruch oporu, związany głównie z podziemną działalnością PPR. W styczniu 1945 roku zakłady zdewastował wycofujący się okupant...

Fot. Wł. Paryś.

Z naczelnym dyrektorem ŁZPB im. Obrońców Pokoju, mgr inż. MARIANEM KACZKOWSKIM, rozmawia WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

NAJWIĘKSZA ŁÓDZKA

— Towarzyszu Dyrektorze, czy zakłady były w stanie podjąć produkcję zaraz po wyzwoleniu Łodzi?

— Zakłady zdewastował okupant i nie wszystkie mogły rozpocząć produkcję jednocześnie. Rozruch, że użyję tego określenia, odbywał się stopniowo. Niemniej można powiedzieć, iż — przezwyciężając ogromne, wielopłaszczyznowe trudności — fabryka rozpoczęła produkcję wkrótce po wyzwoleniu Łodzi. Wciąż wzrastające zapotrzebowanie na wyroby włókiennicze pobudzało do zwiększania produkcji, ale, niestety, powstawały trudności techniczne. Na modernizację zakładów, nie tylko zresztą naszych, przeznaczano w owych trudnych latach stosunkowo niewielkie środki, bowiem ogromnych nakładów wymagała odbudowa zniszczonego kraju. W 1947 roku, pragnąc zaspokoić popyt na wyroby bawełniane, w fabryce podjęto produkcję na trzy zmiany. Ale to już historia.

Będąc jednak przy tym, warto przypomnieć, iż w owych czasach nie wróżono przemysłowi bawełnianemu różowej przyszłości. Jeszcze nawet do niedawna pokutowała „teoria" o nierozwojowości przemysłu bawełnianego; miał go zastąpić przemysł dziewiarski, między innymi — bistory i inne tego rodzaju tkaniny. Były to błędne przewidywania. Zapotrzebowanie na tkaniny bawełniane i bawełnopodobne było i jest ogromne, i będzie stale rosnąć, bowiem włókien naturalnych nie może zastąpić, przynajmniej na razie, włókno sztuczne. Pewnych asortymentów produkcji przemysłu bawełnianego nie da się zastąpić innymi technikami, technologiami czy substytutami.

— Ta korzystna sytuacja rynkowa z pewnością warunkuje kierunek rozwojowy zakładów.

— Tak. I stąd wypływa wniosek pierwszy i podstawowy: modernizacja fabryki. Przy czym jednym z jej najważniejszych elementów jest szybkość. Ten skomplikowany problem trzeba rozwiązać w możliwie najszybszym tempie. Czas nie stanął w miejscu.

Jak wiadomo, zakłady im. Obrońców Pokoju są usytuowane nieomal w samym centrum miasta. Teraz kończymy opracowywanie w szczegółach koncepcji takiej przebudowy zakładów, żeby były najmniej uciążliwe dla środowiska i jednocześnie, żeby mogły bardziej efektywnie pracować dla potrzeb naszej gospodarki. W oparciu, między innymi, o ustalenia Biura Projektów Przemysłu Włókienniczego opracowaliśmy w dyrekcji zakładów pięć szczegółowych wariantów modernizacji fabryki. Mam nadzieję, że teraz jeden z nich będzie zaakceptowany, co stworzy punkt wyjścia do opracowania finalnego projektu modernizacji. Przeprowadzona w zaplanowanej kolejności, stworzy warunki dla lżejszej, wydajniejszej i lepszej pracy załogi, zminimalizuje uciążliwość dla otoczenia i nie będzie negatywnie oddziaływać na naturalne środowisko człowieka.

Koszty modernizacji będą wysokie, trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, iż przez 32 lata fabryka pracowała, akumulowała środki na rzecz gospodarki narodowej i teraz nadszedł już czas, kiedy jej modernizacja jest niezbędna z takich choćby względów, jak uciążliwość warunków pracy i przestarzały park maszynowy. Tym bardziej, iż zapotrzebowanie społeczne na wyroby przemysłu bawełnianego rośnie, głównie w ostatnich latach. Wszystko wskazuje na to, że konsumenci będą nadal preferować tkaniny bawełniane, szczególnie te asortymenty wyrobów, których innymi zastąpić nie można. Stąd potrzeba, ba, konieczność szybkiej modernizacji zakładów, która rozwiąże pilny problem wzrostu ilości i jakości produkcji osiąganej w dodatku z tych samych powierzchni fabrycznych.

Rosnące wymagania konsumenta i chłonność rynku stymulują zabiegi naszych zakładów, jak i całej branży, o bardziej zróżnicowane wzornictwo, o większe walory użytkowe i estetyczne, słowem — o to wszystko, co składa się na wysoką jakość produkcji. Staramy się sprostać tym wymaganiom, niestety, przestarzały park maszynowy, zwłaszcza w wydziale wykończalni, ogranicza te możliwości. Wiele dużych fabryk przemysłu bawełnianego ma znacznie lepsze wyposażenie techniczne i dzięki temu — bardziej wielostronne możliwości produkcji. Załogę ZPB im. Obrońców Pokoju także stać na produkcję wysokiej jakości.

— Czy wyroby zakładów mają zbyt za granicą?

— Tkaniny z naszej fabryki eksportujemy do przeszło 40 krajów. Ponad 60 procent zużywanego w zakładach surowca — to bawełna pochodząca z importu. Staramy się zrównoważyć import z eksportem i dlatego już od lat ŁZPB im. Obrońców Pokoju zwiększają produkcję eksportową, zarówno do krajów socjalistycznych jak i na rynki krajów kapitalistycznych. Na przykład w 1976 roku wyeksportowaliśmy ponad 13 milionów metrów tkanin, z tego około 8 milionów metrów do krajów naszego obozu, a pozostałą część do krajów kapitalistycznych. Wielkości te są mniej więcej takie same, jak w 1975 roku, lecz zyski dewizowe znacznie wyższe. Po prostu produkujemy lepsze tkaniny i sprzedajemy je po wyższych cenach. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, iż ogólna tendencja w naszym przemyśle włókienniczym zmierza w kierunku ograniczenia eksportu tkanin w metrażu na rzecz eksportu gotowej konfekcji.

Plan wartościowy naszej produkcji za 1976 rok wynosił 26 milionów 200 tysięcy złotych dewizowych. Wykonaliśmy produkcję wartości 28 milionów 311 tysięcy złotych dewizowych.

— Czyli z górą dwa miliony złotych dewizowych ponad plan. To dużo.

— Pragnę w związku z tym podkreślić, iż osiąganie tak dobrych wyników produkcyjnych jest możliwe dzięki wysokiej świadomości politycznej załogi, zrozumieniu potrzeb gospodarczych kraju, pracowitości, odpowiedzialności i sumienności w pracy naszych włókniarek i włókniarzy, ofiarności personelu pionu technicznego fabryki.

Wyrazem uznania dla tej wieloletniej postawy w pracy, politycznej i społecznej aktywności całej załogi fabryki było przyznanie zakładom w 1972 roku wysokiego odznaczenia państwowego — Sztandaru Pracy I klasy. Od 1945 roku aż po dzień dzisiejszy załoga ŁZPB im. Obrońców Pokoju zawsze podejmowała cenne inicjatywy produkcyjne i społeczne. Załoga brała, i bierze, czynny udział w akcjach i kampaniach politycznych. Na apele partii o dodatkową produkcję załoga odpowiada podjęciem dodatkowych zobowiązań. Młodzież zakładu podjęła inicjatywę współzawodnictwa Brygad Pracy Socjalistycznej o miano BPS im. 30-lecia PRL. Inicjatywę tę podchwyciły organizacje ZMS w całym kraju. W odpowiedzi na list I sekretarza KC PZPR, tow. Edwarda Gierka, skierowany do załóg fabrycznych, w tym również i do załogi naszej fabryki, załoga ZPB im. Obrońców Pokoju podjęła dodatkowe zadania, ponad przewidywane w planie gospodarczym.

Załoga zdobyła na własność sztandar prezesa Rady Ministrów i CRZZ za zajęcie I miejsca we współzawodnictwie w resorcie oraz za tytuł najlepszego eksportera branży bawełnianej, zdobyła sztandar przechodni prezesa Rady Ministrów i CRZZ za najlepsze wyniki we współzawodnictwie resortowym w 1974 roku, dyplom uznania od I sekretarza KC PZPR i prezesa Rady Ministrów w 1973 i 1974 roku za pomyślne wyniki w gospodarce i ponadplanową produkcję do banku 20 miliardów i 30 miliardów, i szereg innych, cennych wyróżnień.

— Piękne osiągnięcia. Nic dziwnego, że ŁZPB im. Obrońców Pokoju należą nie tylko do największych, lecz także i do najlepszych zakładów w kraju.

Towarzyszu Dyrektorze, polepszanie jakości tkanin to także unowocześnianie ich produkcji drogą stosowania nowych technik. Czy pozwalają na to aktualne możliwości zakładów?

— Oczywiście, rozwiązanie problemu nowoczesności i jakości wyrobów, to także m.in. produkcja tkanin czysto bawełnianych, tkanin w mieszankach bawełny z elaną, polinosikiem i innymi włóknami sztucznymi. To także zastosowanie apretur szlachetnych, takich jak na przykład apretury niemnące, wodoodporne, czy przeciwgniotliwe, co, rzecz jasna, podnosi walory użytkowe tkaniny. Robimy to wszystko, ale to jeszcze nie to, co chcielibyśmy robić. Mamy znacznie większe ambicje. Tylko, że takie zabiegi produkcyjne wymagają odpowiedniego parku maszynowego i zaplecza badawczo-laboratoryjnego. A zatem znów kwestia modernizacji.

— Stąd z kolei na porządku dnia znajdą się z pewnością określone potrzeby w zakresie kadr.

— Właśnie. Kadry. Decydujący czynnik produkcji, decydujący w latach minionych, który również w przyszłości będzie rozstrzygał o wielu najżywotniejszych sprawach fabryki. O wynikach, o miejscu w przemyśle włókienniczym w skali Łodzi i kraju, w ZPB im. Obrońców Pokoju zawsze decydowały kadry, silnie związane ze swoją fabryką. W naszych zakładach można spotkać całe rodziny włókniarzy, pracujące tu od lat. 80 procent załogi otrzymuje ekwiwalent za nieprzerwaną 15-letnią pracę w fabryce. Nie jest jakimś odosobnionym przypadkiem, że w ZPB im. Obrońców Pokoju ludzie pracują po 40, 45 i 50 lat! Dwa razy do roku żegnamy naszych pracowników odchodzących na emerytury i renty, spotykamy się z jubilatami. Mamy około trzy i pół tysiąca rencistów i emerytów i utrzymujemy z nimi stały i bliski kontakt.

— Coraz szybciej zacierają się różnice między pracą fizyczną a umysłową. Nowoczesne maszyny wymagają od załogi coraz wyższych kwalifikacji.

— Niewątpliwie. Dlatego też nasza załoga stale podnosi swoje kwalifikacje zawodowe, kształci się. Są to twarde wymogi współczesnego świata. Trzeba się uczyć — nie ma innej alternatywy. Aktualnie, na stanowiskach kierowniczych, pracuje w fabryce 150 osób z wykształceniem wyższym. Około 700 osób ma wykształcenie średnie, pozostali młodzi pracownicy — podstawowe i zawodowe.

— Zakłady im. Obrońców Pokoju mają stare i bogate tradycje pracy politycznej i społecznej. Czy te tradycje utrzymują się do dziś?

— Tak. Dzisiejsze Zakłady im. Obrońców Pokoju, powstałe z połączenia dwóch kompleksów włókienniczych: T. Grohmana i K. Scheiblera, zawsze tętniły pracą polityczną. Tradycje walki rewolucyjnej tysięcy włókniarskich rodzin naszych zakładów sięgają pierwszej połowy XIX wieku. Po wyzwoleniu, w 1945 roku, już w Polsce Ludowej, kiedy to rewolucyjną walkę łódzkich włókniarzy uwieńczyło zwycięstwo, rytm życia politycznego w fabryce nie osłabł ani na chwilę. Robotnicy Zakładów im. Obrońców Pokoju zawsze zdecydowanie popierali władzę ludową. Już w 1945 roku rzucono w zakładach hasło współzawodnictwa pracy, które w owym czasie nosiło nazwę Młodzieżowego Wyścigu Pracy. Szczególnie aktywną rolę odegrał tu Związek Walki Młodych. W tym młodzieżowym ruchu politycznym w naszych zakładach rozwijał wówczas aktywną działalność obecny I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR, tow. Bolesław Koperski. Fabryczne archiwa zawierają wiele zapisów dotyczących ówczesnej działalności politycznej i społecznej tow. Koperskiego w dzisiejszych Zakładach im. Obrońców Pokoju.

Nasza organizacja partyjna jest duża, liczy ponad 2.200 członków i należy do przodujących w Łodzi. W zakładowej organizacji SZMP działa z górą 1.100 młodych aktywistów. Ożywioną działalność rozwijają — ORMO, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, dobrze zorganizowana Rada Kobiet, Klub Sportowy „Włókniarz", Koło PCK, Klub Motorowy, LOK, znane w Łodzi Koło PTT-K „Kaktusy" oraz Koło Wędkarskie. Znajduje to wyraz w organizowaniu przeróżnych dziedzin życia w fabryce i poza nią, w aktywności zawodowej, reakcji na zjawiska społeczno-polityczne w kraju.

— Towarzyszu Dyrektorze, Zakłady im. Obrońców Pokoju są największe w Polsce i jedne z największych w Europie, zatrudniają ponad 10 tysięcy pracowników, w tym większość kobiet. To stwarza określone problemy, jak: żłobki, zaopatrzenie, wczasy...

— Istotnie, około 70 procent załogi stanowią kobiety i rzeczywiście wyłaniają się różne problemy socjalno-bytowe, związane przede wszystkim z zaopatrzeniem w produkty żywnościowe. Dzięki modernizacji zaplecza gospodarczego wykonanej we własnym zakresie, ponad połowa załogi może korzystać z posiłków w fabryce. Centralna stołówka wydaje przeszło 800 obiadów dziennie, we wszystkich zakładach funkcjonują bary szybkiej obsługi, mamy pięć kiosków spożywczych, w których załoga zaopatruje się na bieżąco w produkty żywnościowe. Pokoje i kąciki śniadaniowe we wszystkich wydziałach umożliwiają pracownikom spożywanie posiłków w higienicznych i estetycznych warunkach. Niemniej każda jesień przynosi z sobą problemy zaopatrzeniowe. W ubiegłym roku sprowadziliśmy i dostarczyliśmy do domów naszych pracowników ogółem 520 ton ziemniaków, zaopatrzyliśmy załogę w cebulę, warzywa i owoce. Dyrekcja robi to już od szeregu lat i załoga jest z tego zadowolona. Odciąża to ludzi od trosk i napięć dnia codziennego.

Mamy dwa dobrze zorganizowane żłobki zakładowe z 180 miejscami, dwa przedszkola z 240 miejscami. Dla starszych dzieci naszych pracowników fabryka organizuje kolonie wyjazdowe, a także kolonie na miejscu, urządzając je w ośrodkach sportowo-rekreacyjnych.

— Wczasy?

— Korzysta z nich stosunkowo sporo pracowników zakładów. Co roku około czterech tysięcy osób wyjeżdża na wczasy i leczy się w sanatoriach. Nie mając własnych ośrodków wypoczynkowych, korzystaliśmy dotąd z pomocy bratnich przedsiębiorstw, lub po prostu wynajmowaliśmy kwatery. Ale już na przełomie czerwca — lipca tego roku oddamy do użytku własny, nowoczesny ośrodek wypoczynkowy na 240 osób w Dźwirzynie, nad morzem, niedaleko Kołobrzegu. Mamy już także dokumentację na budowę następnego ośrodka wypoczynkowego w Piwnicznej, kilkanaście kilometrów od Krynicy Górskiej. Nosimy się z zamiarem wybudowania własnego ośrodka kolonijnego, ale to na razie sprawa dalszej przyszłości. Ważną kwestią są wczasy niedzielne i mamy pewne projekty rozszerzenia ich zakresu.

— Wyjątkowo aktywna działalność kulturalna i oświatowa w waszych zakładach jest znana nie tylko w Łodzi, lecz także w całym kraju. Czy zechcielibyście, towarzyszu Dyrektorze, zapoznać naszych Czytelników z tą stroną życia fabryki?

— Działalność naszych aktywistów pracy kulturalnej uważam za godną podziwu, szacunku i naśladowania. Nie mówię tego jako dyrektor zakładów, jestem po prostu uczestnikiem tego życia kulturalnego, którym tętnią zakłady i stąd moja fascynacja. Działalność kulturalna koncentruje się w Zakładowym Domu Kultury, który — mimo nie najlepszych warunków lokalowych — można bez przesady nazwać wzorowym modelem nowoczesnego ośrodka kultury, oświaty i wychowania. Tutaj prezentują swoją inwencję twórczą, umiejętności i talenty, takie amatorskie sekcje artystyczne, jak — Studio Małych Form Teatralnych, Kabaret, studium pn. „Współczesność i ty", Studium Piosenki, Rytmika Taneczna, Studio Tańca Klasycznego, Chór Dziecięcy, Chór Włókniarek, Kurs Tańca Towarzyskiego, Zespół Instrumentalno-Wokalny i inne. Tutaj odbywają się koncerty, przeglądy filmów konkursy, spotkania z ciekawymi ludźmi, turnieje brydżowe i szachowe, wieczorki taneczne i całe mnóstwo innych. Ostatnio reaktywowano dętą orkiestrę zakładową, która odnowi starą tradycję występów z własnymi koncertami w parku „Źródliska" w każdą niedzielę sezonu. Na kulturalne zainteresowania załogi wskazuje fakt, iż Związkowa Rada Przedsiębiorstwa rozprowadza co roku bilety do teatrów i kin na sumę ponad pół miliona złotych. No, cóż jeszcze? Mamy własną gazetę zakładową „Nasza Trybuna", mamy energicznie działającą instytucję współzawodnictwa sportowego między poszczególnymi zakładami fabryki, która znakomicie integruje załogę.

— Macie jeszcze Galerię...

— Tak, pod nazwą „Księży Młyn". ŁZPB im. Obrońców Pokoju zostały objęte patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki i w ramach sojuszu świata pracy z nauką i kulturą zakłady podpisały porozumienie o stałej współpracy z wieloma instytucjami i stowarzyszeniami kulturalnymi. Na tej podstawie powstała właśnie nasza Galeria. Poza tym Ministerstwo Kultury i Sztuki skierowało do zakładów stypendystów, artystów plastyków, którzy współpracują z fabryką w wystroju terenów fabrycznych i wnętrz.

— Czekając chwilę w sekretariacie na spotkanie z Wami, usłyszałem, że macie w fabryce sprawnie działającą służbę lekarską.

— Przywiązujemy ogromną wagę do spraw ochrony zdrowia naszych pracowników. Musimy stale pamiętać o nie najlepszym stanie technicznym fabryki, o składzie załogi — mam na myśli duży udział kobiet, o pracy na trzy zmiany i wielu innych ważnych okolicznościach. Personel Zakładowego Ośrodka Zdrowia liczy 85 osób, w tym — 20 lekarzy różnych specjalności, 20 sióstr i pielęgniarek, 2 położne i 8 laborantek. Przychodnia ma osiem specjalistycznych gabinetów przemysłowych, dwa gabinety ginekologiczne, trzy gabinety dentystyczne oraz chirurgiczny, laryngologiczny i okulistyczny. Ośrodek jest wyposażony w nowoczesną aparaturę medyczną, ma własną karetkę pogotowia. W każdym zakładzie dyżurują całą dobę ambulatoria.

Ośrodek prowadzi stałe badania profilaktyczne, badania toksyczności środowiska pracy, natężenia hałasu i inne. Postulaty fabrycznej służby zdrowia realizujemy w miarę istniejących możliwości. Nieraz jednak wyłaniają się problemy, których rozwiązanie wykracza poza ramy możliwości fabryki, przynajmniej na razie. Na przykład kwestia stworzenia w fabryce wydziału pracy chronionej, którego jeszcze dotąd, niestety, nie mamy. Ale przecież jakiś sposób i na to znajdziemy. Będzie to, co prawda, rozwiązanie prowizoryczne, jako że wszystkie nasze problemy, lub prawie wszystkie rozwiąże dopiero modernizacja zakładu.

— Towarzyszu Dyrektorze, dziękuję za rozmowę i w imieniu redakcji „Odgłosów" życzę Wam i załodze ŁZPB im. Obrońców Pokoju szybkiej realizacji planów modernizacji fabryki oraz dalszych sukcesów w pracy.

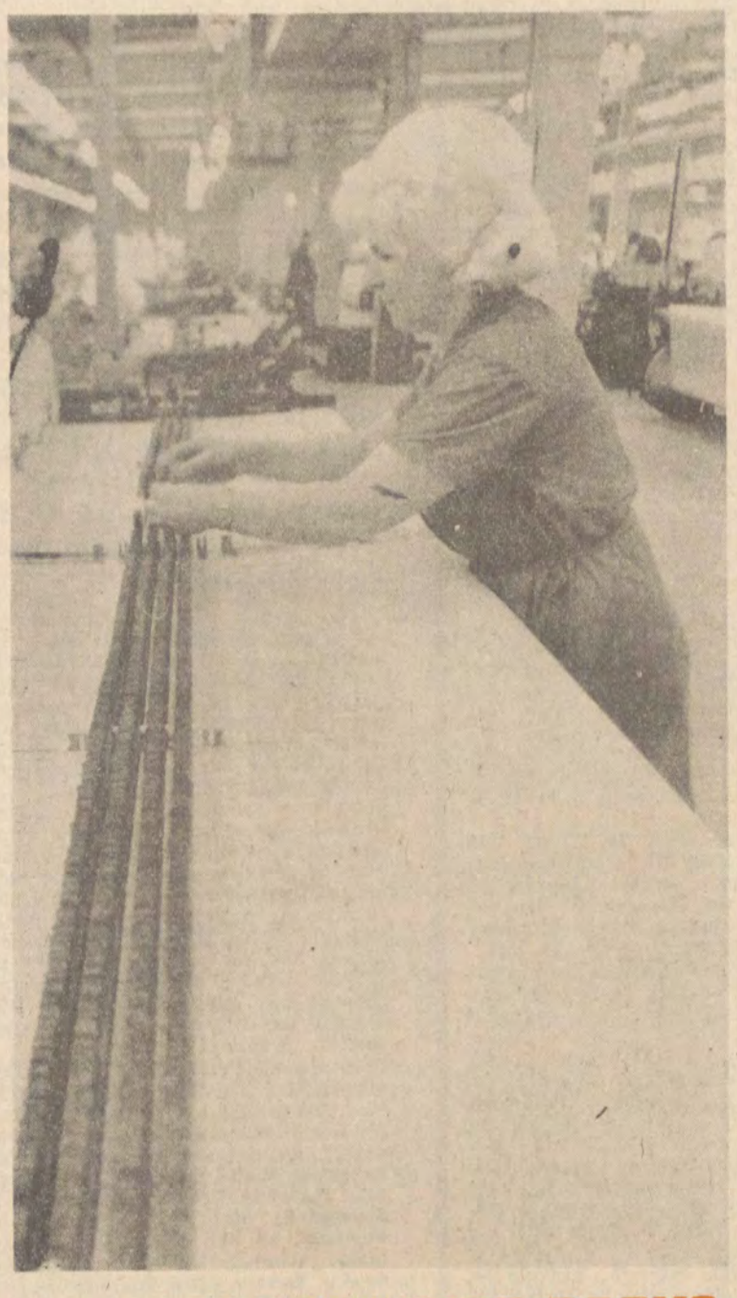

Foto: WŁODZIMIERZ PARYS

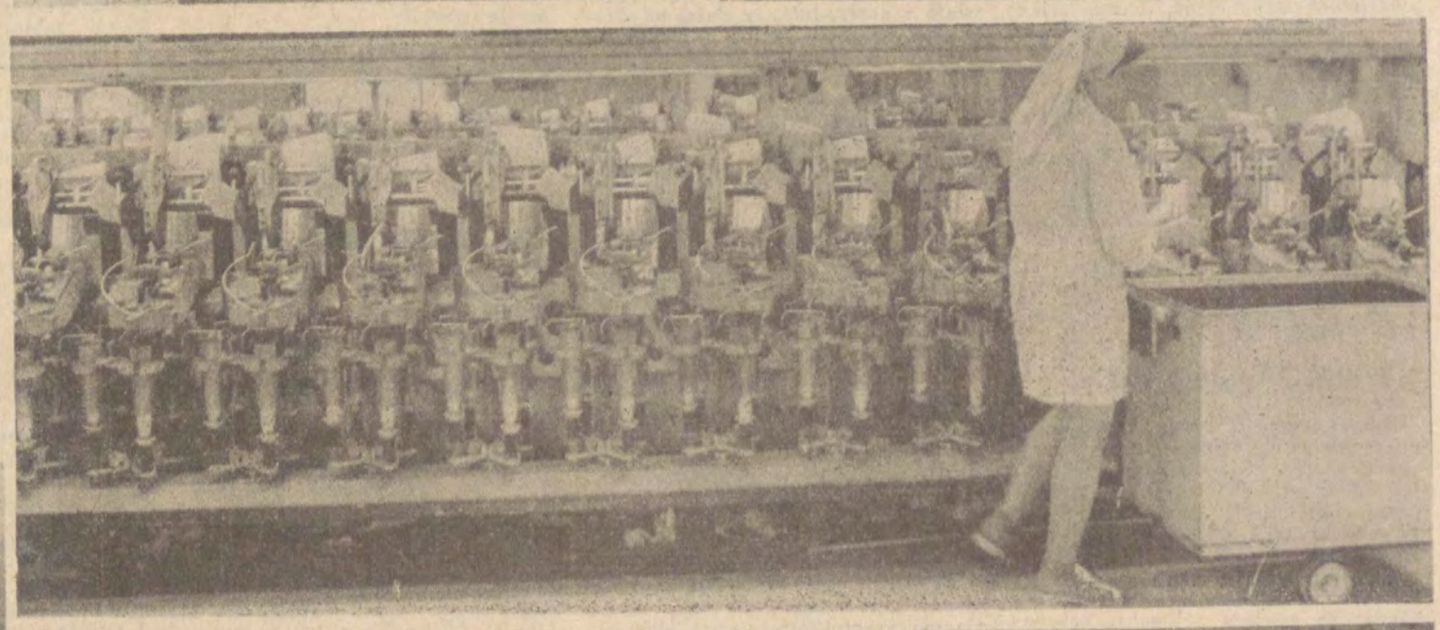

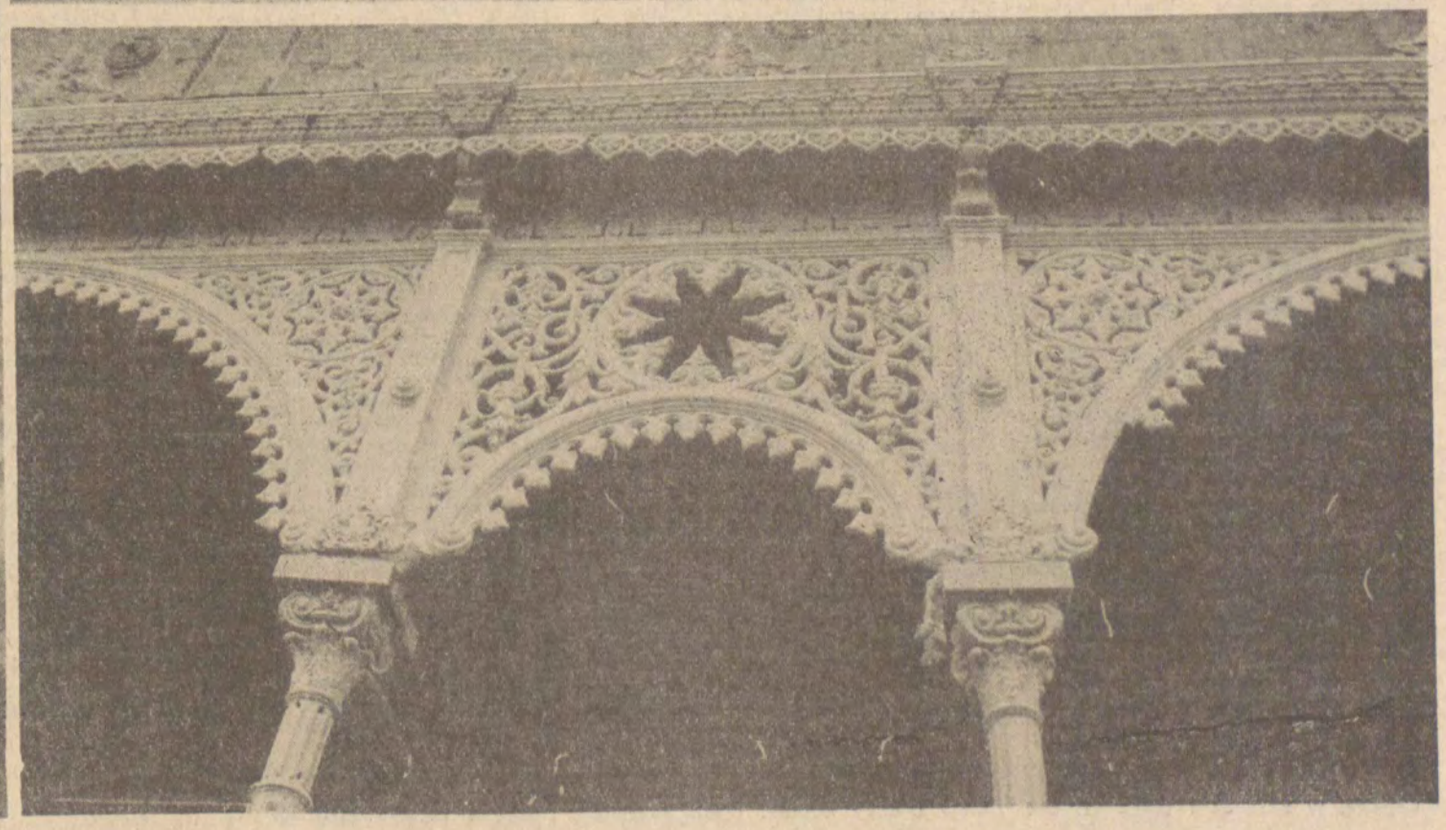

Foto: Archiwum

NA SPOTKANIE Z ŻUBREM

Dalszy ciąg ze str. 1

Kolis wciska się w kąt przy oknie. Do Hajnówki jeszcze parę minut. Baby cichną. Na krótko. Ale Kostia, to odszczepieniec. Cały wagon gada. Baby oddzielnie i chłopy oddzielnie. Baby cicho, czasem tylko która roześmieje się głośniej. Chłopy basują i rechoczą bo co raz to świntuszyć zaczynają. Czasem który flaszkę wyciągnie. Broń Boże, nie pijani. Tyle, to jak lekarstwo. Na chłopa z tartaku to trzeba litra, żeby poczuł.

Od Hajnówki pusto w pociągu. Parę osób drzemie — to miejscowi. Reszta wygląda przez okno, odczytuje półgłosem co ciekawsze nazwy stacji i zachwyca się „oryginalną wiejską architekturą". W głębi duszy każdy liczy na małego choćby żubra. Na razie tylko piękny las, dużo śniegu, mało ludzi.

BIAŁOWIEŻA — PAŁAC

Nazwa i wygląd stacji przeczy wyobrażeniom o małej zagubionej wśród lasów wioseczce, zimą odciętej od świata a latem odwiedzanej przez pomylonych turystów, naukowców i tych którzy przespali Hajnówkę. Bo też jest to niestety tylko wyobrażenie. Dworzec jak w Koluszkach i wreszcie pierwszy żubr. Elegancko wycięty z blachy, kontur podświetlony. Mizerna podobizna króla. Wewnątrz, w poczekalni „akcenty propagandowe" wprowadzające w specyfikę regionu

Poland
The Etnography of Mazovia
Kurpie
Regional Group from Kadzidło
Polen
Żelazowa Wola
Das geburtsthaus von Fryderyk Chopin

I już wiemy gdzie jesteśmy. PKP zadbało.

Niestety trzeba gdzieś spać. Hotel o swojskiej nazwie „IWA" — wszystkie miejsca zajęte. Dom Turysty — podobnie, w kwaterach prywatnych — komplet. Szukam porady:

— Nie ma miejsc? A na petetekowskich kwaterach młody człowiek pytał? Nu tak, nie ma — wycieczek najechało i te z technikum nazajmowali. A pan młody co? Aaaa... student. A toż powinno się coś znaleźć. Nu, poczekaj młody człowiek ze mnoj na Dominiuka. On że oblatany, może doradzi. Cholera, u nas toż tak wieś rok pełno ludzi — lato nie lato, zima nie zima. Jadą i jadą i jadą. A ty jak, pociągom przyjechał? Dobrze się jedzie nie powiem. Ale cóż tu u nas oglądać? Tyle że lasu trochę. A turysty jakie — pyta pan? Turysty, panie młody. Jakież tam oni turysty — oblecą, obiecą kioski ruchu, ta... jak tam jej... Cepelię, w autobus i dalej. Pijane często, głupie jakieś. Ale tak naprawdę powiedzieć, to przez te turystyke, to i Białowieża nie najgorzej wygląda. Wiesz pan młody człowiek, że nie każą chałup z cegieł stawiać? Ino żeby były drzewiane. Mówią, że to regionalny styl taki, to należy się, co by wszystko drzewiane było. Tak i ulice nieźle wyglądają. Ale stawiają z cegły, tyle, że dalej od drogi. Jak dalej, to gmina daje pozwoleństwo. Ile kosztuje drzewiana?... Nu, tak policzyć do kupy materiał i robociznę to wyjdzie jakich tysięcy ze czterysta. Gdzież ten Dominiuk. Młody człowiek, tak i nie czekaj, bo coś mnie się wydaje, że on gorzałkę zwąchał. Żałko, no ja tobie nie pomogę.

Kilka godzin żebraniny i dostaję pokój w „Iwie". I tu pierwszy ślad prawdziwego żubra: wypchany łeb zwierza wisi nad kominkiem obok leży tysiąca skóra. Często jest to jedyny „żubr" widziany przez turystów bo:

— Panie przewodniku, ale my nie jesteśmy przecież wycieczką naukową, to nie musimy aż tak dokładnie wszystkiego znać.

WIEŚ

Na pewno jest to wieś więc niech nie zwiedzie napis na dworcu PKP — **WYJŚCIE DO MIASTA.** Efekt rutyny lub kompleksu. Wieś choć nie ma w niej atmosfery sielskości, słomy na drodze, strzech. Takie wsie nazywamy turystycznymi a Białowieża jest rasowym okazem. W roku ubiegłym 140 tysięcy osób postawiło tu swą nogę. Byłoby to dla króla puszczy tragedią, gdyby wszyscy łazili po lesie. Na szczęście 99 proc. turystów ogląda z autokaru wieś, potem przebiegają przez muzeum, park pałacowy i kończą kontakt z borami na półgodzinnej wizycie w rezerwacie pokazowym żubrów. Puszcza pozostaje nie zniszczona a wsi turysta nie zaszkodzi.

Chociaż Białowieża, to właściwie aglomeracja: składa się ze wsi Stoczek, Zastawa, Krzyżeń, Podolany I i Podolany II. Gdyby nie dziwna zabudowa, to wielkość, liczba mieszkańców i ulic, jak w małym miasteczku. Poza tym piękne parki, muzea, hotele — wszystkiego po dwa i jeszcze parking, poczta i schronisko szkolne. Sielskość to tu towar deficytowy a łatwiej już o porządek. Przy głównej ulicy pod sznurek ustawione wyłącznie drewniane domki — kolorowe z werandami, czyste i zadbane. W obejściach też porządek. Front zrobiony na pokaz i bez pudła. Łażenie po opłotkach trochę psuje obraz. Ale nie przesadzajmy.

Na przeciwnych krańcach reprezentacyjnej ulicy Stoczek, odległe od siebie o dwa kilometry duża cerkiew i duży kościół. Obok kościoła połyskuje szkłem i betonem Technikum Leśne szkoła z tradycjami, jak czytamy w przewodniku **„...przeniesiono w roku 1968 do pięknego, nowoczesnego budynku".** To piękno i nowoczesność spotkać można powielone w całej Polsce. Naprzeciw stary, stylowy budynek z czerwonej cegły. Tu mieściła się szkoła. Przed przeprowadzką.

Białowieża, to dokładnie środek Puszczy. Ktoś wymierzył, zaplanował i w idealnym centrum geometrycznym ustawił spory głaz narzutowy. Ktoś, to znaczy Towarzystwo Przyjaciół Białowieży.

LUDZIE

Nie można powiedzieć jednym zdaniem kim są ludzie z Białowieży. W ogóle jak na wieś, to są oni nietypowi. Leśnicy, chłapunicy, ci z obsługi turystycznej, pracownicy PAN, robotnicy tartaczni, uczniowie z Technikum Leśnego, prawosławni i katolicy, studenci, sklepowe, przewodnicy PTTK, pop i ksiądz, milicjanci, gospodynie domowe i turyści. Z tych ostatnich Białowieża żyje. Może nie całkiem, ale w każdym razie turysta dorzuca ten grosz, dzięki któremu jest tu dostatniej niż gdzie indziej.

Wieś nietypowa. Przez żubra, przez ten czczony las, przez świadomość jak wielkie i jedno i drugie ma znaczenie. Wie stróż i kioskarka, że właśnie specjalnie tu do nich przyjechali uczeni żeby badać żubra, las i przyrodę. Przecież umieją czytać:

Zakład Badania Ssaków PAN
Uniwersytet Warszawski — Stacja Geobotaniczna
Pracownia Instytutu Badawczego Leśnictwa

Niektórzy tam pracują. Przeważnie jako fizyczni, przy pracach pomocniczych. Ale mają tu profesorów, doktorów, docentów i magistrów.

Obecne znaczenie Białowieży wynika niemal całkowicie z faktu powołania przed blisko półwieczem **Białowieskiego Parku Narodowego.** Czas dość długi na uświadomienie sobie własnej wyjątkowości. Cóż by tu było bez Puszczy? A tak: Trzy zakłady naukowe znane nawet za granicą. Przynoszą rozgłos i pracę. Obsługa ruchu turystycznego. Polowania dewizowe i ważne spotkania polityczne. Ogólnopolski Plener Białowieski. Kioski z pamiątkami.

Jednak wieś jest wsią i zwykle sprawa pierwsza, to ziemia. Nawet dla tych co żyją z lasu. Tacy też są Białowieżcy. Chłopoleśnicy, chłoporobotnicy, chłoposklepowe, chłoporportierki, chłopotwórcy... itd. Najwięcej jednak zielonych mundurów „gwardii żubrowej".

Na pierwszy rzut oka, to eldorado. Ludzie jednak mają różne oczy i różnie widzą. Mówią tutaj:

— Młode nie chcą zostawać, wyjeżdżają oni w świat. Nawet te po technikum leśnym, to jak dostaną gdzieś do Puszczy nakaz pracy to uciekają Pożenią się w miastach. Tłumaczą, że tu dla żony nie ma roboty i idą do biur. Dużo ludzi koleją jeździ do Hajnówki. Niektóre do roboty w tartaku a młode do szkół. W Hajnówce przecie liceum i zawodowe szkoły. Później nie chcą do lasu wracać.

Tak mówi starsze pokolenie. A młodzi Młodzi mówią:

— Białowieża jest taka męcząca. wściec się można. Wiecznie spokój i spokój.

ŻUBR

Przyjeżdżali tu w odwiedziny Bolesław Krzywousty, dwóch Władysławów — Łokietek i Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk, Zygmunt August, Stefan Batory, Jan Kazimierz, August II i III, Stanisław August...

Po każdej z tych wizyt żubra obywało w puszczy, gdyż pojawiał się na biesiadnych stołach. Podczas puszczańskiej wizyty Augusta III **„królowa zabiła własnoręcznie dwadzieścia żubrów, zajmując się w przerwach lekturą. Nie chybiła ani razu. Król strzelał również po mistrzowsku".**

Pierwsza wojna światowa znaczyła dla państwa białowieskiego chaos i bezprawie.

„Pamiętnego dnia 21 lutego 1919 roku w oddziale 375 z klusowniczej ręki dawnego stróża żubrowego, mieszkańca wsi Masiewo W. Szpakowicza, padł ostatni żubr Puszczy Białowieskiej".

W roku 1924 Poznański Ogród Zoologiczny zakupił w Niemczech parę żubrów czystej krwi — Gatczynę i Hagena, a potem jeszcze trójkę. Przeniesione do Białowieży, żyły pomyślnie, a skończyły w tutejszym muzeum, jako eksponaty. Potomkowie Gatczyny i Hagena byli pieczołowicie chronieni. W 1952 roku Pomruk i Popas zostały wypuszczone z zagrody — rezerwatu hodowlanego w Białowieży na wolny pobyt w Puszczy. Kto wierzy w swoje nogi i refleks, może prosić o audiencję u władcy — już wolnego, zdziczałego, we własnej ostoi, prawdziwego Króla Puszczy Białowieskiej, którego jedyny potencjalny wróg — człowiek, jest przyjacielem.

Wyruszyliśmy z Grażyną żółtym szlakiem Nie wiadomo jak łatwiej — z mapą czy bez mapy. Straciłem orientację przy wylocie z Białowieży do Hajnówki. Są różne szkoły czytania mapy i dwie wersje drogi. W końcu papiery poszły do torby. Kto pyta, nie błądzi. Złapałem orientacje i raźno, marszowym krokiem udaliśmy się w stronę zaznaczonego na mapie Pokazowego Rezerwatu Żubrów i Tarpanów.

Za ogrodzeniem, to każdy gieroj. Można pić oranżadę, kombinować coś z panią Helą i żubra mieć gdzieś. Przewodnik opowiadał że dwumetrowy płot rezerwatu żubr może przeskoczyć z miejsca, nie ma przed nim szans ucieczki. W pełnym biegu zawraca w miejscu pod kątem 180 stopni, przyspieszenie ma dużo lepsze niż samochód.

A więc znajdujemy się już w puszczy. Nie dziewiczej wprawdzie ale zawsze. Tu drzewo jest drzewem, to znaczy trzy metry w pasie no i głowę też trzeba porządnie zadrzeć do góry. Zadzieram więc któryś tam raz z kolei, kiedy nagle słyszę.

— Waldek, co to jest?

Spoglądam i robi mi się dziwnie... Jakieś trzy sporej wielkości sylwetki. Wielkość obiektów i książkowe doświadczenie wskazuje na to, że mamy przed sobą żubry.

— Może one są drewniane, no... makiety — mówi Grażyna.

Przez chwilę mam prawie wytrzeszcz oczu. Żadnego ruchu. Rzeczywiście stoją jak makiety. Zresztą my chyba też. Jeszcze chwila i makiety zaczynają żreć siano z paśnika.

— Może zawrócimy? — pyta Grażyna.

— Naprzód!

Powoli zbliżamy się do ucztujących zwierząt. Kierują łby w naszą stronę. Stop. Udajemy makiety. Kilka minut bezruchu. Zaczynają ucztować. Ruszamy. W końcu podchodzimy na dwadzieścia metrów.

— A co one mogą nam zrobić? — pyta Grażyna.

— Pogonić. Wtedy wiejmy na drzewo.

Grażyna rozpina kożuch i ogląda się za siebie. Żubry już nie ucztują. Obserwują nas. Czasem machną ogonem. Po kilku minutach odchodzą od paśnika kilkanaście metrów dalej. I znów się gapią. Wreszcie odchodzą. Każdy waży około jednej tony.

— Oj, to mieliście państwo szczęście. Teraz to trudno. Po lesie oni nie chodza bo czego im łazić? Karmy nie ma. Wszystko pod śniegiem. Teraz to oni chodzą w stadach i najlepiej ich spotkać przy paśnikach. Przy paśniku spotkali? No toż ja mówię — gdzie indziej ciężko ich zobaczyć.

WALDEMAR MAREK WIŚNIEWSKI

1.

Po kilku tygodniach, być może już w HUCIE DŁUTOWSKIEJ nie znajdzie się miejscowego, który by przybysza pytającego o szpital kardiologiczny wprowadził w błąd i posłał do istniejącego tam od wielu lat domu opieki nad małym dzieckiem. Ale jeszcze po kilku tygodniach pracy tej nowej placówki służby zdrowia rzadko który mieszkaniec wsi o takim szpitalu wiedział. Bo ludzie zajmują się gospodarstwem, a jeszcze częściej wsiadają do autobusu PKS i jadą do pracy do pobliskich Pabianic.

Pierwszy pacjent zjawił się tu **29 grudnia 1976 roku.** Jakoy na Sylwestra lub Nowy Rok. Szpital nie przypomina szpitala. Nowoczesny dworek, obszerna, za obszerna jak na jedną rodzinę willa o czerwonym dachu z oddali przypominającym chińską budowlę. We wnętrzu, na parterze spory salon w ciemnym drewnie, z ciemnymi belkami stropowymi u sufitu, kominek jak w starym angielskim domu, pianino, palma, wygodne fotele. Tylko odbiornik telewizyjny zaprzecza staroangielskości. Podobny charakter ma biblioteka i hall na piętrze. Szpitalne są jedynie pokoje chorych, ale i one pozbędą się, gdy tylko nadarzy się okazja, łóżek, a wjadą tu wersalki, foteliki, dywaniki...

Dom-willę zbudował w 1936 roku obywatel Szwajcarii Herman Thomen, związany z zagranicznym kapitałem ulokowanym w Pabianicach, którego tytułowano też szwajcarskim konsulem. Dzisiejsza salowa w szpitalu, **Henryka Urbanowa** jako młoda dziewczyna pracowała u konsulów. Powiada, że byli to solidni, dobrzy ludzie. Pamięta ich sporą gromadkę dzieci. Siostra pani Thomen wyszła za mąż za Polaka, przeżyła z mężem tragedię Warszawy. W trzydziestym dziewiątym, kiedy hitlerowskie bomby padały na miasta, wsie, szosy, Thomenowie kazali rozłożyć na trawie wielką szwajcarską flagę z białym krzyżem na czerwonym tle i wpuścić do parku ludzi, by ten neutralny teren bronił ich przed bestialstwem piratów powietrznych z czarnymi krzyżami na skrzydłach samolotów.

2.

Ogromne tuje mają po czterdzieści lat. Sad także więc już skarlał. Przepiękna jest roślinność za domem-willą. Drzewa i krzewy posadzone tu w latach trzydziestych łączą się już ze starodrzewem właściwego lasu, ale wszystko to tworzy jeden rezerwat przyrody, będący we władaniu kuracjuszy. Trzy dęby mają po 200—300 lat. Niewidzialnym podkopem pod siatkowym ogrodzeniem przechodzą sarny, szaraki, a nawet dziki, które ryją pod dębami. Wszystkiego 150—200 metrów od szpitala! Któregoś dnia w lutym pacjenci naliczyli siedem sarnich legowisk.

Rezerwat szpitalny ma też własny strumień, nazwany przez łodzianina, **Kazimierza Morawskiego...** Berezynę. Czytał akurat w szpitalu książkę o cesarzu Francuzów, więc i ordynatorowi powiedział w czasie obchodu lekarskiego: — **64 uderzenia na minutę? Lepiej niż u Napoleona, który miał sześćdziesiąt.**

Komfort — leczenie pozawałowe w puszczy, na łonie natury! Piotrkowska wojewódzka służba zdrowia postarała się o niezwykle cenny ośrodek lecznictwa, z którego w ciągu roku będzie mogło skorzystać około 250 pozawałowców, a szacuje się, że rocznie jest ich w województwie około 500. Kurtuazyjnie kilka łóżek oddano Łodzi, bo wysokiej klasy kardiolodzy z Łodzi sprawują fachową opiekę nad oddziałem piotrkowskiego WSZ, by pomóc ordynatorowi dr med. **Jerzemu Pawlakowi,** który z ogromnym, jeszcze zdrowym sercem (oby jak najdłużej) zajął się oddziałem. Opowiadają, że zanim oddano obiekt, doktor był zaopatrzeniowcem, nawet remontowcem i malarzem pokojowym.

Jak tu leczą? Jak w szpitalu, bo przy pomocy potrzebnych choremu leków. Ale przede wszystkim leśnym powietrzem i gimnastyką. Rano 5 minut dla rozruchu, przed obiadem 20 minut. Z każdym dniem więcej intensywnego „łamania kości", wysiłku. Sprawcą tego jest mgr B. B., czyli **Barbara Baranowska,** pełna wdzięku, także znakomity komban chorych w czasie ich przedpołudniowych spacerów.

Nastrój domowy stwarzają młode pielęgniarki, zawsze serdeczne i uczynne siostry: Małgosia, Mariola, Sabina, Urszula, Maria na czele z przełożoną **Jadwigą Górecznią.** Dojeżdżają z Pabianic (8 km) lub Bełchatowa (25 km), dwie mieszkają we

Foto: Archiwum

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

SERDECZNY REZERWAT

wsi. Umacnia ten nastrój domowa kuchnia niczym nie przypominająca szpitalnej. To dzięki małej grupie chorych, no i oczywiście wysokim umiejętnościom kulinarnym kucharek na czele z ich szefową **Lucyną Bukowiecką.**

3.

Jedni dla poparcia tezy o komforcie powiadają: 27 osób personelu na dwadzieścia parę osób leczonych. Nawykli do reżimu oszczędności oceniają to krytycznie. Przesadna krytyka, ale, prawdę mówiąc, w **Hucie Dłutowskiej** można będzie w niedalekiej przyszłości przywracać zdrowiu jeszcze większą liczbę pozawałowców. Nie brak tutaj miejsca na budowę dodatkowego pawilonu. Wzniesienie takiego pawilonu mogłoby też rozrzedzić niektóre pokoje chorych. Pierwsi chorzy — ze stycznia i lutego, jeśli o czymś mówili krytycznie, to o tym, że sale chorych nie powinny przekraczać trzech łóżek, gdy tymczasem są dwułóżkowe, trzyłóżkowe, ale i czterołóżkowe, a jedna pięciołóżkowa. Ta ostatnia, jak i czteroosobowe zaprzeczają zasadzie k u r a c j i s p o k o j e m...

Ale zrobiono co było można. Budynek przecież tylko adaptowano.

4.

Pierwsi chorzy, ich rozmowy na temat: skąd się wzięły u nich zawały...

Mieczysław Potrzebowski był w Hucie Dłutowskiej pierwszy. Po zawale przed czterema laty musiał, niestety, pójść na rentę. Wtedy też zaczął pisać wiersze. Trochę w nich z Konopnickiej, trochę z Lenartowicza, też i z Asnyka... Zawał? Przemęczenie pracą, brak snu, mało przebywania na świeżym powietrzu. I stresy. Pracował w Hucie „Kara" w Piotrkowie, gdzie nie narzekał na organizację pracy. Ale też pracował w innych przedsiębiorstwach, gdzie ludzie jakby robili sobie na złość, więc tworzyli warunki sprzyjające stresom, skracaniu życia...

Jan Słowikowski, jak jego poprzednik, przybył do Huty Dłutowskiej w dniu inauguracji szpitala, 29 grudnia 1976 roku:

— W „Wistomie" w Tomaszowie pracuję już 40 lat, a od 32 lat w zakładowej straży ogniowej. Mam 59 lat. Alarm sercowy nadszedł zaledwie kilka miesięcy temu, na jesieni. Chyba nerwowy tryb życia — to przyczyna. No i papierosy! Paliłem 60 sztuk dziennie. Teraz prawie nie...

Marian Majewski, włókniarz z tomaszowskiej „Mazovii", tomaszowianin **Ryszard Majchrzak** — mężczyźni jak przysłowiowe dęby, daleko im do pięćdziesiątki.

— Może impulsywny charakter, duża żywotność były przyczyną? — zastanawia się Majchrzak.

Chory, kierownicze stanowisko, lat 52:

— Skąd się to u mnie wzięło? Może, że jestem człowiekiem wrażliwym?... Proszę pana, każdy człowiek pragnie być sprawiedliwie oceniany. Ja się dotąd nie oszczędzałem, w środowisku, z którym związany jestem od urodzenia, sypałem pomysłami. Dziękowali, wdrażali te pomysły. Po kilku miesiącach, jak przyszło zbierać plony, zbierali je inni, rzadko sobie tylko przypominano, że to moja inicjatywa, moje nieprzespane noce i czas wolny... Żeby pan wiedział, ile potrzeba zdrowia, kiedy się zdarzy mieć głupiego przełożonego...

Pora przed snem, a i dzienne spacery budzą filozoficzne medytacje.

— Ludzie za bardzo gonią. Każdy chce się szybko urządzić, dorobić. Umacnia to w nich prywatę. Bezinteresowność staje się luksusem, życzliwość wyrazem słabości, bo zwyciężają ludzie mocni — powiada Jerzy W. z Łodzi, robotnik, uroczy człowiek. Dał się przez kilka tygodni poznać współtowarzyszom doli szpitalnej jako jeden z tych, którzy nigdy nie chcieli się szybko i dobrze urządzić, który przeżywszy lata młodzieńcze w niemieckiej niewoli, raczej postawił na ideowość, bezinteresowność wobec innych ludzi.

Inny spacerowicz, Jerzy, milczy. Do zawału wiedział, że nigdzie się bez niego obejść nie mogli, że jego aktywność zawodowa i społeczna wyraźnie ważą w środowisku. Nagle przyszedł ten zawał, uderzył jak grom. Pozbierał się już, wraca do zdrowia, ale to jedno go męczy: osiem tygodni w szpitalach, teraz w Hucie Dłutowskiej, zupełnie blisko instytucji łódzkiej, w której przez wiele lat pracuje, a żadnego ludzkiego sygnału. Nawet do domu nie zadzwonili, by spytać żonę co z nim? Tu, do Huty raz wpadł doń młody człowiek, którego się najmniej spodziewał, któremu niewiele z siebie dał, będąc jedynie kilka lat temu jego szefem, kiedy tamten odbywał staż w przedsiębiorstwie. Myśl o tym młodym człowieku rozpogadza nastrój. Nie wszyscy gonią, zamieniając się w drewno. Zapytał czy czegoś nie załatwić, w czymś nie pomóc, zostawił świeżą prasę...

— Wie pan — powiada ten dynamiczny i teraz, po zawale człowiek, który ledwie stanął na nogach, a już zabrał się do swojej pasji życiowej, do studiów przyrodniczych. **— Życzę wszystkim stu lat życia, a mimo tego niektórym także przeżycia choć raz fizycznego alarmu serca.**

— O, tak — przytakuje inny zawałowiec. — **Miałem przełożonego, jest teraz w Warszawie. Jak syty głodnemu nie wierzył, kiedy ktoś zachorował. Wzięli go pewnego dnia niespodziewanie zza biurka. Wrócił inny człowiek. Teraz pytał o zdrowie podwładnych, udoskonalił organizację pracy, zwalczał próżnych gadułów...**

5.

Rychło okazało się, że przyjazd do Huty Dłutowskiej pana Karola M. natychmiast ożywił społeczność szpitala kardiologicznego. Kpiarska, nieco pochylona sylwetka mężczyzny o średnim wzroście, chodzącego o lasce (po dwóch zawałach!) wzbudzała atmosferę powszechnej sympatii. Zdrowy dowcip człowieka, który pół świata zjeździł i z niejednego pieca chleb jadł, towarzyszył lekarzom, pielęgniarkom i chorym. Tacy ludzie są jednym z najlepszych lekarstw dla rekonwalescenckiej rodziny, wśród zdrowych oni konserwują społeczne zdrowie.

— Ja kończyłem socjologię...

— A ja ekonomię — chwalą się niektórzy.

— A ja skończyłem sześćdziesiąt cztery lata — powiada z niewinną miną pan Karol...

ALICJA SARNAT
MAREK MILLER

FESTIWAL

Przyjeżdżają do Łodzi z całej Polski. Mówi się o nich młoda inteligencja, pokolenie lat siedemdziesiątych. Zastali sytuację określoną, szukają teraz w niej swojego miejsca, niecierpliwie, żarliwie, zbierając argumenty na TAK i na NIE. Są otwarci, wrażliwi na wszystko, co ich otacza. Często można zobaczyć u nich zieloną brezentową kurtkę, u boku chlebak na skórzanym pasku, na nogach mocne, solidne buty. Jak gdyby ciągle byli w podróży, w poszukiwaniu drogi, którą pójdą. Nazwali te spotkania teatralnymi, bo taki jest język, który sobie wybrali, ale pracując nad nim, doskonaląc go mają świadomość, że to jedynie pretekst, aby mówić o sobie, mówić o kraju, w którym żyją.

Opisując sytuacje, mieszając sprawy małe i duże, chcielibyśmy pokazać obraz trzech dni XIII Łódzkich Spotkań Teatralnych, trzech dni wydarzeń, których gospodarzem było nasze miasto.

DIALOG Z WIDZAMI

Wnętrze namiotu cyrkowego. Od stropu zwieszają się liny, sieci, drabinki sznurowe. Dyskusje.

Jeden z Teatru STU:

— Stworzyliśmy najlepsze warunki, jakie można było. Złożyło się na to jedenaście lat naszej pracy, setki recenzji, artykułów, esejów o teatrze w najpoważniejszych gazetach. Widniejemy na zdjęciach z prezydentami, ambasadorami, twórcami i animatorami światowej kultury. Mówią o nas „Imperium", ale krzywdzą nas, bo nie monopolizujemy niczego, natomiast stwarzamy precedens...

WIDZ:

— Zawsze była w was temperatura, gorączka. „Pacjenci" to już tylko spektakl, znakomity, ale tylko spektakl, dla polonistów, teatrologów, krytyków. Co ja mam z tego? Ten spektakl nie jest mój. Jutro o nim zapomnę.

Jeden z Teatru STU:

— Nie zamierzamy robić teatru ciągle aktualnego, dla nowych pokoleń. Teatr nasz będzie się starzał razem z nami.

Przedstawiciel Sceny Plastycznej KUL:

— Nasz teatr, to teatr bez słów. Bez aktora, właściwie „gra", sama plastyka działająca na zasadzie metafory. Towarzyszy jej muzyka o dużym natężeniu emocjonalnym. Aktor, jeżeli się pojawia, sprowadzony zostaje najczęściej do roli rekwizytu.

WIDZ:

— Nie jestem za teatrem estetyzującym. Ale wasz teatr otwiera widzowi nowe światy waszej wrażliwości. Rozbudza refleksję nad lękiem, świeżością i śmiercią. Przez to jest cenny dla każdego, kto wejdzie na wasz spektakl.

Reżyser Teatro Experimental de CALI — ENRIQUE-BUONAVENTURA, czołowy dramaturg Ameryki Łacińskiej, onigś malarz, trochę poeta, trochę tramp:

— Sztuka nasza jest oparta na opowiadaniu folklorystycznym, powstałym w ubiegłym wieku. Bazujemy na tradycyjnej teatralnej formie zwanej mohikanga — bardzo popularnej w Kolumbii. Powstała ona z misyjnego teatru konkwistadorów, związanego ze stylem i formą kultury indiańskiej. Twórcami oryginalnych przedstawień mohikanga byli Jezuici. Przedstawienia rozgrywano przede wszystkim na wsi. Zainteresowani jesteśmy w poszukiwaniu form, które były społecznie popularne, a są już zapomniane. Nie robimy tego tylko po to, aby stwarzać dokumenty folklorystyczne. Znajdujemy w tym także coś dla siebie. Stare, wieczne prawdy o życiu i o śmierci, o biednych i bogatych.

WIDZ:

— Wasz głos, to głos z boku. Ale chcemy wiedzieć jacy jesteście, co chcecie nam powiedzieć. Wasz spektakl to spełniona nadzieja, że jesteśmy sobie bliscy, że istnieje między nami porozumienie.

Przedstawicielka Teatru MAJA:

— Wydaje mi się niekiedy, że jestem strasznie oszukiwana, że mój głos nic nie znaczy. Że jestem jedną z milionów, która musi przetrwać w tym życiu, urządzić się jakoś. Lecz są chwile, kiedy czuję się niezwykle silna i dzielna, gotowa do dźwigania ciężaru całego świata. I wtedy czekam na kogoś kto powie mi „Idź za mną, bo we mnie jest słuszność". A ja, nie pytając o szczegóły, będę pewna, że on ma rację. Nie widzę nikogo takiego. Nie widzę już od dawna. Jestem wśród was, lecz jestem sama.

WIDZ:

— Co o tym myślicie?

Jeden z Warszawskiej Grupy Teatralnej:

— Teatr to mówienie światu NIE!

Ktoś z Teatru 77:

— Teatr to budowanie!

WIECZÓR W KLUBIE

Klub festiwalowy — Piotrkowska 77, czynny od 14.00—2.00 w nocy. Automaty do gry, grająca szafa, przy stołach młodzi ludzie, piją, jedzą, rozmawiają. Gwarno. Tłok.

Nieustannie zakładają nowe teatry, które czasem znikają po pierwszej premierze.

Początkowo byli grupą towarzyską, łączyły ich więzy natury psychologicznej. Są, i mają nadzieję pozostać, entuzjastami twardej, spełniającej konkretne zadania sztuki, która w centrum swoich zainteresowań stawia odwieczne i uniwersalne problemy kondycji ludzkiej w jej nowych obliczach. Woleliby uniknąć starć, i przetarć w układach panujących w środowisku, chociaż chętnie plotkują na temat teatrów, które do czegoś doszły. Oto fragmenty, urywki rozmowy:

Wojtek: — **Przeżył tragiczną miłość...**

Andrzej: — **Cytuję: „sztuka jest rodzajem terapii, pozwala oderwać się od kłopotów, wyładować się, poczuć samego siebie".**

Krystyna: — **Uwielbia dyskusje i lody...**

Rysiek: — **Lubię rysować dziewczyny brzydkie, ale w życiu lubię dziewczyny tylko ładne i duże...**

Tadek: — **Umiejscowić życie zgodnie z naturą...**

Z grającej szafy dobiegają słowa piosenki:

„Wzniosłe, pieniacze nasze posłannictwo
ze srogich racji utkane i klątwy
słów bełkotliwych i wielce gorących
ta rewolucja na co nam, rówieśni?
Niechaj pierwotniak śpi, niechaj prześpi
Czas, w którym mógłby stać się
człekokształtny...

Około godziny 24.00 kończą się spektakle i wtedy ściągają tutaj wszyscy. Robi się coraz ciaśniej. Ludzie, jak fale, dobijają do baru i odpływają do stolików. Wszyscy łażą, tańczą, mówią:

— Chcę widzieć świat inaczej, chcę od niego rekompensaty za mój brak pewności, za to, że jestem tylko pokojem przechodnim.

— Nie każda racja musi być brana pod uwagę...

— Jak to będzie? Jak to może być? Żeby bunt przerobić na dobrobyt!

— Dziś wszystko stracić muszę! Dziś gram w cały bank! Dziś cały świat należy do mnie! Wyszaleć się!!! Wyszaleć! Zagubić. Tańczyć! Tańczyć!!...

I JUŻ PO WSZYSTKIM

Sala Kolumnowa ŁDK, godzina 20.30. Rozstawione mikrofony, reflektory, jupitery. Cały czas grupa młodych ludzi z kamerami kręci film.

B. Litwiniec: — Za chwilę odbędzie się publiczna refleksja na temat zdarzeń festiwalowych. Przedtem jeszcze K. Puzyna poinformuje o myśleniu Rady Programowej XIII Łódzkich Spotkań.

K. PUZYNA: — **Festiwal ten podobnie, jak poprzedni, nie jest imprezą konkursową. Proponując przedstawienia, które obejrzeliście w czasie minionych trzech dni zdecydowaliśmy się pokazać te, które włączają się aktywnie w próbę opowiedzenia się wobec rzeczywistości społecznej. Włączyliśmy do przeglądu wybrane, pokrewne myślowo i kierunkowo, propozycje amatorskich teatrów robotniczych i szkolnych oraz z przeciwnego krańca teatr profesjonalny. Wydaje się nam bowiem, że rzeczywistość teatralną lat siedemdziesiątych zmodyfikował w znacznej mierze tradycyjny podział na teatry studenckie i zawodowe i wymaga dzisiaj innego typu konfrontacji. Konfrontacji, gdzie sprawy wspólne, wspólne dążenia, problemy, pytania mają naszym zdaniem wagę większą niż odrębności organizacyjne. Przyjęliśmy zasadę spotkań otwartych, otwartych także dla innych dyscyplin sztuki, jeśli zbliża je z nami wspólny kierunek działania, dla filmu, plastyki, muzyki. Chcieliśmy żeby XIII ŁST stały się spotkaniami nie tylko teatralnymi, lecz spotkaniami młodej sztuki.**

Z. Hejduk: — **Chcieliśmy powiedzieć za dużo w ciągu tych trzech dni. W związku z tym nastąpiło zbyt forsowne tempo, od spektaklu do spektaklu, od sprawy do sprawy. Pewne niedociągnięcia organizacyjne, jak również zmęczenie samych zespołów spowodowało nadmierne spiętrzenie w ostatnim dniu festiwalu. Kosztowało nas to odwołanie jednego spektaklu i jeszcze kilka zapewne przykrych nieporozumień, za które chciałbym tu przeprosić.**

A. Kaczmarek: — **Dużo było spektakli kontrowersyjnych, do nich należy „Budowa" Teatru 77. Dla mnie jest to teatr daleki od taniej afirmacji, być może nie został on odpowiednio zrozumiany w swoim podtekście i warto by się nad tym zastanowić, przemyśleć. Dość ciekawą, logicznie skonstruowaną wypowiedź, zaprezentowała Warszawska Grupa Teatralna. Interesujący jest Teatr MAJA z Poznania. Wybierając te zespoły chcieliśmy pokazać dzielące je różnice, ale i wspólny mianownik — troski i niezgody na istniejące patologie społeczne.**

GŁOS Z SALI: — Niezwracanie uwagi na formę wypowiedzi artystycznej prowadzi do tego, że estetyczny schemat wypowiadanych treści staje się jedynie negatywnym funkcjonującym na co dzień gazet.

Głos II z sali 5:

— Z całego trzydniowego spotkania najbardziej poruszył mnie spektakl Teatru 77. Ja jestem od wielu lat emocjonalnie związany z propozycjami tego teatru, nie tylko dlatego, że lubię tych kolegów, że są mi bliscy, ale dlatego, że ich droga myślowa ostatnimi laty była drogą, którą chętnie szedłem. I w tym roku po raz pierwszy zostałem poirytowany, poruszony, zostawiony w swojej bezradności. Do końca nie bardzo rozumiem o czym chcieliście ze mną rozmawiać. Gdzieś w tej wypowiedzi postąpiliście w sposób nieuczciwy, dlatego, że nie przedstawiliście niczego, co byłoby z waszej strony propozycją do dalszej rozmowy. Jest to konstatacja faktów, które mają miejsce w naszym życiu. Trochę wzbogacona o odczytanie, którego nie zawiera, ani dziennik TV, ani prasa codzienna. Pokazaliście mi plakaty — obrazy. Nie oczekiwałem od was odpowiedzi na pytanie, jak mam postępować, jak mam żyć? Ale oczekiwałem propozycji do rozmowy, do przemyśleń.

FILM

POLSKA BOVARY

Polska pani Bovary lat siedemdziesiątych, naszego ożywiście wieku. Ten pomysł, jak donoszą kończące film napisy, zrodził się w umyśle Andrzeja Szczypiorskiego. Kształt konkretny nadał mu, jako scenarzysta i reżyser, Zbigniew Kamiński, realizując film „Pani Bovary — to ja". Z pomysłami rzecz się ma podobnie, jak z tzw. dobrymi chęciami. Ich skutek nie zawsze finalizuje w sposób przewidywany przyczynę.

Sięgnąć tak wprost do **„Pani Bovary"** to znaczy dotknąć tych spraw, które były sprawami jej autora. Gustaw Flaubert nienawidził mieszczaństwa, nienawidził swojej epoki, triumfującej rzeczywistości mieszczańskiej. Z tej nienawiści zrodziła się „Pani Bovary", książka, która uczyniła go mimo woli, jak pisał Boy, chorążym realizmu we Francji. Tadeusz Boy-Żeleński z perspektywy swych czasów pisał: **„...pochłonąłem powieść Flauberta z całą świeżością, nie mogłem się od niej oderwać. Ale mimo woli najbardziej zastanawiała mnie jej strona obyczajowa: jesteśmy dziś tak bardzo pod znakiem wielkiej obyczajowej przemiany, że wszystko widzi się pod tym kątem".** Przypomnijmy w tym miejscu, że samemu Flaubertowi wytoczono w 1857 roku z powodu tej powieści proces o obrazę moralności i dobrych obyczajów. Do procesu tego Flaubert przygotowywał się czyniąc wypisy udowadniające, że od trzech wieków nie było w klasykach francuskich ani wiersza, który by nie był obrazą moralności i dobrych obyczajów.

Wszystko to nie grozi ani autorowi pomysłu, ani scenarzyście i reżyserowi filmu „Pani Bovary — to ja". Pewne natomiast jest to, że pomysł tego filmu zrodził się z odczytań bliskich odczuciom mistrza Boya, z chęci analizy owej rzeczywistości mieszczańskiej naszych czasów i czasów tych obyczajów, jako że zawsze można mówić, tak jak Boy, że żyje się w okresie wielkich przemian obyczajowych.

Nasza pani Bovary, nie Emma, lecz Anna, nie żyje na prowincji, lecz w wielkim mieście. Nie jest żoną lekarza, lecz inżyniera, co zresztą, bez znaczenia. Nie jest panią bez zawodu, lecz umiera z nudów, przebywając na kilkuletnim bezpłatnym urlopie macierzyńskim. No i przeżywa kryzys psychiczny, jego dzieje idą tropem historii Emmy, czytanej przez samą Annę, a dla naszych uszu głosem narratora. To, co w filmie tym wdzięczne i ciekawe, to owe punkty styczne, a jeszcze częściej kontrapunkty obu historii. Kontrapunkty te są wówczas smutnie zabawne, gdy „niemoralność" Emmy znajduje swe odbicie we współczesnej „niemoralności" Anny, gdy autor filmu odsłania realia naszej mieszczańskości.

Dorzucić tu trzeba jednak jedno „ale", jest ono znów związane z anegdotą, którą zawdzięczamy Boyowi. Jak wiadomo, Flaubert swą arcypowieść pisał w oparciu o autentyczne wydarzenia. Kiedyś, dawno temu, dwaj francuscy literaci wpadli na pomysł, by odwiedzić miasteczko, w którym żyła i umarła Adelfina Coutuvier, pierwowzór Emmy Bovary. Odnaleźli tych, którzy w jej życiu uczestniczyli. Boy opowiada o tym zdarzeniu tak: „Jeden z „pielgrzymów", opuszczając miejsce, gdzie żyła pani Bovary, szepce do siebie: „Biedna mała..." To bardzo francuskie, ale bardzo ludzkie zarazem. U nas pielgrzymki takie dotyczą zawsze pamiątek jakiejś narodowej klęski. Ale czy życie — zheroizowane w sztuce — nie ma też swojej martyrologii?"

I otóż to: Nikt z nas wyszedłszy z kina nie szepnie: „Biedna mała..." I nie tylko z powodów, o których pisał Boy. Nie szepnie, bo postać Anny — Emmy nie dostarczy po temu powodów. A przecież sięgając do pierwowzoru można było szukać nie tylko przejawów, które się atakuje, ale i ich przyczyn. Emma była nie tylko żałosna, ale i tragiczna. Przenikliwości spojrzenia zabrakło w portrecie Anny, a zabrakło też w nim argumentów na to, by traktować go bądź jako obraz satyrycznie umniejszający dramaty pani Bovary, bądź jako wizerunek nowej szansy dla Anny, jaką przyniosły wyżej wspomniane przemiany obyczajów.

Wszystkie te uwagi nie znaczą, że film ten mi się nie podobał. Po prostu — noblesse oblige. Bez pamięci o tym film Zbigniewa Kamińskiego ma swe walory, których nie dostrzegłam na przykład w filmie „Sam na sam" Andrzeja Kostenki. A wspominam go nie bez przyczyny, jako że kojarzy je choćby postać aktorki grającej tam i tu główną rolę, czyli Jadwigi Jankowskiej-Cieślak. O ileż lepszej w filmie Kamińskiego. W ogóle postacie i aktorzy udali się w filmie „Pani Bovary — to ja", znów oglądamy, w epizodach co prawda, ale doskonałych: Krystynę Jandę i Jerzego Radziwiłowicza.

EWA NURCZYŃSKA

DAWNE PROCESY (3)

ŚLEDZTWO

KONRAD FREJLICH

Po wyjeździe Groszkowskiego z Łodzi Adam Walaszczyk postanowił zwrócić się o pomoc do samego prezydenta, bo była to jedyna instancja, gdzie mógł przedstawić swoje położenie. Ale Cynarski, pracujący równocześnie w szkolnictwie, nie stosował pseudodemokratycznych praktyk swego zastępcy, nie miał na to czasu. Drzwi gabinetu były strzeżone przez woźnych i wcisnąć się tam nie było łatwo. Mimo to Walaszczyk, po daremnych wyczekiwaniach na korytarzu, znalazł w końcu sposób, aby zwrócić na siebie uwagę ojca miasta. Podczas bezowocnych wędrówek po Magistracie poznał prezydencki rozkład zajęć i dopadł Cynarskiego, gdy ten wsiadał do powozu. Udało mu się nawet zamienić parę zdań z dygnitarzem, który zaciekawiony osobliwym zachowaniem petenta, wyznaczył mu audiencję. Poradził przeto Walaszczykowi wnieść podanie i czekać wyznaczonej kolejki.

Wniesienie podania kosztowało dwa złote, ale Walaszczyk nie śmiał prosić prezydenta o jałmużnę, chociaż wszędzie skończył mu się kredyt. Próbował to niezbornie wytłumaczyć, lecz Cynarski nie zrozumiał i wzruszył ramionami. Walaszczyk zachowywał się zresztą tak dziwnie, że prezydent wziął go za jakiegoś nieszkodliwego maniaka, który nie bardzo wie, czego chce. Powóz odjechał rozpryskując błoto, bo wiosna była tego roku deszczowa i chłodna.

Od paru dni Walaszczyk chodził głodny, koledzy, z którymi przesiadywał niegdyś przy kieliszku, odwracali się na jego widok plecami. Człowiek za burtą nie jest nikomu potrzebny, o czym Walaszczyk przekonał się raz jeszcze daremnie wypatrując prezydenckiego powozu na chłodnych ulicach. Ale jeszcze nie poddaje się całkowicie rozpaczy, chociaż słabsi od niego wybierali samobójstwo, o czym często donosiły gazety w rubryce wypadków z miasta. Walaszczyk zahartowany w prześladowaniu Groszkowskiego, kopiuje tamto wcześniejsze doświadczenie. Dowiaduje się skądś prywatnego adresu prezydenta i 13 kwietnia, w Wielką Środę, puka wieczorem do drzwi na drugim piętrze. Lecz w kamienicy przy ulicy Andrzeja 4 służba nie pozwala mu przekroczyć progu kuchni. O jego wizycie Cynarski nawet się nie dowiedział.

Wtedy właśnie spotkał swego kolegę związkowego, Kazimierza Rydzewskiego, pierwszego człowieka, który chciał go wysłuchać. Było to podobno spotkanie przypadkowe, tak przynajmniej zostało odnotowane w aktach sprawy. Przeczy temu jednak zamieszczona w „Republice" notatka, z której wynika, że w tygodniu poprzedzającym Wielkanoc **„do mieszkania prezydenta Cynarskiego, podczas jego nieobecności, przychodzili jacyś dwaj podejrzanie wyglądający osobnicy, którzy dopytywali się, o której godzinie prezydent wraca do domu".** To „podejrzanie wyglądający" zostało zapewne dorobione później, po wypadku, z notatki wynika jednak, że prezydent już wcześniej był niepokojony przez dwie, przynajmniej, osoby. Co prawda, bezpośrednio po zabójstwie, prasa mówiła o wizycie jednego tylko osobnika zastanawiając się, czy miała ona jakikolwiek związek z późniejszym przebiegiem wypadków i nie dała na to pytanie odpowiedzi, nie ulega wszakże wątpliwości, że prezydent był niepokojony przed zabójstwem.

Jak się udało ustalić Walaszczyk i Rydzewski spotkali się w Wielką Środę na rogu Bałuckiego Rynku i Aleksandrowskiej (dzisiaj ul. Bolesława Limanowskiego), w pobliżu mieszkania Wojciechowskiego, gdzie Walaszczyk odnajmował pokój. I tu właśnie zwierzył się swemu koledze związkowemu z zamiaru dokonania odpłaty. Nie był to jeszcze dokładny plan zemsty, ale dzięki Rydzewskiemu rychło stał się planem.

Ten plan skonkretyzował się w małej knajpce w pobliżu: Rydzewski pracował, posiadał więc pieniądze i zaprosił Walaszczyka na małą fundę. Co prawda Rydzewski nie miał osobistych powodów, aby nienawidzić Cynarskieko, toteż zachęcanie Walaszczyka do odwetu może nam się wydać nieco dziwne. Ale tylko wtedy, gdy zapomnimy o wyjeździe, a raczej ucieczce z Łodzi wiceprezydenta Groszkowskiego.

Wiceprezydent znał dobrze Kazimierza Rydzewskiego, załatwił mu nawet pracę na robotach miejskich, choć jego protegowany miał na swym koncie świeżo odbyty wyrok za skatowanie człowieka w lasku łagiewnickim i bardzo napięte stosunki z posterunkowym Altmanem. Nie ma na to wprawdzie pełnych dowodów, ale z całokształtu sprawy wynika dość wyraźnie, że Groszkowski zlecił Rydzewskiemu opiekę nad Walaszczykiem. Pewnie dałoby dygnitarzowi satysfakcję, gdyby jego protegowany połamał swemu koledze kości, mokra robota zapewne nie wchodziła w grę. Ale Walaszczyk był także zabijaką i w bójce z Rydzewskim miałby co najmniej równe szanse, wykonanie więc przez tego ostatniego „zamówienia" szefa chadecji wiązało się z poważnym ryzykiem. Zresztą Rydzewski potrafił myśleć, co nie jeden raz udowodnił podczas śledztwa i na sali sądowej.

Nie ulega wątpliwości, że Rydzewski przekroczył pełnomocnictwo dane mu przez zleceniodawcę. Groszkowski miał ambicje na urząd prezydencki, ale wolałby, aby wysoki stołek opróżnił się w sposób naturalny, bez konieczności uciekania się do mordu. Rydzewski nie rozumiał takich subtelności. Zadecydował, że unieszkodliwi Walaszczyka, a raczej przyczyni się do tego, że Walaszczyk unieszkodliwi się sam pociągając za sobą Cynarskiego. Dlatego też czestując kolegę nie pohamował szaleńczych zapałów Walaszczyka. Nawet zachęcił go do odwetu pokazując nóż.

W Wielki Czwartek obaj zamachowcy spotkali się rano na Placu Wolności, aby wypić, dla dodania sobie odwagi, butelkę wódki, którą postawił Rydzewski. Na umówione miejsce Walaszczyk przyszedł już z nożem podobnym do tego, który mu dnia poprzedniego pokazał przyjaciel. Nie udało się ustalić, skąd wziął pieniądze. Pan Fajnmel, subiekt sklepowy, rozpozna potem w sądzie narzędzie zbrodni sprzedane przez niego w dobrej wierze przygodnemu nabywcy. Był to nóż stalowy, długi na 18 centymetrów, z zaostrzonym końcem.

Ale to żelazo bardzo ciąży Walaszczykowi. Podczas poczęstunku zamachowiec rozkleja się zupełnie, nie ma już ochoty zabić Cynarskiego, jakby jego wola wyczerpała się podczas nabywania noża. Rydzewski podtrzymuje więc upadającego na duchu kolegę, gra mu na ambicji. Sterroryzowany psychicznie Walaszczyk daje się prowadzić na ulicę Andrzeja. Tutaj przeżywa nowe załamanie woli. O stopniu jego oszołomienia może świadczyć to, że czekając w bramie na pojawienie się prezydenta nie spostrzegł, że w międzyczasie Rydzewski uporał się z kłódką sklepiku Kutnera. Postępowanie dowodowe prowadzone przez komisarza Weyera wykazuje zadziwiające luki, nie ulega jednak wątpliwości, że ta porzucona na schodach kłódka najbardziej obciąża Rydzewskiego.

Słysząc kroki zstępującego z góry Cynarskiego Walaszczyk załamuje się kompletnie. Wie teraz, że nie potrafi zabić. Dygoce w dziwnej, nerwowej gorączce, zalewa się potem. Jak przez mgłę widzi Cynarskiego, któremu Rydzewski unieruchomił rękę. Teraz powinien uderzyć, ale nie ma siły, aby unieść nóż.

Rydzewski niecierpliwi się. Te sekundy ciągną się już zbyt długo.

— Bij — szepcze rozkazująco — no, bij!

Walaszczyk spełnia polecenie zupełnie automatycznie. Słyszy przeraźliwy krzyk prezydenta i oślepły z trwogi rzuca się do ucieczki. Po drodze przewraca jakąś kobietę, niemal wpada na zdumionego policjanta — nikt nie stara się go zatrzymać. Trasy, którą przebył, nie potrafiłby odtworzyć, umykał w zamroczeniu. Ocknął się dopiero w jakimś ogrodzie, gdzie go zresztą widziano, choć nikt nie kojarzył sobie niedawnego wypadku na ulicy Andrzeja z pojawieniem się tutaj nieznanego mężczyzny. W ogrodzie tym Walaszczyk spostrzegł plamy krwi na palcie, pozbywa się więc okrycia. Kilka posesji dalej, pod uliczną studnią, umył sobie ręce.

Jego zachowanie po zabójstwie świadczy najlepiej o tym, wbrew głosom prasy, że zamach na Cynarskiego nie został przygotowany przez jakieś zorganizowane siły polityczne. Gdyby bowiem tak było rzeczywiście, Walaszczyk nie musiałby się błąkać po ulicach miasta, nie wiedząc, co ze sobą począć, umożliwiono by mu bezpieczne schronienie. Tymczasem znalazł się zupełnie sam we wrogim mu i nagle zupełnie obcym mieście. I wahał się dokąd pójść.

Pierwsze kroki skierował w stronę domu. Na ulicy Zawiszy wyrzucił nóż do jakiejś ubikacji. Aby odnaleźć ten dowód rzeczowy trzeba było akcji straży pożarnej, która napracowała się solidnie przez trzy godziny. W postępowaniu dowodowym natrafiamy nieustannie na luki. Nie potrafiono odtworzyć drogi Walaszczyka z miejsca zabójstwa. Nie starano się odnaleźć świadków, którzy widzieli jak pił z Rydzewskim, przed udaniem się do domu, gdzie mieszkał prezydent. Nie potrafiono ustalić, gdzie nocował po zabójstwie Cynarskiego. Tych pytań jest zresztą więcej i nie wystawiają najlepszego świadectwa policji, która ograniczyła się do relacji samego Walaszczyka.

Trzeba mu wierzyć, że po pozbyciu się noża, nie doszedł do swego domu. Jak bohater melodramatu biegnie do Kościoła Najświętszej Marii Panny, aby się wyspowiadać. Ksiądz Stanisław Lic zezna później, że spotkał się z oskarżonym w zakrystii. Robił wrażenie pijanego. Zataczał się, miał na twarzy wypieki, mówił bełkotliwie, choć nie było czuć od niego wódki. Ksiądz Lic radził mu przyjść w sobotę, ale Walaszczyk nie może czekać, w każdej chwili spodziewa się aresztowania. Toteż kieruje swoje kroki do kaplicy Dobrego Pasterza, gdzie ksiądz Kwiatkowski dawał mu przed laty ślub. Pewnie i tu nie mógłby się wyspowiadać w Wielki Czwartek, ale odmowa zostaje mu oszczędzona. W kaplicy nie ma nikogo.

Wielu szczegółów swej wędrówki Walaszczyk nie pamięta, nie pamięta także całokształtu okoliczności poprzedzających zabójstwo. To wynik wstrząsu psychicznego, jakiego doświadczył. W śledztwie uspokoił się już trochę, ale niekiedy wciąż jeszcze przypomina zachowaniem człowieka nieprzytomnego. Ma zresztą słaby ustrój nerwowy, choruje na epilepsję, co władze śledcze lekceważą. Wszystko co mówi, interpretowane jest na jego niekorzyść. Nawet przyznanie Walaszczyka uznano za okoliczność obciążającą tłumacząc je chęcią uniknięcia kary śmierci.

Inną zupełnie taktykę przyjmuje w śledztwie Rydzewski. Ma za sobą praktykę więzienną, toteż właściwie ocenia zapewnienia sędziego śledczego i bardzo opornie uzupełnia luki w zeznaniach głównego sprawcy. Najczęściej milczy, w najlepszym zaś razie odpowiada „tak" lub „nie" na pytania prowadzących dochodzenie. Próbują więc złamać jego opór biciem, co dodatkowo kompromituje policję. Efekt przesłuchań jest prawie żaden. Dzięki zeznaniom, jakie złożył w chwilę po aresztowaniu, policjantom udaje się odnaleźć kłódkę ze sklepiku Kutnera. W krzyżowym ogniu pytań prokuratora Szmidta i sędziego śledczego Taubenszlaga Rydzewski przyznaje się nawet, że w chwili zabójstwa trzymał na schodach Cynarskiego za rękę. Policjanci bezskutecznie szukają jednak łomu i noża, z którymi Rydzewski miał się wybrać do domu przy ulicy Andrzeja. On sam nie chce, czy też nie może wskazać miejsca, gdzie je ukrył.

Chętniej rozmawia z policjantami na osobności, kiedy go częstują papierosami. Prowadzący śledztwo raz po raz uciekają się do takich niegodnych praktyk wykorzystując fakt, że Rydzewski nie zna się na niuansach prawa. Nie wie, na przykład, że zgodnie z zasadami prawa karnego, odpowiedzialność pomocnika równa jest odpowiedzialności głównego sprawcy przestępstwa. Jest także zaskoczony, że sprawa zabójstwa Cynarskiego rozpoznawana będzie przez sąd w trybie doraźnym. Rozumie, że tak sądzony będzie Walaszczyk, ale dlaczego on, skoro można mu udowodnić zaledwie pomocnictwo? Owczesny dekret o sądownictwie doraźnym przewidywał bowiem dla zabójcy urzędnika (oraz dla pomocników i podżegaczy) obligatoryjną karę śmierci. Kiedy zaś prowadzący śledztwo ignorują jego protesty, Rydzewski zacina się. Od tej pory nie rozmawia już z policjantami, nawet w swojej celi i za obietnicę papierosa.

Losy oskarżonych ważyły się: tryb postępowania mógł zasadniczo wpłynąć na wymiar kary. Sądownictwo doraźne nie znało bowiem uprzywilejowanej postaci zabójstwa, zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia, zagrożonego w prawie powszechnym znacznie mniej surową karą. O tryb spierali się więc prokuratorzy, gazety i świadomi konsekwencji przypadkowi ludzie, był to temat towarzyskich dyskusji w Łodzi. Trzeba podkreślić, że sam Cynarski, jako sędzia, niejednokrotnie opowiadał się przeciw karze śmierci.

Jakby zapominając o tym **„Kurier Łódzki"** domagał się wprost kary najwyższej. Stojąca do niego w opozycji **„Republika"** żądała zwykłego trybu postępowania drukując opinie znanych adwokatów, Kobylińskiego i Jasieńskiego, którzy wyrazili publicznie pogląd, że Cynarski w stosunku do Walaszczyka nie był urzędnikiem, tylko pracodawcą, co automatycznie wyklucza tryb postępowania doraźnego.

Przygotowaniom do procesu zabójców prezydenta towarzyszy ostra kampania polityczna. Już pogrzeb pomyślany był jako demonstracja mieszkańców miasta, manifestujących swoje przywiązanie do koncepcji politycznych reprezentowanych przez Cynarskiego. Chodziło o wywołanie wrażenia, że cała ludność zjednoczyła się przeciw bliżej nieokreślonym siłom politycznym, które wynajęły płatnych zbirów nie mogąc w legalny sposób zapewnić sobie zwycięstwa.

Wywołać takie wrażenie było dosyć łatwo, bo sympatia mieszkańców rzeczywiście przechyliła się na stronę zamordowanego, który bądź co bądź, osierocił troje nieletnich dzieci. Świadomość tego sieroctwa wzruszyła wiele osób. Rozpatrywano jednak całą sprawę z czysto ludzkiego punktu widzenia, w oderwaniu od politycznej gry, którą od pierwszej chwili po wypadku zaczęli uprawiać sukcesorzy władzy prezydenckiej.

Zwłoki Cynarskiego wystawiono na widok publiczny w kaplicy kościoła Świętego Krzyża już w piątek, 15 kwietnia. Dla podkreślenia doniosłości chwili odwołane zostało przedstawienie w teatrze miejskim. W poniedziałek zaś zaczęły się uroczystości żałobne. Wziął w nich udział wojewoda Jaszczołt. Prasa odnotowała też obecność w kościele Aleksego Rżewskiego, który pomimo osobistego zatargu ze zmarłym, złożył kondolencje wdowie. Kondolencje złożyli też publicznie na łamach tygodnika **„Łodzianin"** socjalistyczni radni.

Ledwie jednak przebrzmiały echa marsza żałobnego stronnictwa rządzące podjęły walkę o prymat w radzie miejskiej. Wacław Wojewódzki, który w dniu śmierci Cynarskiego przejął obowiązki prezydenta, miał przecież pełnić swoją funkcję tylko czasowo, do wyboru nowego ojca miasta. Zgodnie z przyjętym kluczem partyjnym enpeerowca powinien zmienić przedstawiciel Związku Ludowo-Narodowego. Koło narodowe forsowało na to stanowisko byłego wojewodę łódzkiego, Łyszkowskiego. Była to kandydatura tak nieodpowiednia, że NPR zagroziła rozbiciem koalicji i przejściem do opozycji. Po wielu przetargach utrzymał się status quo z dnia po zabójstwie Cynarskiego — Wojewódzki zachował czasowo prezydenturę. Po niewczasie samorządowa większość rządząca żałowała zresztą, że nie doszło do rozbicia bloku i rozwiązania tym samym rady w sprzyjającym taktycznie momencie. Wystosowana na krótko przed nowymi wyborami prośba do Składkowskiego o rozwiązanie łódzkiego samorządu przypominała bowiem zbyt wyraźnie ucieczkę szczurów z tonącego okrętu. Wyszły wtedy na jaw poważne nadużycia, których dopuścił się Magistrat w okresie rządów Cynarskiego i pełniącego obowiązki prezydenta — Wojewódzkiego.

Oddanie elektrowni miejskiej spółce szwajcarskiej, która była spółką przebiegłych Polaków-aferzystów, odbiło się głośnym echem w całej Łodzi. Jeszcze bardziej wstydliwie przedstawiała się sprawa kradzieży drzewa z należących do miasta łagiewnickich lasów. Bezpośrednich winnych nie można było znaleźć, afera bardzo poważnie obciążała jednak obu wiceprezydentów. Groszkowski stał się wkrótce bohaterem jeszcze jednego, kompromitującego go doszczętnie, skandalu. Przy sprawdzaniu umów zawieranych przez Magistrat, wyszedł na jaw kontrakt dzierżawny z roku 1920, mocą którego, oddano mu w używanie, za opłatą 75 marek polskich, kiosków w dwóch parkach łódzkich. Zgodnie z umową miano tam sprzedawać wody ze źródeł mineralnych, aby najuboższej ludności zapewnić korzystanie z naturalnych środków leczniczych. Mając to właśnie na względzie tak nisko skalkulowano koszty dzierżawy. Ale w kioskach tych nie sprzedawano wód mineralnych poza wodą sodową z wytwórni Groszkowskiego. Wiceprezydent odstąpił je za słoną opłatą innym dzierżawcom pozbawiając w ten sposób Magistrat wpływów podatkowych z handlu słodyczami prowadzonym przez te kioski, które uważał zresztą za swoją własność. Pan Groszkowski miał zresztą szczęście, że jego działalność handlowa wykryła się w wiele miesięcy po procesie Walaszczyka i Rydzewskiego. Już bowiem wystąpienie tego pana w sądzie uczyniło go postacią mało popularną w Łodzi.

C.d.n.

RECENZJE

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

WSPOMNIENIA O PANU JULIANIE

Wydaje mi się, że pisanie wspomnień o ludziach nieżyjących, szczególnie znacznych i wybitnych indywidualnościach, jest sprawą w jakiejś mierze wstydliwą, pozbawioną osobistej skromności piszącego. Odarte zostają przecież z intymności osobiste, na wskroś prywatne rozmowy, nieraz zwierzenia dotyczące wewnętrznych słabości interlokutora. I to co było przeznaczone wyłącznie dla nas, często w jakimś sensie nie poddane wewnętrznej cenzurze mówiącego, który zaufał naszej dyskrecji, teraz staje się nagle dobrem publicznym. Przy okazji bohater odarty zostaje z maski, którą najchętniej przybierał na co dzień wobec świata. W rezultacie także często właśnie ze wspomnień wyłania się portret człowieka mało ciekawego, pełnego wad i psychicznych ułomności, portret zupełnie odmienny od tego, jaki być może pragnął aby zachował się po nim w pamięci ludzi, którzy go nie znali osobiście, a jedynie konstruowali na podstawie tego co pisał, tworzył, co pozostawiał po sobie jako trwałą spuściznę twórczą. I ile już takich w gruncie rzeczy fałszywych i krzywdzących ludzi otrzymaliśmy portretów wspomnieniowych! Choćby wymienić portrety Tetmajera, Boya, Irzykowskiego. A z bardziej nam bliskich Nałkowskiej, Szenwalda, Broniewskiego. I co przy tym najważniejsze, że wszystkie one były przecież kreślone w dobrej wierze, że właśnie w ten sposób chciano uhonorować ich pamięć.

Tylko że chęć pisania wspomnień, chęć niby to utrwalenia w pamięci potomnych tych, których się znało bliżej za ich życia, z którymi się często obcowało, jest silniejsza od potrzeby zachowania wyłącznie dla siebie intymnego portretu danego człowieka. A zresztą także często dochodzi tu jeszcze pierwiastek próżności, podświadoma chęć przejścia samemu do historii poprzez człowieka znaczącego.

Uwagi te nasunęły mi się przy lekturze tomu wspomnień o Julianie Przybosiu. I, przyznaje się do tego, iż w pierwszej chwili ogarnęła mnie chęć odtworzenia na papierze moich spotkań i rozmów z tym poetą. Ostatecznie znałem go, odbyłem niejeden przedziwny spacer perypatetyczny po warszawskim parku w Królikarni, rozmawiałem na różne, nie zawsze tylko poezji dotyczące tematy Lecz zdałem sobie sprawę, że ułożyłoby mi się to w jedną wielką rozmowę, która przy jakże przecież zawodnej pamięci, nie byłaby absolutnie wierna.

Lecz to znowu refleksja wynikła z lektury wspomnień, stanowiących wielki zapis jednej w sposób mało doskonały odnotowanej nie autoryzowanej przez Pana Juliana rozmowy. I chyba rację ma autor wyboru i wstępu, Janusz Sławiński, pisząc, iż „utrwalając — w pamiętnikach, gawędach wspomnieniowych, rozmowach — fakty biograficzne, z reguły mają na uwadze (autorzy), swój własny w tych faktach udział, a któż nie pragnąłby ukazać się potomnym w możliwie korzystnym świetle i aureoli znaczenia? Wymaga to — rzecz prosta — odpowiedniego podstylizowania i podretuszowania wizerunku bohatera wspomnień: jego odtwarzania — w relacjach — zachowania czy wypowiedzi muszą pozostawać w zgodzie z autoportretem wspominającego. Każdy ze wspominaczy w określony sposób upozowuje postać zmarłego, hierarchizując opowiadane zdarzenia, pomniejszając jedne, wyolbrzymiając drugie; niekiedy fakty bywają dyskretnie dopełniane zmyśleniami, kiedy indziej przeciwnie: podlegają ocenzurowaniu. Czas wspomnień to nie tylko powstawanie nowych świadectw, ale też selekcja już istniejących; dobrze wiadomo, że właśnie wtedy w trosce o moralną, światopoglądową czy obyczajową jednoznaczność życiorysu odrzuca się lub „utajnia" dokumenty (listy, raptularze, dzienniki etc.), które by ją mogły zamącić".

I tylko biedny czytelnik staje przed dylematem, komu wierzyć, czyj portret jest jeśli nie autentyczny, to w miarę przybliżony, oddający rzeczywistą charakterystykę zmarłego. Tym bardziej gdy tych wspomnieniowych portretów zgromadzono blisko trzydzieści i to kreślone przez takie znakomitości pióra, jak choćby Jan Brzękowski, Adam Włodek, Jalu Kurek, Kazimierz Wyka, Artur Sandauer, Bohdan Drozdowski, Karl Dedecius, Stanisław Grochowiak. To ci starsi często może nawet i nie wiekiem, ale poetyckim stażem jak w przypadku Grochowiaka. Są też i młodsi, jak Bogusław Kierc, Józef Ratajczak, Edward Balcerzan, Andrzej K. Waśkiewicz. Ale pisali też wspomnienia ludzie innych profesji jak np. prof. Jan Szczepański, artysta plastyk Jerzy Tchórzewski, wybitny teoretyk literatury Michał Głowiński. W sumie wszystko ludzie, z którymi Przyboś miał częste kontakty, odbył niejedną rozmowę, utrwalił się w pamięci poprzez korespondencję, książkowe dedykacje.

I chociaż niewiele stosunkowo czasu upłynęło od jego nagłej śmierci w październiku 1970 roku, okazuje się, że materia wspomnieniowa jest niesłychanie oporna, że pełno w niej banału, bardziej utartych, aniżeli rzeczywistych, zgodnych ze stanem faktycznym ocen psychiki i zachowań zmarłego A może to krótkość czasu, który upłynął od śmierci poety, nie pozwala piszącym na surową selekcję własnych spostrzeżeń? A nie zapominajmy, że działał również i moment chęci pisania tylko dobrze, hagiograficznie. Owszem od czasu do czasu wyłania się nagle Przyboś — człowiek niesłychanie uparty, szyderstwem zwalczający swoich poetyckich przeciwników, jak choćby Gałczyńskiego czy Słonimskiego. Tylko że wszyscy wiemy jak bardzo Przyboś był nietolerancyjny dla innych poetyk, jak bardzo niesprawiedliwy nawet dla dawnych kolegów po futurystycznym piórze. I nawet jeśli o tym nie pisał, chociaż miał zawsze tę odwagę, to jednak mówił.

Jedni autorzy odwołują się do pamięci, cytują całe, bardziej literackie aniżeli rzeczywiste dialogi rozmów z poetą, inni posiłkują się zachowaną korespondencją. Nie jest to korespondencja wbrew pozorom intymna, gdzie by Przyboś dokonywał sekretnych wynurzeń. Przeciwnie, listy Przybosia są oschłe, informujące, zgodne z jego życiową zasadą nie okazywania uczuć. I tylko czasami z korespondencji pojawia się Przyboś — człowiek z życiowymi kłopotami, z codziennymi problemami każdego z nas. To w jednym z listów kreślonych do Artura Sandauera, pisał: „Być wolnym — to znaczy przede wszystkim mieć dla siebie czas wolny. Niestety, rzadko w życiu danym mi było zażyć takiej wolności. Z poezji — zginąłbym z głodu przedwcześnie".

W Wyborze wspomnień Janusza Sławińskiego, w którym zabrakło mi zresztą kilku niebagatelnych, jak choćby Alfreda Łaszowskiego, Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka (ileż ci ludzie by mieli do powiedzenia!), są jednak dwa wspomnienia w jakiejś mierze wstrząsające. Może dlatego, że ich autorzy również już nie żyją. Pierwsza to prof. Kazimierza Wyki, który z właściwą tylko dla siebie maestria potrafił powiązać w jedną eseistyczną całość własne wspomnienia o autorze „W głąb las" z analitycznymi reminiscencjami nad całokształtem jego poezji. A drugim Stanisława Grochowiaka, który dosłownie na dwóch kartkach maszynopisu potrafił zawrzeć całościowy portret tego poety zachowany w swojej pamięci. Portret jakże ciepły a równocześnie oceniający sprawiedliwie dotychczasowego adwersarza sporów poetyckich na tle turpizmu. Sam pisze o tym następująco: „Nie było bowiem między nami zgody. W ulewie wiosennych przebudzeń, w obłoku motyli, które zawsze wywoływały w Nim pierwsze, dziecięce wzruszenia, w sąsiedztwie dziewcząt ze Szkoły Muzycznej, przygotowujących się do matury — w tym świecie arkadyjskim i jakże sprzyjającym Jego racjom — trwał bój zawzięty i serdeczny. Przyboś wierzył, ja zaś wątpiłem".

Spór tych dwóch poetów urwał się wraz z ich śmiercią. Chociaż kto wie, czy obecnie nie kontynuują go gdzieś w ciekawszych arkadyjskich światach, w które tak mocno wierzyli, które im były tak potrzebne do bycia poetami.

Ze swoistym jednak niedosytem zamyka się ten tom wspomnień, z cichym westchnieniem — a więc tylko taki był Pan Julian, tylko takim dał się zapamiętać. Drobny, niski pan z siwą czupryną, mówiący cichym acz nie znoszącym sprzeciwu głosem, ze swoistego rodzaju poczuciem humoru, które powodowało, iż wielu uważało, że jest go absolutnie pozbawiony. Człowiek, który nieustannie pisał wiersze, który zachłannie był zakochany w sztuce, ale np. dziwnie głuchy na muzykę. Czujący współczesność, nowatorski a równocześnie konserwatywny w swoich poglądach na rolę i funkcję poezji. Zwolennik tezy „najmniej słów", a równocześnie jakże wiele piszący na tematy, które go interesowały.

I chociaż wspomnienia były pisane pod kątem hagiograficznym, od czasu do czasu objawia się w nich Przyboś inny, z jakimiś niedopowiedzianymi rysami charakteru, nieokreślonymi kompleksami. Wyłania się też z tych wspomnień człowiek w gruncie rzeczy samotny, ale też i nie szukający przyjaźni. Może dlatego, że przyjaźń zobowiązuje nie tylko do lojalności ale i do bronienia racji tej drugiej osoby, z którymi się nie można pogodzić. A Przyboś w swoich poglądach zawsze był zbyt impulsywny i szczery aż do pomnażania sobie wrogów. A tych miał bez liku. Nawet wśród młodych, którzy go podziwiali, którzy niejednokrotnie przyznawali się do jego poetyckiego rodowodu, aby może tym boleśniej i ostrzej go później atakować. I tylko we wspomnieniach nagle wszyscy zaczęli się przyznawać do przyjaźni, zażyłości, bagatelizując swoje z nim spory a nawet jakże często irracjonalne anse. Ale tak to już jest, gdy się pisze wspomnienia o wielkich i gdy się nie chce być posądzonym o małostkowość. Tylko że cierpi na tym prawdziwy portret poety jako zwykłego człowieka.

Wspomnienia o Julianie Przybosiu. Opracował i wstępem poprzedził Janusz Sławiński. LSW. Warszawa 1976 r., s. 555, cena zł 70.—

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

MGŁA

Powieść Henryka Jachimowskiego — „Mgła", została wyróżniona w konkursie zorganizowanym przez władze Ziemi Świętokrzyskiej i Wydawnictwo Łódzkie, które powieść opublikowało. Powiadam — powieść, ale nie jestem, szczerze mówiąc, pewien jaki w końcu rodzaj literacki zaprezentował tym razem czytelnikom Jachimowski. „Mgła" odbiega daleko od wzorca „normalnej" powieści. W tej nie nazbyt pojemnej książce, liczącej, wszystkiego 130 stron, darmo szukać już nie tylko wiodącej fabuły, brakuje jakiejkolwiek akcji, nie funkcjonuje normalny czas, ani lata biegną, ani pory roku, czy nawet dnia. Brak także charakterów ludzkich, bohaterów, choć postaci w książce dużo. Można w tym miejscu przypomnieć chłopskie przysłowie znane na kieleczczyźnie — tylu ludzi i ani jednego człowieka.

Nie przepadam za prozą udziwnioną, która wiele znaczy, albo nic nie znaczy, zależnie od tego co się chce w końcu odczytać lub też wmówić autorowi, albo przeciwnie — co autor pragnie wmówić czytelnikowi. Na tego rodzaju prozie, z reguły importowanej, zawiedliśmy się nie jeden raz. Dużo hałasu u krytków i milczenie u czytelników. Początkowo odnosiła ona pewne sukcesy, póki krytykom udawało się przekonywać czytelników, że nie nadążają za osiągnięciami nowoczesnej prozy, wloką się, brak im wciąż wyobraźni, aby zrozumieć wielkie walory pisania pozbawionego odniesień do czasu, przestrzeni historycznej, czy wreszcie konkretnych ludzi. Dzisiaj nasi czytelnicy nie dają się na ogół nabrać na rozsypaną, bezładną antypowieść, nie bardzo wierzą w człowieka „w ogóle", wolnego od uwarunkowań społecznych, nacisku środowiska, tradycji, czy obowiązujących norm w postępowaniu.

Z tego punktu widzenia można by „Mgłę" Jachimowskiego zaklasyfikować jako jeszcze jedną pogmatwaną kopię antypowieści, zaczerpniętą, powiedzmy, od wymownych Francuzów. Nie należy jednakże tego czynić, gdyż w książce dadzą się nie bez pewnego co prawda trudu wykryć istotne wartości. Tego samego zdania musiał być i wydawca, skoro zdecydował się na druk. Inna rzecz, że posłowie redakcyjne niczego nie wyjaśnia, przeciwnie — wprowadza nie byle jaki zamęt. Czytamy w tym posłowiu: „Śmierć jest tu symbolem utraty znaczenia, godności, wyjścia spod prawa, wyłączenie ze społeczności, która dyktuje normy postępowania i wartościowania. Metafizyka lęku nabiera tu treści istnienia". Konia z rzędem temu, kto zrozumie o co właściwie chodzi. A redaktor, niech mu przytomność umysłu będzie na chwałę zapisana, konkluduje, że Jachimowski protestuje przeciw systemom totalitarnym, dyktaturom i faszyzmowi. Bezpieczny wniosek, na bazie i po linii. Można przypuszczać, że autor posłowia przeczytał sporo artykułów prasowych, nie przeczytał jednak uważnie „Mgły".

Jachimowski ukazuje rzeczywiście niezwykły świat. Jego części składowe są nam znane, — ojcowie, żony, dzieci, przyjaciel, wróg, głód, idea, bóg, sytość, seks, wieczne poszukiwanie idei nadrzędnej, wspólnej dla wszystkich. Ale te części składowe nie występują w żadnym porządku, pojawiają się i znikają w apokaliptycznym chaosie, przestały już bowiem działać logiczne prawa rządzące światem. Nie wiadomo kto mianowicie jest przyjacielem, kto zaś wrogiem, kto matką, a kto ojcem, to się zmienia bez żadnego logicznego powodu, nie działają bowiem żadne przyczyny sprawcze, zgodne z regułami celowości. Zmarli ożywają, uznani za bogów stają się nagle moralnymi zerami, bez żadnego powodu podnoszą i rzucają ludzie wielkie hasła i święte sztandary, zabijają się także bez powodu. W koszmarnym świecie „Mgły" poruszają się ludzie, mówią do siebie, maszerują w nieznanych kierunkach, kochają się, piją, rodzą, umierają, zadają sobie śmierć. Każda czynność i każde ludzkie zachowanie jest nam znane, ale występuje poza jakimkolwiek porządkiem. Nie funkcjonują bowiem prawa ani zasady społecznego współżycia, przyjaźń zamienia się nagle w nienawiść, bogiem staje się kat. Ani jeden z bohaterów Jachimowskiego nie posiada zwartej osobowości, jest przypadkowym jakby zlepkiem dobrych i najgorszych cech człowieka, szuka świętości i równocześnie zohydza ją.

„Mgła" ma więc być, jak sądzę, przerażającą wizją przyszłego świata ludzi, którzy pod wpływem gwałtownego rozwoju cywilizacji, stracili panowanie nad rzeczami i nad sobą. Miejsce praw, ogólnie przyjętych umów społecznych i obyczajów zajęły jak przed wiekami prymitywne instynkty. Ale człowiek zachował jakieś elementarne poczucie historycznego rozwoju. Gdzieś na dnie, u każdego niemal bohatera książki, pozostała pamięć o dziejowym dorobku ludzkości i oto jak we mgle szuka on nowego punktu odniesienia, jakiejś trwałej wartości od której mógłby zacząć na nowo. Jachimowski sugeruje więc, że jego groźny świat to szczególnie dramatyczna postać kryzysu, do jakiego może dojść człowiek. Czy z tego kryzysu wyjdzie? Trudno sądzić, nie jest w każdym razie bez szansy skoro w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji towarzyszy mu pamięć ładu.

Henryk Jachimowski „Mgła". Wydawnictwo Łódzkie 1976.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

CIAŁO I PAMIĘĆ

Bolesław Fac, poeta, tłumacz, wytrawny znawca literatury zachodnioniemieckiej, obdarzył nas ostatnio drugą z kolei w swym dorobku pozycją prozatorską. Od debiutu w mowie niewiązanej („Ucieczka niedaleko") minęło trzynaście lat, okres więc dość długi, ażeby życie mogło nadać stylowi harmonijny rytm, rytm naturalny, ażeby powiększył się dystans wobec wydarzeń, które ongiś podnosiły temperaturę uczuciową, wyzwalały egocentryzm i prowadziły do indywidualistycznego ujmowania świata. „Na pamięć" kontynuuje autobiograficzne wątki poprzedniej książki; uściślijmy — należy przypuszczać, że autobiograficzne, jako iż głos narratora-bohatera stanowi w istocie porte parole pisarza.

Smutna konstatacja towarzyszyła mi podczas przeżywania tej prozy. Otóż człowiek (może ostrożniej — mężczyzna) żyje do czasu zasmakowania zakazanego owocu miłości, a dalej — to już tylko przeżywa siebie; nic nie jest już w stanie go zadziwić, zaszokować ani też zmienić jego wyobraźni i psychiki. Cokolwiek zdarzy się później, może być co najwyżej pogłębionym lub poszerzonym komentarzem, li tylko przypisem do czasu dzieciństwa i młodości. „Ucieczka niedaleko" obejmowała okres przedwojennego dzieciństwa na Pomorzu Gdańskim, natomiast „Na pamięć" ogranicza się do wąskiego wycinka czasu — schyłku wojny i dni wyzwolenia, kiedy bohater przeżywa chwile uniesień miłosnych; uniesień — dopowiedzmy — spełnionych. Dokonalibyśmy jednak uproszczenia, redukując akcję powieści do trudnych dni 1945 roku. Otóż w ogóle do problemu czasu sprowadza się istota książki, na co już wskazał Jerzy Rzymowski w swych uwagach na temat techniki kompozycyjnej, współczesnej powieści („Odgłosy" nr 1000).

Przeżycia młodzieńcze, jako się rzekło, tworzą wspólny mianownik, do którego autor będzie sprowadzał późniejsze doznania, refleksje, czas teraźniejszy wręcz nakładając na przeszłość. Dość tajemniczy, osnuty mgiełką niedopowiedzeń pobyt wczasowy z Teresą zamazuje się, mimo iż rzecz dzieje się współcześnie. Natomiast pamięć narratora natarczywie przywoływać będzie obrazy z przeszłości, których ciśnienie jest tak silne, że nie sposób przeżywać wzlotów i upadków wieku męskiego w wymiarach naturalnych, nie poszerzonych perspektywą doświadczeń, ran i kompleksów minionego. Fac przeprowadza anatomiczną sekcję pamięci, obnażając jej rozkosze i okrucieństwa. Te lekcję anatomii ilustruje obrazami z dwóch odległych czasów, nieustannie na się nakładającymi, co przypomina nieco surrealistyczny zapis automatyczny, aczkolwiek powściągliwość i dyscyplina warsztatowa są widoczne. Niewątpliwie w poetyce tej, służącej nadrzędnemu celowi — ukazaniu mechanizmów procesu pamięci, tkwi zasadnicza wartość poznawcza powieści.

Bohater został wkomponowany w interesujący, rzadko podejmowany w naszej literaturze, kontekst historyczny: wyzwolenie Wybrzeża i stosunki narodowościowe w Gdańsku w tymże okresie. Paweł, który stracił w czasie wojny ojca oraz starszego brata, wikła się w pożądanie Niemki Ingrid, dziewczyny moralnie okaleczonej przez wojnę. Nie wiem, czy słusznie postąpił autor przenosząc punkt ciężkości na przeżycia związane wyłącznie ze sferą erotyczną, nawet gdybyśmy założyli, że określają one wszystkie niepokoje wieku dojrzewania. Wprawdzie wiek ów u chłopców wywraca na nice teorię heliocentryzmu, zastępując ją vaginocentryzmem, jako że centrum wszechświata zdaniem siedemnastolatka ulokowane jest między kolanami a pępkiem kobiety. Stąd w książce ta nieprzebrana ilość wariacji na tematy erotyczne (nadmiernie eksponowana obsesja skóry ludzkiej), co w efekcie odwraca uwagę czytelnika od wielu istotnych problemów, a nawet — ośmielam się sądzić — wypacza, deformuje w pewnym stopniu obraz rzeczywistości tuż powojennej. Początek powieści zapowiada konfliktowe sytuacje, niestety stopniowo w miarę rozwoju akcji — przypomnienia tracą na ostrości, natomiast coraz wyrazistsze kontury zyskuje główny bohater pamięci. Jest nim ludzkie ciało ukazane niemal w każdym szczególe, jest piękne i brzydkie jednocześnie, martwe, zmasakrowane i pełne energii, żywotnych soków pożądania. I dlatego nie miłość, a pożądanie w całej swej okazałości wywiera piętno na charakterze refleksji narratora. Świat zmysłów, w szczególności dotyku, wyzwolił się tu spod władzy umysłu, przez co książka Faca ma w sobie coś z przysłowiowej pięknej świątyni bez Boga. Bez wątpienia wszystkie te opisy dokonane są z dużą umiejętnością, bo Fac jest artystą znającym tajniki warsztatu pisarskiego, ale w tym urzeczeniu praca pamięci i ciałem posunął się zbyt daleko. Dlatego też słabo zindywidualizował sylwetki psychiczne swoich bohaterów, dlatego też uprościł warstwę dialogową na rzecz narracji. „Na pamięć" jest więc bardziej utworem poetyckim, bowiem w poezji można sobie bardziej pozwolić na jednostronną analizę świata przeżyć człowieka. Proza natomiast wymaga wielostronnego ogladu rzeczywistości. Jako poeta odniósł Fac sukces tą książką, która jako proza ujawnia z kolei janusowe oblicze.

Bolesław Fac. Na pamięć, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1976, s. 213.

TELEWIZJA

POWROTY

Przed paru laty czytałem powieść **Andrzeja Twerdochliba** pt. „Gwiazda sezonu". Potem widziałem film „Znaki na drodze", zrealizowany na podstawie tej powieści. Niedawno zaś Telewizja uraczyła nas „Gwiazdą sezonu" w postaci poniedziałkowego teatru. Czy w międzyczasie wystawiono to na deskach Teatru „Wybrzeże" — nie wiem. Nie wiem również, czy **Andrzej Twerdochlib** zrobił ze swojej powieści słuchowisko radiowe.

Wiem jednak na pewno, że „Gwiazda sezonu" nie jest dziełem aż tak genialnym, aby warto je było na okrągło eksploatować na wszystkie możliwe sposoby. Jeśli jednak Telewizja tak bardzo uparła się przy utworze Twerdochliba, to przecież można było emitować film „Znaki na drodze". Wypadłoby to równie nieciekawie, co sztuka, ale za to znacznie taniej.

Telewizja lubi jednak wracać do stałych pozycji. „Żołnierz królowej Madagaskaru" także nie po raz pierwszy gościł na szklanym ekranie. Tym razem zamiast **Ludwika Sempolińskiego** w roli Mazurkiewicza mieliśmy **Jana Matyjaszkiewicza,** lecz tym razem chyba warto było sięgać do starego tekstu Tuwima i do nowych propozycji aktorskich **Ireny Kwiatkowskiej, Kaliny Jędrusik czy Bożeny Dykiel.**

Jak więc widać, nie ma tu reguł.

Warto także wracać do krakowskich „Spotkań z balladą". Na święta krakowscy realizatorzy przygotowali nam corridę dowcipną i — jak zwykle — obfitującą w zabawne spięcia. Myślę, że warto też wracać do „Wesela Figara", jeśli w obsadzie mamy **Andrzeja Zaorskiego, Barbarę Sołtysik czy Edmunda Fettinga.** Warto też wracać do Gogolowskiego „Rewizora" jeśli od nowa reżyseruje go taki artysta jak **Jerzy Gruza.**

A w ogóle warto oglądać telewizję bo oprócz nowości przypomina nam ona o czarze dawnych wspomnień. Obejrzeliśmy na przykład „Ali Babę i 40 rozbójników" z Fernandelem w roli głównej. Pamiętam czas, kiedy komedia ta odbywała triumfalny pochód przez ekrany polskich kin. Z ciekawością więc obejrzałem ją po raz drugi. I co? I nic — okazał się ten film nudnym, mało dowcipnym, pełnym dłużyzn produktem francuskiej kinematografii lat pięćdziesiątych. Zachodzę dziś w głowę, dlaczego tak bardzo podobał mi się ten film prawie dwadzieścia lat temu.

Myślę, że wiem dlaczego. Po prostu podobał mi się nie tylko dlatego, że byłem młodszy i głupszy niż dziś, ale też i filmowy kontekst był wówczas inny. Nie mieliśmy, takiego jak dziś, oglądu światowej kinematografii, nie oglądaliśmy na co dzień klasyków komedii filmowej. Słowem — Fernandel zastępował nam światowe kino.

W święta blok programowy Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej „Tylko w niedzielę" przeniesiono na poniedziałek. Trochę to śmieszne, żeby niedziela była w poniedziałek, ale jest to drobiazg. Zwłaszcza, że blok jak zwykle przygotowany był znakomicie. Przede wszystkim chwała za program o **Duke Ellingtonie,** za dyskusję o komiksach, za ciąg dalszy gawędy **Jerzego Putramenta...**

Trochę mniej zachwytu budzi serial kryminalny „Rewolwer i melonik" i ckliwy cykl „Love story", ale przecież i te pozycje mają zapewne swoje grono zwolenników.

Jeśli natomiast chodzi o powroty, to na święta Telewizja zaserwowała nam w drugim programie aż dwa dni wspomnień. Kto chciał, mógł obejrzeć „Jowitę" z **Olbrychskim** i „Jutro Meksyk" ze **Zbyszkiem Cybulskim,** mogliśmy sobie przypomnieć „Motodramę" **Konica** i „Boksera" **Dziedziny...** No i mogliśmy przypomnieć sobie bohaterów „Daleko od szosy": **Sławomirę Łozińską, Irenę Szewczyk i Krzysztofa Stroińskiego,** którzy prowadzili ów świąteczny blok filmowych wspomnień.

TELEMAN

OBYCZAJE

RYSZARD BINKOWSKI

ŻUŻLEM w OCZY

Po robocie Peklownik przydybał kumpla Masarza i tak do niego rzecze:
— **Zbrzydła mi robota w mięsie, muszę się oderwac od tych cholernych dudów. Co ty na to?**

Masarzowi oko pojaśniało na chwilę, lecz zaraz po tym trzepnął z rozterką dłońmi po kieszeniach i westchnął żałośnie.

— **Co się klepiesz po plotnie?** – zaśmiał się Peklownik. — **Jest dwa dwieście, baba wszystkich nie może zobaczyć, bo by normę podkręciła, nie?**

— **Jasne!** — ucieszył się Masarz. — **Baby to by ino wykrywały rezerwy...**

Pojechali na Plac Niepodległości. Peklownik nabył pół basa. Udali się na tyły smażalni ryb i spili. Na zagrychę był ostry zapach smażonej makreli czy innego tuńczyka, żeby jak najoszczędniej.

— **Jak jesteś?** — zagadnął Peklownik.

— **Przyswoilbym, ale...** — bąknął skromnie, lecz niezwykle sugestywnie Masarz.

— **No to gra!** — krzyknął łapiąc obroty Peklownik. — **Biorę flachę i jedziemy do Zenka. Co się będziesz spijac jak świnia po kątach, kiedy mozna wypić po ludzku w mieszkaniu.**

Kupił butelkę i ruszyli na spotkanie przygody tramwajem numer czterdzieści jeden. Zapukali do Zenka, drzwi się otworzyły i Peklownik pokazał dyskretnie butelkę.

— **Cicho!** — syknął kolega Zenek. — **Nie można...**

— **Odwyk sobie robisz?**

— **Dachu nad głowa odmawiasz kolegom?**

— **Nie da rady!** — warknął Zenek. — **Kobieta zapadła na chorobę babską i taka wnerwiona, że Chryste Panie! Won!**

— **Żebyś ty się polędwicą udławił!** — zaklął Peklownik — **Chodź, Masarz, kolega Chrzanowski nas przyjmie...**

Ten kolega mieszkał o jeden blok dalej i wziął ich pod dach, bo spragnionych trzeba napoić, jak mówi pismo. Wypili około litra pod spluja, bo Chrzanowski nie śmiał prosić żony o zagrychę, jeszcze by się mogła pogniewać, albo co. Jak im ta gorzała przebiła przez ściankł czczych żołądków, to dostali takiej karuzeli we łbach, że stron świata nie byli zdolni rozpoznać. Zbałamucili strasznie dużo czasu, ale byli bez orientu, ponieważ obaj nie mieli cykotów, dzięki czemu, co będzie dalej przedstawione, mniejsza dla nich strata.

Jako pierwszy opuścił gościnną kwaterę kolega Masarz. Namierzył się według wskazówek Chrzanowskiego na przystanek tramwajowy, lecz go wykolowało w stronę świata przeciwną i padł tam niczym denat zawałowy pod apteką, nieczynną zresztą. Tu znalazł go idący od kotłowni Palacz, wachtujący na nocnej szychcie. A po prawdzie to on miał dwie kotłownie do obsługi, trzecią też mógł mieć, ale chyba lewą. Pochylił się nad leżącym i skomlącym o pomoc Masarzem i stwierdziwszy, iż chuch bije z niego niezgorszy, oświadczył:

— **Chodź, biedaku, ja cię ogrzać każę.**

Co rzekłszy, ujął Masarza pod ramiona i zawlókł do najbliższej kotłowni; rozebrał go, położył na wymoszczonej waciakami pryczy i okrył płaszczem. Następnie spenetrował wszelkie zakamarki w przyodziewku Masarza. Nie znalazłszy złamanego pęja, tak zaklął, że sadze wywaliły się kominem jak grzyb atomowy. Ale skąd mógł wiedzieć, że Masarz tego dnia nie zainkasował poborów, ponieważ pracował w firmie dopiero od dwóch tygodni?

2.

W kilka minut po Masarzu kwaterę opuścił Peklownik. Chrzanowski zrazu nie wychodził, ponieważ był już w piżamie, niespokojny jednak o los zasiedmim blokiem Peklownika, którego obskakiwało dwóch nieznanych facetów. Podjechała taksówka, lecz kierowca nie chciał zabrać Peklownika do Łodzi, bo nie wierzył, że pasażer może mieć forsę. Wówczas nadszedł Kierowca, przystojny, brodaty mężczyzna, który minionego dnia (było już po północy) pobierał zapasy paliwa w „Chłopce", „Powszechnej" i w „Klimkowiźnie".

W tak zwanym międzyczasie Peklownik wyniósł się spod bloku i spoczął na ławce w pozycji faceta całkiem zmęczonego życiem. Gdy go ujrzał Kierowca, poczuł tkliwość w sercu i ogarnęła go rzewność wielka tudzież solidarność niezłomna pijacka.

— **Ten człowiek zamarznie na śmierć** – rzekł wzruszonym głosem. — **Proszę pana** — zwrócił się do Peklownika — **pan jest zmęczony, musi pan odpocząć.**

Natenczas na horyzoncie pojawił się Palacz, który zdążył nawieźć na taczkach siedemset kilogramów węgla do palenisk w kotłowniach.

— **Głupia sprawa** — oznajmił. — **Zawieruszył się człowiek i zginie.**

Chrzanowski milczał wstydliwie. Ale jakże miał się narzucać i ciągnąć kumpla na chatę, skoro żona wywrzaskiwała mu nad uszami na temat wódy, łajdactwa i zbójów nieznanego pochodzenia, którzy z jej szkła ciągną, bluźnią i świntuszą podłogę.

– **Głupia sprawa** — powtórzył po namyśle Palacz. — **Ale co tam** — machnął ręką. — **Jednego już mam na kotłowni, to i drugiego wezmę.**

Kierowca podniósł z ławki Peklownika i jął go taszczyć do kołtowni.

— **Puść mnie, bandyto** — bełkotał na własną zgubę Peklownik — **Mam forsę i na taryfę mnie stać!**

Chrzanowski nie wtrącał się, ponieważ znał dobrze Kierowcę i ucieszył się, że ten spełnia dobry uczynek. Odprowadził kawałek nocnych wędrowników i uspokojony zawrócił do domu. Tymczasem pilotowani przez Palacza Kierowca z Peklownikiem dobili do drzwi klatki schodowej i opuszczając się w podziemia, runęli na pyski, szamocząc się i klnąc siarczyście.

— **Ciąg go, ciąg!** — zachęcił Palacz Kierowcę. — **Pić będziemy dzisiaj jak trzeba i pokażę ci, jak robi się forsę.**

Kiedy ciut ocknięty Peklownik zorientował się, że wloką go przez jakiś tunel bez okien, zaczął wzywać pomocy. Ale nikt go nie słyszał. Kierowca wykręcił mu rękę i rzucił twarzą na posadzkę.

— **Dokumenty, proszę!** — wrzasnął Palacz, wywijając nad głową Peklownika milicyjną pałką. Ale Peklownik nie dał się nabrać na milicję. Wobec tego Kierowca podciągnął go blisko dwóch odległych od siebie o dwa metry palenisk. Palacz zgasił światło.

— **Widzisz te paleniska?** — zapytał. – **Spalimy cię, skurwysynu, i nikt się nie dowie.**

Peklownik załkał z przerażenia, buzujący ogień był bliski i zupełnie realny.

— **Wypijmy coś** — wybełkotał — **mam trzy dychy.**

Palacz wziął forsę, Kierowca czuwał, a on poszedł do drugiej kotłowni i przyniósł flachę wina domowej roboty, które zaraz wypili.

— **W dokumentach to on forsy nie ma** – stwierdził smętnie Kierowca.

— **Znajdzie się, znajdzie** — pocieszył go Palacz. Wstał i zrobił błyskawiczną scenę z gangsterskiego filmu: nabrał na szuflę rozpalonego do czerwoności węgla i podsunął do twarzy leżącego Peklownika. Ten, czując bliską śmierć i swąd przypalonych brwi i rzęs, wyjęczał:

— **W tylnej kieszeni spodni. Ale puśćcie mnie już, to was nie wydam...**

Wyjęli mu forsę razem było tego trzy z hakiem, migawka z [illegible] dychy, klucze i szalik. Wtedy go zamroczyło...

3.

Kiedy po kilku minutach wrócił do przytomności, w kotłowni nie było nikogo. Wybiegł z podziemi i rozglądał się bezradnie. Przypadkowy, zapóźniony przechodzień (była już godzina trzecia), wskazał mu drogę do Komendy. Dotarł tam po pół godzinie. Milicjanci przybyli w okolice rozboju, lecz Peklownik nie potrafił wskazać kotłowni.

Sprawę wyjaśnił dopiero Masarz, który wyspawszy się solidnie, o godzinie czwartej nad ranem opuścił pustą kotłownię i przeczytał, co było napisane na tabliczce bloku, w którego podziemiach drzemał. Rozbójnicy zostali rozszyfrowani i pociągnięci do tzw. odpowiedzialności.

Ale forsy tak szybko od nich się nie wyciągnie.

Stąd wniosek, czyli przykazanie jedenaste: Pamiętaj, abyś w dzień Matki Boskiej Pieniężnej nosił z sobą zegarek, który wskaże ci czas powrotu do domu, gdzie jeśliś spragniony, możesz strzelić pół basa w zaciszu i spędzić noc w łożu przy ciepłych nogach żony, a trud twój całomiesięczny będzie nagrodzony i nie stracisz mamony.

LOTNICTWO

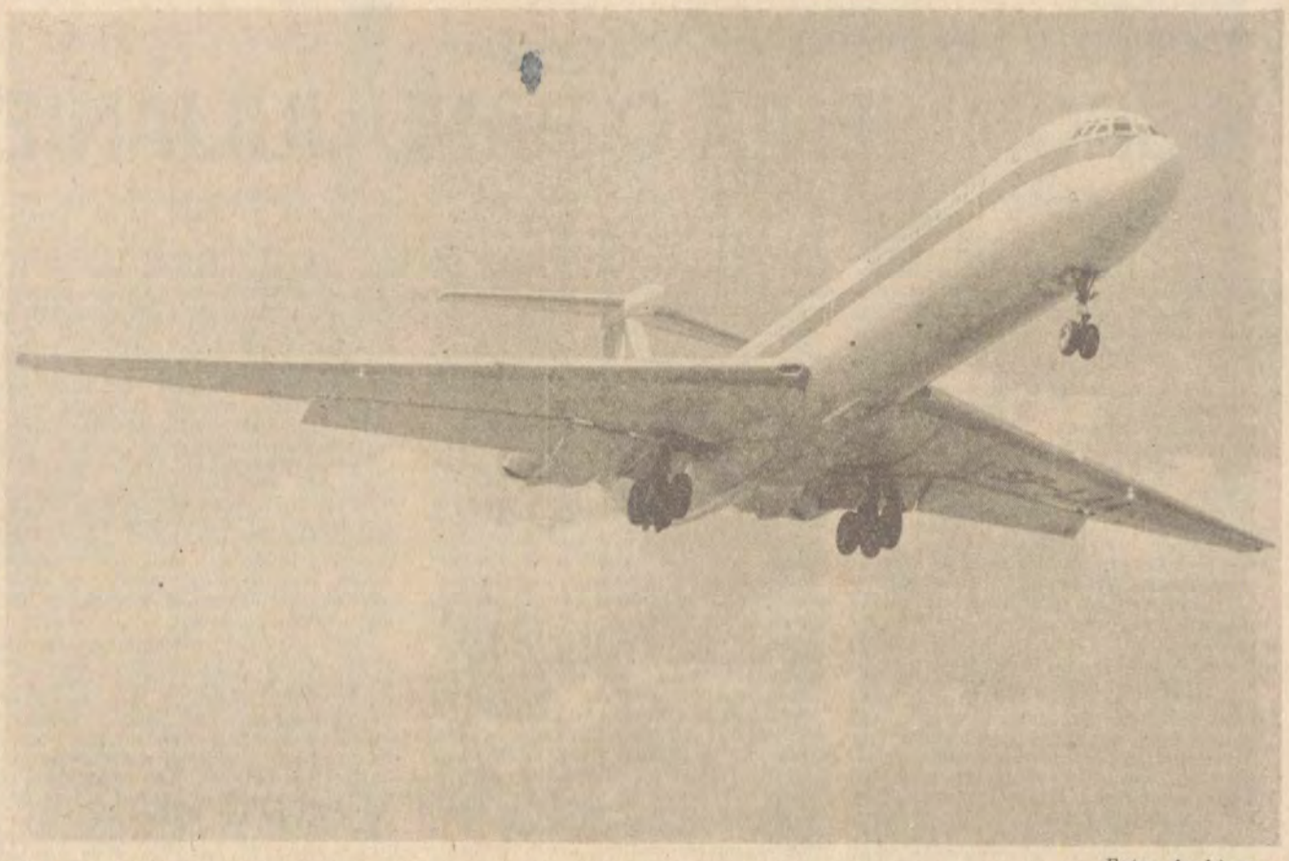

Foto: Archiwum

ŚWIAT WIDZIANY Z OKĘCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

lądują u nas, ale wszystkie się meldują, o wszystkich wiemy, z wszystkimi rozmawiamy, a kiedy trzeba pomagamy. Toteż, kiedy na wiadomość o nagłym lądowaniu porwanego przez krewkiego Włocha samolotu IBERII ktoś jęknął:

— „Wyobrażam sobie co się działo na Okęciu!"

mogłem odpowiedzieć: — zapewniam że nic! Nikt z pasażerów niczego nie zauważył, prócz oczywiście samolotu, który wylądowawszy stał z niewyłączonymi silnikami i jakoś nie opuszczali go pasażerowie. Ale takie oczekiwania się zdarzają, zaś ruch jest wielki i mogło to wszystko ujść uwadze przeciętnego podróżnego, co zresztą się stało — jak doniósł o tym później serwis prasowy. Mogłem zapewnić moich rozmówców o spokoju, bo to główna cecha ludzi pracujących na Okęciu.

Spokój, opanowanie, precyzja, błyskawiczne, jednoznaczne, obowiązujące wszystkich, zrozumiałe, bezdyskusyjne decyzje zawarte w paru słowach wypowiedzianych półgłosem w którymś z trzech języków obowiązujących na liniach zagranicznych: angielskim, francuskim, rosyjskim i oczywiście polskim, ale gdy trzeba również bez problemu w języku ojczystym nadlatującego samolotu. Na tej wieży pracują ludzie o najwyższych kwalifikacjach kapitanów pilotów, zaś ich wiek nie przekracza chyba trzydziestki. Mówią płynnie kilkoma językami, potrafią nawet w gęstej mgle wyprowadzić i posadzić samolot, kierując poprzez przyrządy i radio każdym ruchem pilota maszyny. To nie są już dziś żadne rewelacje. Kulisy portów lotniczych doskonale pokazały liczne filmy, których oś dramatyczna osadzała się wszakże wokół sprawy: spomplikowana technika i człowiek.

Co może zawieść? Dziś już wiemy, że bardziej od techniki, urządzeń elektronicznych, zabezpieczeń, automatów, komputerów etc. zawodny jest niestety człowiek. Jego udział w procesie kierowania lotniskiem i tym co się dzieje w powietrzu jest niezbędny. I będzie. I dlatego może się zdarzyć to, co się zdarzyło nad Zagrzebiem, bo mylną decyzję podjęły tam i podyktowały usta człowieka, a nie wskazania przyrządów.

Na Okęciu, którego **Międzynarodowy Port Lotniczy** w obecnym kształcie obliczony na roczną obsługę 700 tysięcy pasażerów a powstały siedem lat temu, nie ma jeszcze wyposażenia takiego jak największe lotniska świata **ORLY** czy **KENNEDY.** Przestarzałe i zmęczone aparaciska wymagają już wymiany. Dlatego tutaj człowiek gra rolę pierwszorzędną i na szczęście **OKĘCIE** posiada personel, którego pozazdrościć mu mogą najlepsi przewoźnicy lotniczego świata.

Patrzę więc z oszklonego wierzchołka wieży na pasy startowe — jak mi mówią za krótkie już, a więc wydłużone w tym roku o 700 metrów, na scinane kępy krzewów, plantowany teren pod dalszą rozbudowę betonowych płaszczyzn, na wyrastające ściany nowych obiektów **OKĘCIA**: **Międzynarodowy Port Lotniczy** pozostanie tu gdzie był. Koncepcje przeniesienia go w inne rejony Warszawy upadły z wielu przyczyn. Przede wszystkim zadecydowały kierunki lotów: starty i lądowania odbywać się muszą u nas w kierunku wschód — zachód tak jak układają się kierunki przelotów międzynarodowymi korytarzami powietrznymi nad Polską. Warszawa zatem może rozbudowywać się i tak to czyni w kierunku Północ — Południe, nikt bowiem nie chce mieć w sąsiedztwie swego domu lotniska. Natomiast miasto chce je mieć jak najbliżej, ujęte w sieć swej komunikacji tramwajowej, autobusowej, samochodowej a także, jeśli to możliwe, w zasięgu metra, czy kolejki podmiejskiej. Lotniska odległe, do których dojazd zabiera więcej czasu niż sam samolot, nie są ideałem projektantów. Dziękujmy zatem dobremu losowi, że nie ulegliśmy zapędom architektów i nie zabudowaliśmy płaskich, pustych zdawałoby się terenów **OKĘCIA** blokami i że dziś starczy miejsca na rozbudowę nowoczesnego portu lotniczego.

OKĘCIE pęka w szwach — tak to lapidarnie określił Naczelny Inżynier Biura Studiów i Projektów Lotnictwa Cywilnego, inż. **Jan Smoleński.** Obliczone, jak się rzekło na 700 tys. pasażerów, przyjęło w roku ubiegłym 1.200 tys. Pierwszy etap rozbudowy, który trwa, zakłada stworzenie całej nowej infrastruktury: dworców pasażerskich, magazynów, instalacji, kontroli ruchu, odpraw pasażerskich, restauracji, ośrodków zaopatrzenia samolotów w żywność, dostosowanej do liczby 2 i pół miliona pasażerów rocznie. Drugi etap — dla pięciu a za lat kilkanaście do 8—10 milionów! Przedłużanie dróg startowych, które obserwowaliśmy, dokonywane jest z myślą o potrzebach tzw. samolotów krytycznych, największych naszych IŁ-62 i JAMBO-JETÓW.

Czy jedno lotnisko międzynarodowe wystarczy? Nie! Muszą być jeszcze co najmniej dwa zlokalizowane w różnych klimatycznie strefach kraju. Dlatego rozbudowano Gdański Rembiechów, który już włączył się do ruchu międzynarodowego. Powstanie niezadługo wielkie lotnisko pasażerskie gdzieś między Katowicami a Krakowem, w południowej strefie kraju. To tylko może dać gwarancje bezpiecznego lądowania w Polsce, gdyby w stolicy warunki były trudne.

A co z komunikacją krajową? I tu plany są interesujące: coraz więcej istniejących już lotnisk włączanych będzie do komunikacji międzynarodowej: takie połączenia ma już Kraków, Poznań, Gdańsk, nie licząc okresowych zagranicznych czarterów z innymi miastami. Komunikację lotniczą wewnątrz Polski zapewniają, bądź w najbliższym czasie zapewnią lotniska w Olsztynie, Bydgoszczy—Toruniu, Białymstoku, Lublinie, Rzeszowie, Kielcach nawet w Nowym Targu (sezon zimowy w Tatrach), a także lotniska „zielone" bez specjalnie utwardzanych dróg startowych w Suwałkach, Gorzowie, Pile, Grudziądzu, Kętrzynie, Łomży, Radomiu... i wielu innych miastach. **ŁÓDŹ** jest ujęta w planie tych pierwszych lotnisk z połączeniami nawet międzynarodowymi, tyle, że na razie nikt nie umie powiedzieć, kiedy to nastąpi.

Inżynier Jan Smoleński mówi mi, że Francuzi uważają, iż każda aglomeracja miejska licząca powyżej 200 tys. ludzi powinna mieć własne lotnisko. Przy czym sieć lądowisk powinna być rozmieszczana w promieniu 200 km, od siebie, zaś wszystkie winny mieć możność najlepszego komunikowania się z liniami międzynarodowymi. Poglądy zapewne słuszne, ale czy nas na to stać?

Polskie Linie Lotnicze LOT, które nie są gospodarzem, a jedynie użytkownikiem lotnisk i portów lotniczych, powstały w styczniu 1929 roku. Dziś długość LOT-owskich połączeń wynosi ponad 70 tys. kilometrów, wiodąc do portów lotniczych Europy, Ameryki i Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu — w sumie do 38 zagranicznych miast. W roku ubiegłym nasze samoloty przewiozły ponad półtora miliona pasażerów. W pięciu ostatnich latach długość linii wzrosła o 30 tys. kilometrów – dowód naszego coraz to szerszego otwarcia na świat. Mamy 42 samoloty produkcji radzieckiej w tym: sześć odrzutowców dalekiego zasięgu IŁ-62 (168 pasażerów, szybkość przelotowa 950 km/godz.) Kopernik, Kościuszko, Chopin, Mickiewicz, Pułaski, Sienkiewicz. Odrzutowce średniego zasięgu TU-134 zabierają 72 pasażerów i mają szybkość 850 km/godz. Linie krajowe obsługiwane są przez samoloty turbośmigłowe AN-24 i IŁ-18. Liniowcami leci się do Nowego Jorku, lub Montrealu 7 godzin i 50 minut.

Zdarza się, że nasze samoloty „świadczą usługi" zagranicznym przewoźnikom. Tak na przykład swego czasu woziły pielgrzymów z Kairu do Jeddy w barwach AIR EGYPT. Mapa lotów czarterowych o charakterze handlowo-towarowym: przewóz owoców, kwiatów itp. obejmuje 200 portów lotniczych świata. Rozwija się także turystyka lotnicza, a na trasach prowadzących z różnych stron świata znajduje się Warszawa, którą wielu chce zwiedzić w ciągu dwóch dni „przerwy" w podróży dookoła świata. Tak było z 40 grupami turystów japońskich.

Obserwuje się wciąż dynamiczny rozwój kontaktów pasażerskich, gospodarczych, kulturalnych i turystycznych. Stąd rozwój transportu lotniczego jest życiową koniecznością. We wrześniu tego roku przedłużymy linię z Bagdadu przez Dubai i Bombaj do Bangkoku. Wzrośnie częstotliwość lotów na liniach europejskich. W **LOCIE** powstał Zespół Turystyki Zagranicznej AIR TOURS, dla którego rozpoczęto już w sąsiedztwie Dworca Centralnego budowę super nowoczesnego AIR TERMINAL, składającego się z 48-piętrowego hotelu typu HILTON i całego zespołu usługowego, łącznie z pomieszczeniami dla odpraw celnych i paszportowych, które dokonywane będą w centrum Warszawy.

Los zrządził, że jesteśmy w Łodzi za blisko największego lotniska w kraju — Stolicy, bliżej nawet niż zakładają to francuscy teoretycy lotnictwa cywilnego. Nasze starania o uruchomienie komunikacji lotniczej z Łodzi do najdalszych miast kraju i odwrotnie niestety nie zyskały jak dotąd posłuchu, między innymi w **LOCIE,** w którym przecież usłyszeliśmy pełną pociechy informację o braniu pod uwagę Łodzi nawet w układach połączeń międzynarodowych!

WIESŁAW MACHEJKO

U przyjaciół

Już przed 6500 laty istniały siedziby ludzkie w rejonach peryferyjnych dzisiejszego Drezna. Stwierdzili to archeologowie, którzy niedawno natrafili na pozostałości ponad 40 domostw.

Odkrycia tego dokonano w rejonie Kauscha i Nikern, gdzie powstaje zbiornik wody pitnej dla największego osiedla mieszkaniowego Drezna — Prohlis.

Odkryta osada z epoki kamiennej pochodzi z ok. 4500—3500 r. p.n.e. Odnaleziono kamienne topory i żarna. Wiele z nich zdobionych jest bogatymi ornamentami fragmentów naczyń glinianych, natrafiono także na zboże, które udało się zidentyfikować jako pszenicę i jęczmień.

Liczne pozostałości oszalowań pozwalają stwierdzić, że domostwa „pramieszkańców" Drezna miały wielkość 40 x 7 metrów.

Kilka, wśród odnalezionych eksponatów pochodzi z epoki brązu i żelaza.

Wiosną archeologowie Krajowego Muzeum Prehistorii Drezna rozpoczną tu prace wykopaliskowe na szeroką skalę. Eksperci placówki badawczej tego muzeum podjęli w 1976 r. prace przy 30 prehistorycznych rejonach wykopalisk w okręgach Drezna, Lipsk i Karl-Marx-Stadt, czyniąc przy tym interesujące odkrycia archeologiczne. Obecnie w naszej republice działa około 200 honorowych konserwatorów wykopalisk.

• • •

Miejsce Pamięci i Ośrodek Badawczy im. Henryka Kleista we Frankfurcie nad Odrą stanowi prawdziwy klejnot w krajobrazie kulturalnym tego regionu. Działalność frankfurckiej placówki zainaugurowano w 1969 roku a jej siedzibą stał się barokowy pałacyk nad brzegiem Odry.

Budynek ten wzniesiono w 1777 r. a więc w roku, w którym urodził się poeta w domu leżącym niedaleko pałacyku, a zniszczonym w czasie działań wojennych.

Pałacyk przeznaczony był początkowo na szkołę garnizonową dla synów wyższych oficerów pruskich. Po wojnie został pieczołowicie odrestaurowany i zaadaptowany dla nowych celów — w swych murach kryje dziś bogate materiały dotyczące epoki niemieckiego klasycyzmu, a więc czasów, w których żył i działał Henryk von Kleist (1777—1816).

Biblioteka kleistowska obejmuje 4,2 tys. woluminów — grafiki i ilustracje do dzieł Kleista zbierane od 1816 r.

Zebrano tu także czasopisma, obrazy oraz nagrania muzyki i tekstów, koncepcje reżyserskie, notatki z prób, projekty kostiumów, scenografii.

Niezrozumienie wśród współczesnych i pogarda własnej rodziny sprawiły, że twórca „Rozbitego dzbana" pozostawił po sobie niewiele manuskryptów czy listów.

Z okazji 200 rocznicy urodzin poety w październiku br. wydawnictwo Aufbau Verlag wyda wszystkie dzieła Henryka von Kleista.

Z tej też okazji Ministerstwo Kultury organizuje w dniach od 18—23 października br. we Frankfurcie nad Odrą Tydzień Kleistowski.

Obecnie zamknięto konkurs na plakat, poświęcony tej imprezie. W czasie trwania Tygodnia Kleistowskiego przewidziano m.in. konferencję naukową na temat romantyzmu w literaturze i jego recepcji we współczesnym społeczeństwie.

Poza tym przewidziano koncert symfoniczny z udziałem frankfurckiej orkiestry, która wykona muzykę skomponowaną do utworów Kleista.

Odbędzie się także specjalne kolokwium Związku Twórców Teatralnych, gościnne występy jednego z czołowych teatrów NRD oraz inscenizacja „Księcia Fryderyka von Homburg" na scenie frankurckiego Teatru im. Kleista.

Rzeźbiarz Wieland Forster pracuje obecnie nad rzeźbą Kleista, która zostanie odsłonięta w ramach obchodów Tygodnia.

PLANY WOJSKOWEJ EKSPANSJI USA

Wojskowe koła Stanów Zjednoczonych próbują ulokować swoje bazy wojskowe na terytoriach innych państw w bardzo szerokiej strefie, ciągnącej się od Zatoki Perskiej aż po Ocean Spokojny. Cel tych zamierzeń: wywieranie wpływu na kraje Południowej Azji, kraje Bliskiego Wschodu produkujące naftę oraz umożliwienie Pentagonowi kontroli nad oceanicznymi szlakami, źródłami surowców i wreszcie — ekonomicznym, politycznym i kulturalnym życiem suwerennych narodów krajów azjatyckich i afrykańskich.

Tworząc bazy wojskowe na cudzych terytoriach w basenie Oceanu Indyjskiego, kraje kapitalistyczne mają daleko idące plany skierowane swym ostrzem przeciwko młodym, niepodległym krajom i narodowowyzwoleńczym ruchom narodów Afryki i Azji. Postępowa część ludności tych kontynentów coraz gwałtowniej występuje przeciwko intrygom i knowaniom kół imperialistycznych w Azji i Afryce. Narody obu tych kontynentów żądają wycofania obcych wojsk z tych terytoriów świata, likwidacji baz wojskowych i przekształcenia Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju i bezpieczeństwa.

Niedawną decyzję Pentagonu o skierowaniu okrętów wojennych na czele z lotniskowcem „Enterprise" na wody Oceanu Indyjskiego, zachodnia propaganda usiłuje usprawiedliwić „rosnącą radziecką penetracją w tym rejonie świata i obecnością radzieckich baz wojskowych w Indach i Somali". Tak samo usprawiedliwiano budowę wojskowej bazy USA na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Nieustannie rośnie także liczba okrętów USA w tym rejonie świata. Nie ulega wątpliwości, że amerykańskie koła wojskowe intensywnie zwiększają swoją obecność wojskową, chcąc zastraszyć narody zamieszkujące wybrzeże Oceanu Indyjskiego. Mityczne wojskowe bazy radzieckie wykorzystują Amerykanie do oddania Oceanu Indyjskiego pod całkowitą kontrolę USA, pod pretekstem przeciwstawienia się „sowieckiemu zagrożeniu".

A kto w rzeczywistości zagraża Oceanowi Indyjskiemu? Doskonale wiadomo, że delegacja amerykańskich kongresmanów odwiedziła w ubiegłym roku somalijski port Berbera, o którym niejednokrotnie wspominano jako o radzieckiej bazie wojskowej, i nie wykryła tam nawet śladów radzieckiej obecności wojskowej. Jeśli natomiast chodzi o amerykańskie bazy wojskowe, to istnieją one realnie i przykładów można sypnąć jak z rękawa.

Fiński dziennik „New Perspektivs" przypomina, iż w końcu 1975 roku podjęto konkretne decyzje w sprawie zapewnienia stałego i nieskrępowanego wykorzystywania przez siły zbrojne USA baz wojskowych w Japonii. Manewry pod kryptonimem „Zimowa operacja górska" przeprowadzone w Południowej Korei, wspólnie z wojskami USA, południowokoreańskimi i japońskimi w lutym ub. roku dowodzą, iż Południowa Korea jest zarzewiem napięcia na Półwyspie Koreańskim i w Azji. Podczas manewrów korzystano z baz USA na Okinawie.

Duże niebezpieczeństwo stanowi rozmieszczenie amerykańskiej broni jądrowej w Południowej Korei. „Defence Momitor", periodyczny biuletyn Informacyjnego Ośrodka Obrony, którym kieruje emerytowany admirał L. Rock, w numerze z dnia 9 lutego 1976 roku zamieścił analityczny przegląd politycznowojskowy zatytułowany: „Południowa Korea a polityka Stanów Zjednoczonych w Azji". Z przeglądu wynika, iż w Południowej Korei znajduje się około 686 jednostek taktycznej broni jądrowej. Pod rozkazami głównodowodzącego siłami zbrojnymi USA, stacjonującymi w Południowej Korei, pozostaje 60 tysięcy amerykańskich żołnierzy i oficerów. Jednostki lotnictwa wojskowego rozlokowano w pięciu punktach kraju, a baza morska znajduje się w Chinhe. Jednostki te współpracują ściśle z bazami USA w Japonii, rozlokowanymi na wyspie Okinawa, jak również w Iwakuni, Jokosuka i innych.

W Pentagonie doskonale wiedzą, iż zamorskie bazy USA mają złą sławę wśród narodów, i że rosnące siły ruchu pokoju żądają ich likwidacji. Wojskowe lobby w USA kładą nacisk na wprowadzenie do amerykańskiego uzbrojenia bardziej złożonej i udoskonalonej, silniejszej i jeszcze bardziej „dalekonośnej" broni jądrowej, co pozwoliłoby na częściową redukcję amerykańskich baz wojskowych na obcych terytoriach. Przewiduje się koncentrację baz wojskowych na wyspie Guam na Oceanie Spokojnym i w Mikronezji (Wyspy Pacyfiku, na Oceanie Spokojnym), żeby móc zwinąć bazy rozlokowane w Japonii, Południowej Korei i na Filipinach, których ludność żąda zresztą wycofania wojsk amerykańskich.

Mikronezję, wygodnie położoną na pół drogi między Hawajami a „zakładanym teatrem przyszłych walk w Azji", uważa się za doskonałe miejsce do rozlokowania lotniczych i morskich baz wojskowych USA.

Do wojskowego, jądrowego systemu strefy Oceanu Spokojnego wchodzą następujące bazy rozlokowane na wyspach japońskich: wojskowa baza morska Esami, niedaleko miasta Nagoya, na południe od Jokohamy, z której kieruje się ruchami łodzi podwodnych wyposażonych w rakiety Polaris i Posejdon, baza morska Misawa, w prefekturze Aomori, w pobliżu cieśniny Tsugaru w północnej Japonii, skąd śledzi się satelity nawigacyjne, stacja przekaźnikowa systemu Omega oraz przekaźnikowe stacje radiolokacyjne i inne urządzenia wojskowe rozmieszczone na wyspach: Cusima, Hokkaido i Okinawa.

3 tysiące wojskowych amerykańskich w cywilnych ubraniach pozostało w Syjamie na miejsce oddziałów wojskowych USA, wycofanych z tego kraju 20 marca ub. roku. W związku z nowym amerykańsko-syjamskim porozumieniem, baza lotnicza, stacja przekaźnikowa i baza zaopatrzeniowa w Syjamie, łącznie z obsługującym je amerykańskim personelem wojskowym, będą stanowić integralny organizm wojskowy. Baza Utapao stanie się centralnym ogniwem tego łańcucha baz, zabezpieczającym morskie linie komunikacyjne między Okinawą a bazą Clark na Filipinach oraz bazą na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Baza Ramasun jest także doskonale znana jako informacyjny ośrodek obserwacji elektronicznych trzech krajów Indochin. Reorganizacja baz wojskowych USA w Syjamie wywoła z pewnością gwałtowną reakcję narodów tej strefy geograficznej.

W wojskowych kołach USA, bez specjalnego rozgłosu, rozważa się plany ulokowania bazy marynarki wojennej USA w Transkei. Warto przypomnieć, że Transkei jest rezerwatem plemiennym, ogłoszonym w październiku 1976 roku jako niezawisły bandustan w RPA. W Pentagonie wyraża się opinię, iż wzmocni to amerykańską obecność wojskową na wodach oblewających południowe wybrzeża Afryki.

Zamierzenie usytuowania w bandustanie Transkei bazy morskiej jest tylko częścią szeroko pomyślanych planów USA zmierzających do eskalacji amerykańskiej obecności wojskowej w Afryce i wokół niej. Tu także zamiary amerykańskie usprawiedliwia się „sowieckim zagrożeniem". Obok stworzenia bazy w bandustanie Transkei, amerykańskie plany strategiczne wobec Afryki obejmują także zakończenie budowy bazy na wyspie Diego Garcia, znaczne zwiększenie amerykańskiej obecności wojskowej w tym rejonie, jak również zwiększenie amerykańskiej pomocy wojskowej dla niektórych krajów afrykańskich. Warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt, który rzuca pewne światło na obecne wydarzenia w Zairze. W czerwcu ub. roku ówczesny minister obrony USA, Donald Rumsfeld, przebywał w Kenii i Zairze. Była to pierwsza podróż szefa Pentagonu do Afryki. W konsekwencji Amerykanie zobowiązali się dostarczyć Kenii 12 ponaddźwiękowych samolotów pościgowych na sumę około 70 milionów dolarów, i okazać pomoc wojskową Zairowi w wysokości 50 milionów dolarów...

JERZY CZECH

Statystyka

SPADEK URODZEŃ W EUROPIE

Zaledwie kilka lat temu wielu uczonych sądziło, iż takie zjawisko, jak szybki wzrost ludności, jest charakterystyczne niemal dla wszystkich krajów bez wyjątku. Dziś staje się oczywiste i świadczą o tym liczby podane przez Amerykańską Agencję Informacyjną, dotyczące niektórych krajów europejskich, że w najbardziej rozwiniętych krajach tempo urodzeń spada. Oto kilka przykładów:

Zachodnie Niemcy. W 1975 roku ogólna liczba ludności w kraju zmniejszyła się po raz pierwszy od 1945 roku. Statystyka wskazuje, iż na jedną parę małżeńską przypada obecnie średnio 1,5 dziecka, wobec 2,3 w połowie lat 60-tych.

Anglia. Poziom liczby urodzeń w 1976 roku wynosił 11,9 na 1.000 mieszkańców, co było najniższym wskaźnikiem na przestrzeni całej historii kraju. Na średnią angielską rodzinę przypada 1,8 dziecka.

Francja. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba urodzeń stale się zmniejsza. Wskaźnik urodzeń: 13,6 na 1.000 mieszkańców w 1976 roku, wobec 16,9 w 1972.

Włochy. W 1964 roku poziom urodzeń osiągnął rekordowy wskaźnik 19,5 na 1.000 mieszkańców. W 1975 spadł już do 14,8.

Szwecja. W ub. roku odnotowano najniższy poziom urodzeń w ciągu całej historii kraju.

Belgia. W 1975 roku w kraju zmarło dokładnie tyle ludzi, ile się urodziło.

Finlandia. Jeden z b. nielicznych krajów, w którym wzrósł poziom urodzeń z 12,2 na 1.000 mieszkańców w 1973 roku do 14,1 w 1975.

Jugosławia. W 1975 roku zarejestrowano 18 noworodków na 1.000 mieszkańców, podczas gdy w 1955 roku wskaźnik ten wynosił 27!

J.C.

✶ Dobre stosunki i ich zasady
✶ Jednakowe bezpieczeństwo stron
✶ Legalizacja KP Hiszpanii
✶ Próba umiędzynarodowienia walki

VII Plenum KC PZPR poświęcone było zadaniom partii w pogłębianiu socjalistycznej świadomości i patriotycznej jedności narodu, a więc zadaniom wewnętrznym. Jednakże **praca ideowo-wychowawcza nie może nie uwzględniać uwarunkowań zewnętrznych** — stanu stosunków międzynarodowych i przejawiających się tendencji. Stąd właśnie na plenum znalazła się także tematyka międzynarodowa, a w swym końcowym przemówieniu tow. Edward Gierek poświęcił jej sporo miejsca.

Raz jeszcze ustami polskiego przywódcy potwierdzone zostały kanony naszej polityki zagranicznej i dążenia państwa do ogarniającego wiele dziedzin światowego odprężenia. Niestety — dziś jeszcze, choć taka powinna być logika już poczynionych kroków, nie staje wyłącznie zadanie pogłębienia odprężenia, ale po prostu walka o jego kontynuowanie. W różnej postaci nasiliły się bowiem ataki na to, co podpisami najwyższych reprezentantów 35 państw przyjęto w Helsinkach jako zasady pokojowego współżycia.

Próbuje się na przykład rozpętać kampanię wokół praw obywatelskich, rzekomo w Polsce zagrożonych. Jak nonsensowne to stwierdzenie udowadnia praktyka socjalistycznego państwa. Mamy rozbudowane instytucje demokracji socjalistycznej, które wciąż doskonalimy, a z samej istoty naszego ustroju i przeobrażeń społecznych wynikają podstawy demokratycznych stosunków. Przypominając je, jak również tradycje walk Polaków o wolność narodową i społeczną mógł więc I sekretarz KC PZPR na plenarnym posiedzeniu oświadczyć: **„Naród nasz od nikogo nie potrzebuje pouczeń w sprawach wolności".**

My konsekwentnie wcielamy w życie wszystkie postanowienia Aktu Końcowego KBWE, zarówno na płaszczyźnie dwustronnej jak i wielostronnej. Chęć kontynuacji i rozszerzenia procesu odprężeniowego deklarują także rządy większości państw zachodnich.

„Jeśli czyny będą zgodne z tymi deklaracjami — powiedział Edward Gierek — **to zbliżające się spotkanie w Belgradzie będzie miało konstruktywny przebieg i da pomyślne rezultaty".**

Dobre stosunki między państwami o odmiennych ustrojach **wymagają jednakże poszanowania wzajemnych interesów, równoprawnej współpracy, respektowania porozumień i nieingerencji w sprawy wewnętrzne.** Takim rozwojem sytuacji żywotnie zainteresowane są wszystkie państwa socjalistycznej wspólnoty, których polityka zagraniczna bez reszty angażuje się na rzecz odprężenia.

Oczywistym krokiem w kierunku odprężenia militarnego byłoby ograniczenie zbrojeń strategicznych. Przed tygodniem na tym miejscu pisaliśmy o rozmowach w Moskwie sekretarza stanu — C. Vance.

Do dyskutowanego tam problemu ofensywnych zbrojeń strategicznych nawiązał w obszernym artykule redakcyjnym dziennik „Prawda". **Wyrażając przekonanie, że jest to zagadnienie, które może i powinno być rozwiązane, organ KC KPZR podkreśla, iż w nowym porozumieniu musi znaleźć konsekwentny wyraz zasada równości i jednakowego bezpieczeństwa stron.**

„Główny sens porozumienia osiągniętego we Władywostoku — pisze „Prawda" — polega właśnie na tym że w ustalonych tam podstawowych parametrach układów SALT uwzględniono możliwy do przyjęcia przez obie strony bilans ich wzajemnych interesów, z uwzględnieniem specyfiki sytuacji strategicznej".

Od czasu owych ustaleń nie nastąpiło nic, co usprawiedliwiałoby ich rewidowanie. **Przy dobrej woli strony amerykańskiej istnieją zatem przesłanki do pomyślnego zakończenia prac nad nowym radziecko-amerykańskim porozumieniem.**

A teraz odnotujmy dwa inne wydarzenia minionego tygodnia.

Po długim oczekiwaniu — rząd premiera Suareza powziął ostatecznie decyzję **o legalizacji Komunistycznej Partii Hiszpanii.** Jest to niewątpliwie duży sukces komunistów, którzy teraz będą mogli przystąpić do udziału w kampanii wyborczej. Przypomnijmy, że pierwsze powszechne wybory po erze frankistowskiej wyznaczone zostały na czerwiec.

Przez czterdzieści lat na komunistów hiszpańskich spadały najcięższe ciosy — byli oni prześladowani znacznie bardziej niż inne siły opozycyjne. Tym bardziej **decyzja o legalizacji spotkała się niemal z powszechną aprobatą.**

Po tej dobrej wiadomości — włączmy do przeglądu zła. **Jesteśmy świadkami umiędzynarodowienia konfliktu w Zairze.** Samolotami francuskimi i marokańskimi przerzucone zostały do tego kraju oddziały marokańskie, których celem jest wsparcie wojsk rządowych w celu zdławienia powstania w prowincji Szaba (dawniej Katanga). Kieruje nim Front Wyzwolenia Narodowego Konga, a pretekstem do interwencji jest rzekomy udział w powstaniu sił innych państw.

Nie ulega wątpliwości, że **mamy tu do czynienia z wyraźną próbą mieszania się w wewnętrzne sprawy kraju** i to z próbą, która może mieć duże reperkusje.

Z pewnością do tematu przyjdzie nam powrócić.

W. SŁAWSKI

SPORT

NIESPODZIANKI

Robienie bliźnim niespodzianek jest zajęciem bardzo miłym i pożytecznym, pod warunkiem, iż są to miłe niespodzianki. Bardzo miłą niespodziankę zrobili nam koszykarze wygrywając z Kubańczykami. Wszyscy się z tego cieszyli, tylko Kubańczycy tłumaczyli, że przegrali, bo byli wyczerpani po podróży. I istotnie w ubiegłą niedzielę, 17 kwietnia 1977 roku, w drugim meczu z Kubą nasi koszykarze ulegli przeciwnikowi, jak to było z góry wiadomo, że słabszy musi ulec silniejszemu, lepiej przygotowanemu i nie było już niespodzianki.

A nie było jej dlatego, że trener reprezentacji koszykarzy, Andrzej Pstrokoński miał do dyspozycji w pierwszych dwóch dniach zgrupowania tylko... siedmiu zawodników.

O przygotowaniach do stworzenia kadry wiedziano już od dawna, a nawet w grudniu 1976 roku przeprowadzono rozmowy z 27 zawodnikami. Nie wszyscy wyrazili chęć grania w reprezentacji, co jest zjawiskiem dość dziwnym. Inni natomiast — po prostu nie przyjechali. Nie przyjechali między innymi zawodnicy mistrza Polski — wrocławskiego Śląska, co tłumaczono koniecznością zdawania egzaminów.

Bardzo to dobre zjawisko, że sportowcy pamiętają o konieczności zdobycia zawodu i nie lekceważą nauki. Ale korzystają oni też z pewnych przywilejów, mogą studiować według indywidualnego systemu studiów i mają możliwość takiego układania terminów na uczelniach, aby nie kolidowały one z terminami zawodów i przygotowaniem do nich. Łukasz Jedlewski z „Przeglądu Sportowego" wyraźnie napisał o Ireneuszu Mulaku z lubelskiego Startu, że „gdyby wykazał tyle chęci co grono pedagogiczne, miałby już egzamin dojrzałości za sobą".

Ale sportowcy — w większości przynajmniej — chcą się uczyć i to bardzo dobrze. Uczyć chciał się też Leszek Kokoszka i sprawił tym niespodziankę klubowi Podhale w Nowym Targu, prosząc o zezwolenie na przeniesienie się do Łodzi. Prośbę swoją jednakże motywował jeszcze tym, że chce stworzyć dla siebie większe możliwości rozwoju jako hokeista i dlatego pragnie przenieść się do ŁKS. Argumentację tę w Podhalu wyśmiano, jako że w końcu najwięcej można nauczyć się u mistrza Polski, ale problem pozostał. Pozostał dlatego, że kolejna niespodziankę sprawił Zenon Plech Stali w Gorzowie, pragnąc również przenieść się do innego klubu, tym razem do Wybrzeża Gdańsk.

Zenon Plech przez pewien czas występował w angielskiej lidze, występował w Australii, wiele się nauczył i jest chyba w tej chwili najlepiej przygotowanym polskim zawodnikiem. Ma jednak ambicje i chce studiować prawo morskie. Ma do tego pełne prawo. Ale Stal Gorzów jest innego zdania. Zainwestowali w Plecha i chcą, aby im ta inwestycja się zwróciła. Zawiesili więc go na rok, a PZŻ dodał do tego drugi rok i przez dwa lata Zenon Plech nie będzie występował. Mądre to jest szalenie, a mądrością psa ogrodnika, który sam nie zje, ale innemu też nie da.

Niespodziankę sprawili nam też piłkarze. Najpierw ci reprezentacyjni, którzy przegrali z braćmi Węgrami a potem nasi rodzimi, czyli ŁKS który uległ po bardzo niedobrym meczu Szombierkom z Bytomia. Gdyby podejść do meczu naszej reprezentacji z Węgrami bez kibicowskich emocji, to wtedy szybko uświadomimy sobie, że był to ostry sparring, że Polacy grali nie tylko w Budapeszcie, ale również grała druga reprezentacja i młodzież i oba zespoły nie przegrały. Na osłodę mogę tylko przypomnieć, że Duńczycy też przegrali z Bułgarami i nic z tego jeszcze nie wynika. Ale który kibic nie chciałby, żeby jego drużyna wygrała?

ŁKS nie wygrał, bo prawie wcale nie grał. Aż żal było patrzeć na ten mecz, kiedy wyraźnie widziało się że nikomu nie chce się kopać piłki, ale każą, więc trzeba. Po tym meczu pozostała już tylko jednopunktowa przewaga i jak tak dalej pójdzie trzeba się będzie pożegnać z marzeniami o mistrzu Polski, tak jak wcześniej pożegnano się z marzeniami o Pucharze Polski. Nie wszystkie drużyny narzekają na to, że wreszcie reprezentacja Polski ma tak wielkie rezerwy, czego jeszcze nie tak dawno się domagano, i nie wszystkie drużyny będą próbowały składać całą winę na gorący okres przygotowań do mistrzostw świata. W końcu może niektóre zespoły zrozumieją, że tak jak reprezentacyjna drużyna nie może długo funkcjonować bez silnej i licznej rezerwy, tak i drużyny ligowe prędzej czy później muszą się przejechać na „krótkiej ławce". Zabrzański Górnik, który postawił na młodzież, we wiosennej rundzie jeszcze nie przegrał i szybko goni rewelacje jesieni — ŁKS. Ile jeszcze niespodzianek sprawi nam łódzka drużyna? A jeśli już musi, to poprosimy o te przyjemne.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (1)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

przygody źle urodzonego studenta

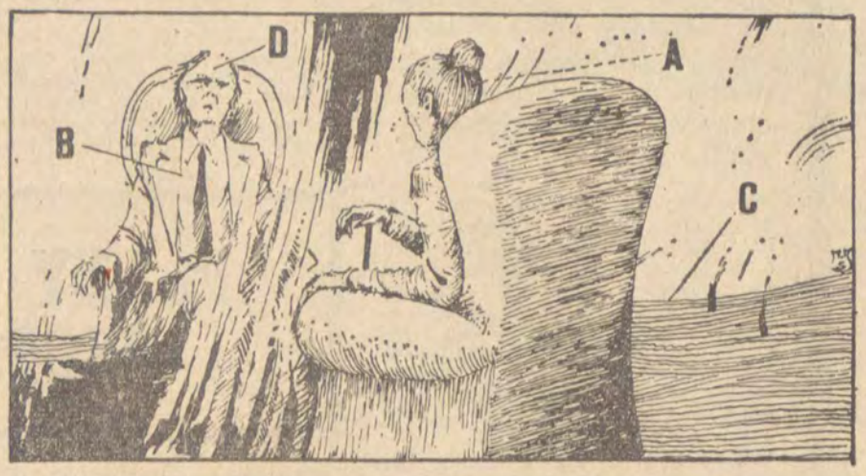

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ciocia wyspecjalizowała się w uczuciu litości. Siedzi w fotelu na biegunach, ma pod sobą miękkie poduszki, kołysze się miarowo, nie za mocno i wylewa fontanny łez nad gazetą.

— Straszne rzeczy piszą, straszne! Komuniści nie mają litości nawet nad czytelnikami swoich własnych gazet. Słyszysz ty racjonalisto?

— Słyszę, ciociu. Przed wojną pisano to samo.

Karol odpowiada grzecznie, choć bardzo jest zmęczony. Cały dzień jechał z Łodzi do Kielc, tak się teraz jeździ. Najpierw w wagonie towarowym podzielonym sprawiedliwie między ludzi i zwierzęta, trafił mu się transport przesiedleńców. Jechali gdzieś na Śląsk, ku nowej granicy kraju, cóż znaczy jeden człowiek więcej, jeden mniej? Zabrali Karola z chęcią i aż do Koluszek wypytywali co też może ich spotkać na zachodzie. Karol odpowiadał uprzejmie, że nic takiego, ziemia jak ziemia, ziemniaki jak ziemniaki, niebo jak niebo, tylko domy pewnie trochę lepsze. W Koluszkach złapał pociąg osobowy, który powlókł się do Skarżyska. Szyb w oknach nie było, wagony podziurawione pociskami, wiało więc z każdej strony wielkiego świata, ale ludzie nie tracili humoru. Karol słuchał uważnie ostatnich wiadomości, radosnych albo tragicznych — jakiś inny Karol zginął ostatniego dnia wojny, odnalazła się Maryśka, przytargała siedem walizek z łachami, srebrem, wołowiną w puszkach, kryształy zaraz wstawiła do kredensu, odebrała szkodom co nasze. Józek z braćmi szabrują na zachodzie, co w domu to pewne, ksiądz powrócił z obozu, przywiózł święty obraz, cudo, więźniowie wymalowali Marię, od śmierci ich broniła, ziarno na siew rozdają, ruskie nie ruskie a co za różnica, jak wyrośnie będzie po naszemu szumiało. Karol podawał swoje wiadomości o kolegach, których doliczyć się nie może wyciągał z kieszeni pieniądze, płacił swoją część pieniądze wędrowały gdzieś w stronę lokomotywy, wracał bimber, sprawiedliwie odmierzane kawałki kiełbasy, czarny chleb. Pił jak wszyscy i jadł, ale nie za dużo, każdy otrzymywał tylko tyle ile mu wypadało. Śpiewał wojenne piosenki, wiara była swoja, a kieszenie wyładowane przeważnie optymizmem.

— Ty mi tych czasów do przedwojennych nie przyrównuj.

— Racja ciociu, a niech mnie Bóg broni na przyszłość przed jakimikolwiek porównaniami.

W Skarżysku pomylił się, wsiadł znowu do towarowego. Pociąg ruszył, ale nie skręcił na południe ku Kielcom, leciał do Koluszek. Wyskoczył szczęśliwie w pełnym biegu, człapał po błocie z pół godziny, ze stacji ruszał właśnie luksusowy pociąg pospieszny w stronę Krakowa i Pragi. Postój w Kielcach nie był przewidziany, ale Karol wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. I nie zawiódł się, pociąg zatrzymał się przed miastem, wysiadł więc bez pośpiechu i pomaszerował do domu nie zważając na deszcz. A teraz broni się przed zaśnięciem, utrzymuje w miarę sił ów szczególny stan skupienia, który pozwala mu rozmawiać spokojnie z ciocią, jeszcze odpowiadać z jakim takim sensem, lecz już mało co rozumieć. Cioci nie należy drażnić, bo to się może skończyć na wizycie lekarza, prywatnej oczywiście, cioci nie uznaje innych wizyt.

— Staruszek spadł z balkonu... ciekawe dlaczego oni piszą, że to staruszek, raptem miał wszystkiego sześćdziesiąt pięć lat. Dlaczego piszą tylko tyle, że poniósł śmierć na miejscu bez jednego przymiotnika? Chcą pewnie wszystko utopić w przeciętności to ich metoda.

Ciocia płacze nad gazetą. Matka ukryła się w głębokim fotelu ojca. Zmierzcha już, Karol widzi precyzyjne ruchy rąk matki. Migają białe palce, srebrne druty zataczają błyskawicznie zgrabne łuki, biały szalik spływa na podłogę. I to jest chwila jakiejś dawnej ciszy.

— Mario, pamiętasz, koniec księcia Długoruckiego?

— Przykro mi, ale nie pamiętam.

— Dziwne, to była przecież wielka śmierć, dużo się na ten temat mówiło.

Karol zna historię śmierci księcia lepiej niż tabliczkę mnożenia. Samotna obrona szablą, pod samotną brzozą, szaniec z trupów przeciwnika, zdradziecki strzał z tyłu, podły, niegodny, tak to jest, kiedy się z chłopami walczy, gdzie takiemu do szabli?

— A jak się ten staruszek nazywa?

Matka pyta spokojnie, ale Karol wyczuwa w jej głosie delikatną ironię.

— Kucharzyk, moja droga Mario, zwyczajny Kucharzyk.

— No to w porządku, zwykły Kucharzyk nie mógł mieć takiego zejścia jak książę Długorucki.

Ciocia chyba nie słyszy, płacze nad gazetą.

— Znowu spłonął dom, cała rodzina zatruła się grzybami, kto dzisiaj umie rozpoznawać grzyby? Zbierają wszystko, wagonami i do wspólnego kotła. Chłopczyk utopił się w gliniance, łowił ryby, tak jest zawsze kiedy młodzieży wszystko wolno, piorun zabił krowę, nie.. przepraszam, trzy krowy zabił. Gdzie zabił? Co ja widzę, w Jarmołowicach u Sieniawskich. Mario, przypomnij mi, Sieniawscy wiodą się z Jarmołowic, prawda?

— Wiedli się — odpowiada krótko matka.

— Bóg karze biedne zwierzątka za reformę rolną, nie powinny zmieniać właściciela... Boże, co się dzieje, mąż zabił żonę zaraz po powrocie z niewoli, młotkiem, a ty moja Mario, nie powinnaś w ten sposób przepamiętać swojego męża, który od samych Radziwiłłów odbierał podziękowanie przed całym pułkiem za wyzwolenie Nieświeża podczas kampanii litewsko-białoruskiej.

— A to się dopiero ucieszyły krowy jaśnie pana.

Ciocia podrywa się gwałtownie, odepchnięty fotel uderza o ścianę. Karol rejteruje z pokoju i zamyka się w łazience. Woli już wizytę prywatną lekarza, w końcu to sąsiad każe pewnie cioci położyć się. Jest mu jednak trochę przykro, poszedł tym razem za daleko. Cóż jednak zrobić, kiedy niewidzialny ludzik — podszeptywacz, zainstalowany na stałe przy lewym uchu, nagle zasnął. Gdyby ten łobuz czuwał, podpowiedziałby pewnie — rzeknijże teraz cioci coś miłego o własnym ojcu, przecież to duma rodu, kawaler wszystkich głównych orderów, wymieńże ze trzy bitwy, ze dwa chociaż specjalne wyrazy uznania od Wielkiego Marszałka, no już, szybciutko, a dostaniesz specjalnej nalewki, którą ojciec nad wyraz polubił. Ale gówniarz zasnął, zmęczyła go pewnie długa podróż, bydlęce wagony i całkiem smaczny bimber. Więc ten od prawnego ucha, też niewidoczny ale umocowany również na stałe zrobił swoje — nie zostawaj z ojcem a zwłaszcza ciocią na starym brzegu, bo cię mianują na zawsze spadkobiercą i dziedzicem cudzych cnót, zjedzą cię zalety przodków, będziesz blotką w wielkiej grze protoplastów, gdzie tam blotką — zerem w rachunku zmarłych i pół żywych, pruj na nowy brzeg, mostu nie ma, no ale uczyli cię pływać.

Karol odkręca szybko kurek, gaz zapala się, słychać najpierw jakby daleki grzmot i już szeleści wesoło ciepła woda. Nie ma jak stara cywilizacja, przyzwoita kąpiel to jedyna przyjemność po tej stronie rzeki. Zrzuca z siebie wymięte ubranie i brudną bieliznę, cóż, trzeba przyznać, że jeszcze i matczyne przepierki mają niebagatelną wartość, któż biednemu studentowi wypierze, za przeproszeniem, gacie i przepocone skarpety? Słyszy dzwonek, spokojne kroki matki na korytarzu, ciocia zdążyła już wydzwonić doktora Kmitę. Będzie robił puk-puk w plecy, zmierzy puls, sprawdzi pracę serca, obejrzy język, poprosi o kaszel, wstrzymanie oddechu, głęboki oddech i zapisze nic nie znaczące kropelki ziołowe, zaleci także spokój, jak najwięcej spokoju, nie unosić się, nie czytać gazet, nie rozmawiać o polityce. Lekko błękitna woda zmienia szybko kolor, ciemnieje już po umyciu głowy i rąk. Karol domyśla się co będzie z wodą, kiedy mydło i gąbka sięgną nóg.

Słychać znowu kroki na korytarzu, to ciocia odprowadza osobiście pana doktora, już sama wizyta poprawia stan jej zdrowia. Leki pana doktora, jak zawsze, są niezawodne. Tak powinno być łaskawa pani, proszę nie przedawkować, każdy nadmiar szkodzi, ach, pan doktor znakomicie wyczuwa pacjenta, coraz mniej takich lekarzy, oni zabijają każdą wyobraźnię, cóż, droga pani, bene diagnoscitur, bene curatur, stara zasada, niezawodna, do miłego łaskawa pani. Karol słyszy te dusery i jest wdzięczny doktorowi Kmicie, dopomógł mu rozwiązać konflikt sumienia, oddalił wyrzuty, przekazał cioci w kropelkach słodki dar zapominania. Jeszcze tylko skoczyć do apteki i miły na strój przy kolacji prawie murowany.

Karol wie co robi. Przebiera się w starą harcerską bluzę mundurową, przykręca krzyż, poprawia sznur, wygładza odznaki sprawności, wiąże starannie barwny krawat i melduje się pokornie cioci.

— Nareszcie wyglądasz jak człowiek.

— Cieszę się ciociu. Czy mam skoczyć do apteki?

— Przypominasz mi mojego drogiego męża nieboszczyka. Terminował jeszcze w badenpowelowskich skautach, stąd jego szczególnie wyrobiony stosunek do przyrody. Jutro pójdziesz do apteki, czuję się znacznie lepiej. Siądź no trochę przy starej kobiecie.

Karol siada posłusznie, nie ma chwilowo innego wyjścia. Myśli ze zgrozą, że teraz, już za chwilę rozpocznie ciocia dłuższy odczyt na temat nieboszczyków, pech, nic innego, akurat dzisiaj przypomniał jej męża. Mózg cioci działa na zasadzie — on mi przypomina. Poprzednim razem przypominał cioci nieboszczyka adiutanta księcia Długoruckiego. Wcześniej przypominał także ciekawych nieboszczyków — młodziutkiego topielca z gazety, opłakanego wyjątkowo starannie przez ciocię, lorda of Edynburg w młodym wieku, kiedy jeszcze pobierał nauki, ciocia znała lorda z doskonałej reprodukcji, która wisiała u Popielów, jakiegoś młodzieniaszka prawie świętego z katedry mediolańskiej, a może innej, przypominał także — zależnie od okoliczności — syna marnotrawnego, skazańca, którego ciocia znała osobiście jeszcze jako dziewczynka, przeżywająca rok 1905. Żywych Karol nigdy nie przypominał. Mąż cioci należał do największych wrogów Karola, zabierał mu mnóstwo czasu, kradł całe godziny i co gorsza — nigdy nie był postacią zamkniętą, skończoną, przeciwnie — rozwijał się w ustach cioci, obrastał tak licznymi cechami charakteru, że już teraz starczyło by go na dobrą kompanię niepodobnych do siebie i niezwykłych ludzi.

— Jak się urządziłeś w Łodzi, Karolu?

Zdumiewające — myśli Karol — ciocia posiadła drugą specjalność, a mianowicie obsługę zmarłych, na żywych nie starcza jej czasu. Skąd więc taka troska o niego?

— Bardzo dobrze, ciociu.

— Masz wygodny pokój?

— Bardzo wygodny, okna wychodzą na stary park, kapitalne miejsce dla głębokich refleksji. Jest centralne, ciociu, tapczan, biurko, fotele, łazienka.

— A może ty mieszkasz u jakiegoś tymczasowego? Przyznaj się!

W specyficznej nomenklaturze cioci „tymczasowi" obejmowali wszystkich przedstawicieli nowych władz, począwszy od wojewody, poprzez starostów, naczelników, milicjantów, na referencie skończywszy.

— Skądże ciociu, to bardzo przyzwoita rodzina. Absolutnie przedwojenna.

— Cieszy mnie to. Może jacyś nasi znajomi?

— Chyba nie, ciociu.

— Jakieś znane nazwisko?

— Czy ja wiem... Zagórzańscy.

Ciocia kołysze się delikatnie w fotelu, uruchamia pamięć, jeszcze chwila i wyskoczy z jej szarych komórek jakiś Zagórzański nieboszczyk, z pewnością wieczny a nie tymczasowy, może nawet daleki krewny, albo przyjaciel przyjaciela rodziny.

— Zagórzański, powiadasz? A jakie nosi imię?

— Krzysztof, ciociu.

— To chyba niemożliwe, chociaż nie nam sądzić wyroki boskie.

Tym razem ciocia nie żałuje, że Krzysztof Zagórzański żyje, choć to przecież jasne, że woli zmarłych. Cóż za zbieg okoliczności, Krzysztofa pogrzebano jeszcze przed wojną, ciocia nie miała przyjemności uczestniczyć w ostatniej posłudze, a wypadało. Nie krewny co prawda, ale powinowaty poprzez dalekich kuzynów, odpadł ze skały w Alpach, zawsze piął się ku szczytom, no a ciocia leczyła właśnie reumatyzm w Zaleszczykach, dowiedziała się po wszystkim, ale widocznie nie odpadł, albo go odratowali przed wojną byli lekarze, no i proszę, siedzi sobie w Łodzi.

— A co robi teraz Krzysztof?

— Jest adwokatem, ciociu.

— Świat się przewraca! Krzysztof adwokatem? Chociaż to do niego podobne, miał zawsze głębokie poczucie sprawiedliwości. Nie pytał o mnie?

— Dopiero co się wprowadziłem, nie było kiedy porozmawiać.

— Dam ci list polecający.

Karol jest w tej chwili pewien, że na swój sposób kocha tę płaczliwą ciocię, akceptuje fontanny łez wylane nad śmiercią rozbitków, których nie znaleziono na oceanie. Ciocia uznawała w zasadzie tylko pojedyncze nieszczęścia, nie zauważyła — na przykład — zniknięcia Abisynii, wojny domowej w Hiszpanii, dostrzegła jednak bez trudu śmierć żebraka, odnotowaną w kronice wypadków, wypadek na kolei, zatrucie gazem. Kochana ciocia. A przecież bywały lata, kiedy jej nienawidził chociażby dlatego, że mu odbierała prawo do własnej, maleńkiej historii. Karol przystępował do pierwszej komunii w dniu otwarcia nowej linii kolejowej, ciocia stała przy ministrze komunikacji, bardzo miłym człowieku, i data pozostała. Otrzymał prawdziwy zegarek szwajcarski na urodziny, ale był to dzień imienin Wielkiego Marszałka i tylko ta data pozostała, zapadł na zapalenie płuc, kiedy ojcu wręczano Order Odrodzenia, zdał do gimnazjum podczas odwiedzin Długoruckiego juniora, ciocia wystąpiła na przyjęciu w czarnej sukni z koronki. Prywatna historia Karola ginęła w gąszczu przyjęć, odwiedzin, uroczystych pogrzebów, imienin wielkich ludzi, rautów i tylko dzięki niej mogła być odtwarzana.

— Napiszę od razu. Krzysztof był zawsze dziwakiem i mógł cię nieodpowiednio skojarzyć.

— Dziękuję, ciociu.

Karola opływa łagodne ciepło, a przecież pamięta długie miesiące, kiedy chciał znać sztuczki magiczne. Przekręcę pierścionek na palcu i stanę się dla niej niewidzialny, a wtedy będzie musiała milczeć. Powiem trzy słowa z Biblii — mane-tekel-fares i już mnie przestanie poznawać, zamienię się — na przykład — w kamień przydrożny. W snach zapewniały mu niewidzialność głównie listki bzu, który kwitł w ogrodzie matki. Karol zjadał listki, trzeba je było połykać bez reszty, ale nie starczały na długo. Widzę już twoje stopy — krzyczała ciocia — nogi widzę, znowu nie myłeś nóg, poczekam jeszcze i zobaczę co masz w uszach! Karol radził sobie jak mógł, uciekał w głąb Puszczy Jodłowej z zapasem listków, ale musiał je oszczędzać, krzew był jeszcze młody.

— Zaraz po kolacji napiszę, jutro mogę zapomnieć. Zagórzańscy byli kiedyś z nami bodaj na Helu.

— Może ciocia poprosi między wierszami o półkę na książki.

— Z przyjemnością Karolu, chociaż powiem ci, że nie lubię zatłoczonych pokoi, meble powinny swobodnie oddychać.

Kochana ciocia ze starego brzegu, wciąż jeszcze wierzy w dawny świat, w którym stosunki rodzinne, znajomości zawierane w modnych miejscowościach, listy polecające, rozstrzygają o losach młodych, startujących w dojrzałe życie. Czuje się boleśnie dotknięta, śmiertelnie obrażona, nie poproszono jej, by zechciała łaskawie rezydować w nowych czasach, może nawet nie przyszło jej na myśl, że jakakolwiek epoka może się bez niej obejść.

— Masz rację ciociu, meble rzeczywiście powinny oddychać swobodnie, ale nie dam sobie rady bez półek, mam już sporo książek.

— Rozumiem, napomknę Krzysztofowi dyskretnie o półkach, jestem pewna, że chwyci aluzję.

— I może o nocnej lampce, dobrze ciociu? Wkuwam po nocach.

Ciocia uśmiecha się jak łaskawa królowa do lojalnych poddanych, jest im potrzebna, niezbędna w każdej życiowej sprawie. Matka podaje chudziutką kolację, cóż dużo mówić, wojna nas wyniszczyła, tylko kaszanka z cebulą pozostała, kiszone ogórki trzy jaja na twardo, nie więcej, suchy chleb, kilka wafli i cienka herbatka.

(Cdn.)

CZARNY ROMANS

„Jeden z osiemnastowiecznych krytyków nazwał panią Radcliffe wspaniałą czarodziejką „Tajemnic zamku Udolfo", Szekspirem powieściopisarzy i natchnioną autorką powieści romantycznych. Współczesny znawca jej twórczości mianuje ją wynalazczynią melodramatu w technikolorze oraz wielkim impresario piękna, cudowności i grozy" — pisze Zofia Sinko w posłowiu do powieści Ann Radcliffe (1764—1823) „Italczyk albo Konfesjonał Czarnych Pokutników". Powieść ta powstała w roku 1797 i była najbardziej poczytnym i cenionym dziełem pisarki, która literaturą zaczęła się parać z całkiem przyziemnych powodów. Po prostu mąż miał zajęte wieczory pracą w redakcji żona zostawała sama, i, aby się nie nudzić, zaczęła pisać długie powieści — romanse grozy. Taką też powieścią jest „Italczyk", powieść, która zaczytywano się nie tylko w Anglii. Znana była bowiem w licznych przekładach na kontynencie. W tym samym roku w którym się ukazała adaptowano ją na scenę, jej treść była również natchnieniem dla malarzy.

Czytelnik, który w tzw. powieści gotyckiej szuka grozy, znajdzie ją także w „Italczyku", ale będzie to groza, jeśli można tak powiedzieć, realistyczna. Nie ma tu upiorów, wampirów i innych jeszcze przedziwnych ziaw, grozę budzi sceneria powieści. Posępny, groźny pejzaż, tajemnicze, a ponure budowle, kryjące w swoich murach niejedną tajemnicę, lochy, klasztory o nie najlepszej sławie, wreszcie spora grupa złowrogich zbirów, nie cofających się nawet przed zbrodnią — oto tło, na którym autorka maluje historię trudnej miłości swoich młodych bohaterów. Jest tu nie jedno porwanie, ciągłe ucieczki, młodym kochankom śmierć nie raz zagląda w oczy, ale przecież finał będzie radosny. Zwycięży miłość, sprawiedliwość zatriumfuje, a my odłożymy przeczytanego „Italczyka" i będziemy dumać nie tylko nad romantycznymi dziejami Elleny i Vivaldiego, ale i nad zawiłościami gustów czytelniczych, które zawsze będą darzyć sentymentem miłosne perypetie dwojga kochanków, niezależnie od tego, w jakiej epoce one się rozgrywają.

Ann Radcliffe „Italczyk albo Konfesjonał Czarnych Pokutników", przełożyła M. Przymanowska, Wyd. Literackie, Kraków, 1977, tom I/III — cena zł. 60.—

ARCHEOLOGIA DOŚWIADCZALNA

Profesor Kazimierz Michałowski, wypowiadając się nie tak dawno w telewizyjnej audycji „Kto pyta nie błądzi", powiedział, że wprawdzie nie zgadza się z hipotezami Ericha von Danikena, ale musi przyznać, że dzięki niemu wzrosło ogromnie zainteresowanie archeologią. Publikacje traktujące o dalekiej przeszłości naszej cywilizacji istotnie cieszą się wielką popularnością. Wychodząc naprzeciw temu zainteresowaniu Państwowe Wydawnictwa Naukowe wypuściły na rynek księgarski — jako 227 tom Biblioteki Problemów — książkę Johna Colesa „Archeologia doświadczalna". Jest to pierwsza tego typu publikacja w Polsce.

Jak się okazuje — archeologia doświadczalna liczy już 150 lat. Zajmuje się ona odtwarzaniem — ściśle według zachowanych wzorów — dawnych zabytków przedmiotów i budowli, szukając prawdopodobieństwa stosowanych wówczas metod, które jednakże nie zostały zapisane. Dzięki tej metodzie postępowania poszerza się nasze zrozumienie przeszłości. Ale John Coles uczciwie przestrzega, że „powodzenie testu może jedynie wskazać na możliwość czy prawdopodobieństwo, że jakiś przedmiot spełniał taką funkcję w przeszłości, że jakaś praca tak właśnie wykonywano".

Archeologia doświadczalna w Polsce — jak pisze w posłowiu Maria Miśkiewiczowa — nie była dotychczas prawie zupełnie uprawiana. Pionierami tej dziedziny można uznać nieżyjących już profesorów Włodzimierza Hułobowicza i Zdzisława A. Rajewskiego. „Należy mieć nadzieję — pisze M. Miśkiewiczowa — że książka Colesa zdopinguje archeologów polskich do intensywniejszych działań na polu archeologii doświadczalnej". Powinna ona też wzbudzić zainteresowanie czytelników, jako że próbuje wyjaśnić wiele zagadek przyszłości sposobami nawiązującymi do starożytnych technik i metod postępowania. Wprawdzie nie daje odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące naszej przeszłości, ale pobudza fantazję, zmusza do krytycznego myślenia, sugeruje możliwości takich a nie innych wyjaśnień. Trzeba przy tym pamiętać, że starając się postępować według starożytnych możliwości współczesny człowiek zawsze pozostanie „skażony" cywilizacją XX wieku, co musi mieć przemożny wpływ na jego sposób myślenia, wnioskowania i dochodzeniach prawd, o których nie śniło się nawet naszym przodkom.

John Coles — „Archeologia doświadczalna", PWN, Warszawa 1977, str. 250, cena zł 26.—.

INNY ŚWIAT

Pytanie: czy jesteśmy sami we Wszechświecie — nurtuje nie tylko naukowców, ale też pisarzy. Przynajmniej tych, którzy zajmują się fantastyką. Naukowcy zgodni są co do tego, że nie można wykluczyć możliwości powstania życia w innych układach planetarnych, ale jak do tej pory nie mamy możliwości potwierdzenia tej hipotezy. Pisarze wychodzą dalej. Starają się wyobrazić sobie inne życie i inne światy. Naukowcy mają czasem za złe pisarzom, że rozbudzają wyobraźnię ludzką i wzniecają tęsknotę za kontaktem z Kosmitami.

„Nasza Księgarnia" już po raz dziewiąty opublikowała zbiór opowiadań fantastycznych w cyklu „Stało się jutro". Na ten dziewiąty zbiór zatytułowany „Kwiaty Albarossy" złożyły się opowiadania radzieckich pisarzy. Ponieważ są to książki przeznaczone dla młodego czytelnika dobiera się więc opowiadania bardzo starannie, dbając o ich poziom artystyczny. Tym warunkom odpowiada też zbiór dziewiąty, w którym znalazły się opowiadania Ilii Warszawskiego, Dymitra Bilenkina, Michała Griesznowa. W sumie sześć opowiadań prezentujących sześć różnych wizji innego świata.

Jaki jest ten inny świat? Czytelnik odpowie sobie sam na to pytanie, po lekturze „Kwiatów Albarossy". Każde zresztą z opowiadań prezentuje inną wizję. Ogólnie można powiedzieć że wszyscy są zgodni co do jednego: życie na innych planetach w innych układach planetarnych, pod innymi słońcami nie musi być kopią życia ziemskiego. A każdy z autorów ma nadzwyczajne i zaskakujące pomysły.

„Kwiaty Albarossy" — Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia", Warszawa 1977, str. 78, cena zł 12,—

WARTO PRZECZYTAĆ

Andrzej Biały „Kocio Letajew", Czytelnik, cena zł. 20.
Johannes Heigl „Czarna msza", Wyd. Poznańskie, cena zł 85.
Ryszard Kreyser „Fotografowanie na odwracalnych materiałach barwnych", WAiF cena zł. 35.
Jacek Turczałowicz „Lucjan Szenwald", PIW, cena zł 56.
Konstanty Pilejko „Prakseologia — nauka o sprawnym działaniu", PWN, cen zł 34.
Maria Sedmiograj „Inne niebo", LSW, cena zł 30.
Awdotia Panajewa-Gołowaczowa „Wspomnienia", WL, cena zł 85.
Edward Ałaszewski „Piłkarskie asy", WSiT, cena zł 140.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POMNIK JANA STANISŁAWA BYSTRONIA

Pierwsze wydanie **„Dziejów obyczajów w dawnej Polsce"** ukazało się w roku 1932. Było to jedno z ostatnich wielkich dzieł tego uczonego, który żył jeszcze... trzydzieści dwa lata. Niestety. Na lata te przypadło pięć lat okupacji, więzienie na Pawiaku, potem — w roku 1943 — śmierć jedynego syna, jeszcze później, w roku 1948, śmierć żony, a potem dwadzieścia lat wegetacji.

W roku 1948 **Jan Stanisław Bystroń** załamał się ostatecznie. Nastąpił wybuch nieuleczalnej choroby, co sprawiło, że w szczytowym momencie swojej kariery uczony musiał opuścić uniwersytet i pole pracy naukowej. Okrutny los skazał go na dwadzieścia lat powolnego umierania.

Wymowa dat jest tu również okrutna i zdumiewająca. **Jan Stanisław Bystroń**, urodzony w roku 1892, zmarł w 1964 roku, w wieku siedemdziesięciu dwu lat. Kiedy umierał, był więc starym człowiekiem.

Ale przecież dla nauki umarł ów wielki uczony w roku 1948, kiedy miał lat zaledwie pięćdziesiąt sześć.

Przez te lata zdążył dać polskiej kulturze **„Pieśni ludu polskiego"** napisane w wieku trzydziestu dwu lat, **„Wstęp do ludoznawstwa polskiego"**, **„Komizm"** czy wreszcie **„Dzieje obyczajów w dawnej Polsce"**.

Habilitował się **Jan Stanisław Bystroń** na podstawie pracy o zwyczajach żniwiarskich w dawnej Polsce, pracy napisanej w wieku dwudziestu dwu lat, uważanej do dziś za jedno z najlepszych studiów etnograficznych.

Jego kariera naukowa była błyskawiczna. Jeszcze przed trzydziestką doc. Bystroń obejmuje Katedrę Etnologii i Etnografii Uniwersytetu Poznańskiego, parę lat później zostaje profesorem krakowskiej Alma Mater, w roku 1934 przenosi się do Warszawy.

Stanisław Lam tak wspomina te warszawskie lata Bystronia: **„Miał czas na wszystko i dla wszystkich. Zawsze uśmiechnięty, dobrotliwie złośliwy i nierzadko sarkastyczny, pierwszorzędny anegdociarz, niezastąpiony towarzysz w posiedzeniach kawiarnianych przy stole"**... W tym czasie Bystroń znakomicie łączył działalność pisarską, zajęcia dydaktyczne na uniwersytecie oraz prace redaktorskie.

Miał do perfekcji opracowaną organizację pracy i świetnie zorganizowany warsztat naukowy. Miał liczne, na bieżąco uzupełniane kartoteki. Plotka głosiła, że zawsze kupował dwa egzemplarze każdej interesującej go książki. Jeden egzemplarz trafiał na półki biblioteki, drugi, pocięty na fragmenty, trafiał do odpowiednich kartotek.

Jan Stanisław Bystroń miał solidną kindersztubę naukową i nawyki, których nie wyszłaci żaden uniwersytet. Znany etnograf cieszyński, zbieracz pieśni ludowych **Andrzej Cinciała** (1825—1898) był po kądzieli dziadkiem Jana Stanisława. Ojciec natomiast, **Jan Bystroń** (1860—1902) to z kolei krakowski profesor, również etnograf i językoznawca, członek Akademii Umiejętności.

Jan Stanisław Bystroń był więc uczonym i etnografem w trzecim już pokoleniu. I tym rodzinnym tradycjom zawdzięczamy zapewne w dużym stopniu fakt, że w stosunkowo niedługim czasie polska kultura otrzymała od Bystronia wielkie, syntetyczne dzieła.

I dlatego tym większym smutkiem napawa nas świadomość, że okrutny los wyrwał dwadzieścia najlepszych, twórczych lat z życia wybitnego uczonego. Ostatnio PIW wznowił „Dzieje obyczajów". Jest to drugie już powojenne wydanie tego wielkiego dzieła, ale pierwsze wydanie w masowym, 20-tysięcznym nakładzie. I to jest chyba najlepszy hołd i najpiękniejszy pomnik dla **Jana Stanisława Bystronia.**

WIDOK

LEWYM OKIEM

LEKTURY WIELKANOCNE

Jest lany poniedziałek, ale ponieważ śniegu napadało sporo i z dachów leje się strumieniami, nikt już do dodatkowego lania nie ma ochoty i zdaje się, że wszystko skończy się na zwiększonej porcji ludoznawczych wydziwiań w prasie. Wczoraj — w wielkanocną niedzielę — nie obudziły nas rankiem kalichlorkowe wybuchy, od których dawniej szyby się trzęsły i ludzi ogarniały niemiłe skojarzenia. Nie żal nam wcale tych tradycji i szybką ich atrofię odnotowujemy raczej z sympatią.

Gorzej, że zanika również tradycja rzetelnej, sprawdzonej w najmniejszych szczegółach informacji. **„Panorama Północy"** w swym świątecznym numerze, wymieniając w rubryce **„Na półkach księgarskich"** kilka najnowszych tytułów, podaje taką na przykład wzmiankę: **„Proza" Leona Gomolickiego. Wybór prozy zapomnianego już dzisiaj pisarza. Wydawnictwo Łódzkie. Cena 50 zł.**

Rubrykę na pewno prowadzi jakiś wyspecjalizowany fachowiec. Fachowiec pomylił zapewne Wiktora Gomulickiego (1848—1919), nie całkiem zresztą zapomnianego, bo jego **„Opowiadania o starej Warszawie"** wydano pięknie po wojnie z ilustracjami samego Kostrzewskiego, z Leonem Gomolickim, świetnym, żyjącym w Łodzi pisarzem, na szczęście wciąż jeszcze bardzo czynnym, autorem powieści bardzo wysoko cenionych przez krytykę. Ale fachowiec z **„Panoramy Północy"** nie słyszał, nie wie, macha lekkomyślnie piórkiem i dezinformuje. Radzimy fachowcowi przeczytać dużą, zasadniczą rozprawę Jerzego Rzymowskiego o Leonie Gomolickim, wydaną niedawno w tymże Wydawnictwie Łódzkim. Może wreszcie przestanie patrzeć hen w dal ponad głowami prawdziwych ludzi i zdarzeń.

A znów w świątecznej **„Chłopskiej Drodze"** pani H. Kozicka relacjonuje spotkanie pisarzy łódzkich z władzami województwa sieradzkiego, dorzuca parę komplementów o imprezach towarzyszących spotkaniu i pisze: **„Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazuje się interesująca seria „Biblioteka poetycka", a wśród niej „Wspólnota" Andrzeja Biskupskiego, „Próba wierności", Mieczysława Kuczery, „Tylko słowa" Jerzego Wilmańskiego".**

Skąd jednak pani H. Kozicka wie, że seria jest interesująca, skoro nie wie, że nie istnieje żaden Mieczysław Kuczera, natomiast istnieje i publikuje dobre wiersze poeta Mieczysław Kucner? Pani Kozicka nigdy o nim nie słyszała, spisała nazwisko na wystawie w Sieradzu, a potem wróciła do domu i nie mogła odczytać. Co tam, takie głupstwo, nie?

Wspomniany wyżej poeta Jerzy Wilmański w świątecznym numerze **„Karuzeli"** ubolewa nad ciężkim losem pracujących kobiet i podaje: **„Obliczono, że Polki poświęcają na pracę w gospodarstwie domowym od 80 do 90 godzin tygodniowo"**. To straszne. To znaczy, że z 24 godzin przeszło połowę, bo 12,3 — zajmuje gospodarstwo domowe. Jak taka kobieta ma siłę zmieścić w pozostałych 12 godzinach pracę zawodową, sen, dojazdy, jedzenie i telewizję — to już nie wiem.

Z laje mi się natomiast, że wiem dlaczego — jak podaje w świątecznym numerze **„Literatura"** — na ostatnim turnieju recytatorskim mówiono najczęściej wiersze B. Leśmiana, J. Tuwima i K. I. Gałczyńskiego. Chyba nie dlatego, czy też nie tylko dlatego, że — jak pisze **„Literatura" — „ani jednej antologii poezji nie uświadczysz, a winno ich być kilkanaście"**. Chyba także dlatego, że w ogromnej lawinie publikowanych w czasopismach i w zbiorkach utworów poetyckich „nie uświadczysz" wierszy, nad którymi można by się zatrzymać, które by wlazły w pamięć i nie dawały się zapomnieć, którymi chciałoby się mówić zamiast własnych, mniej poradnych, mniej giętkich słów. Trzeba by nad tym pomyśleć. Ale oczywiście nad antologiami też, proszę bardzo. Tylko obawiam się, że uczestnicy turniejów recytatorskich kupią antologię wierszy najnowszych, a recytować będą nadal tamte. Bo ja wiem, czy to taka wielka strata...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KARA I CHWAŁA

W „Życiu Warszawy" przeczytałem taką wiadomość:

„Za niesportowe zachowanie trenera Stali Rzeszów — Mieczysława Kruka wobec sędziego, klub zapłaci 2 tys. zł grzywny".

Przeczytałem sobie i pomyślałem, że nie darmo lud polski wymyślił dawno temu przysłowie, **„kowal zawinił, Cygana powiesili"**. Jednakże lud polski wymyślił wiele różnych porzekadeł na taką okoliczność. Na przykład już w XIX wieku wiedziano, że **„gdzie wszyscy winni, tam nie ma winnego"**. W tym samym czasie sądzono, że **„gdzie nie ma kary, tam nie ma miary"**. Mądrości ludowej nie należy nigdy lekceważyć.

Nie wiem, jak zachował się Mieczysław Kruk wobec sędziego piłkarskiego, chyba wyraził się nieparlamentarnie, ale wiem, że nie Mieczysław Kruk poniósł karę. Poniósł ją klub. Ale dlaczego? — tego też nie wiem. W końcu nie klub źle się zachował wobec sędziego, a konkretna osoba, czyli Mieczysław Kruk osobiście. Tak przynajmniej wynika z doniesienia „Życia Warszawy". Dlaczego więc za winy M. Kruka karze się klub? Niech to pytanie pozostanie bez odpowiedzi, ale nad metodą karania — jeśli już trzeba kogoś karać — warto się zastanowić.

W Krakowie niedawno zdarzył się przezabawny incydent. „Dziennik Polski" z okazji Dnia Kobiet pochwalił kierowniczkę baru „Fregata" — Marię Bochenek za przestrzeganie dyscypliny pracy. Natomiast „Echo Krakowa" doniosło tego samego dnia, że WSS „Społem" ukarało tą samą Marię Bochenek za... nieprzestrzeganie dyscypliny pracy, a mianowicie — konkretnie — za samowolne skracanie czasu pracy. Można byłoby tę całą sprawę skwitować porzekadłem o tym, że **„nie wie lewica, co czyni prawica"**, gdyż nie można przypuszczać, aby „Dziennik Polski" i „Echo Krakowa" wymyśliły sobie bohaterkę dla pochwał i kar, a otrzymały o niej informacje od tegoż WSS „Społem" w Krakowie. Widocznie każdy brał informacje u kogoś innego. Ale skwitować tego tak nie można, gdyż nasuwa się refleksja na temat pochwał. Kogo i za co trzeba chwalić? Czy wystarczy publicznie chwalić za solidne lub tylko spełnianie obowiązków? W moim przekonaniu to już nie wystarcza.

Powodem do pochwał powinna być ta ludzka działalność, która wyrasta ponad przeciętność. Jeśli mamy upowszechniać takie postawy, które byłyby wzorem do naśladowania, to przecież nie musimy pokazywać ludzi przeciętnych, których jedyną zasługą jest to, że się nie wychylają i robią to, co im kazano. Przestrzeganie dyscypliny pracy jest obowiązkiem a nie zasługą. Można znaleźć aż nadto przykładów na to, że ludzie robią więcej niż się od nich wymaga i warto ich za to chwalić.

„Żywocik Gospodarczy" na łamach „Życia Gospodarczego" doniósł, że zakłady „Mera" w Błoniu pochwaliły się, że zaspokajają zapotrzebowanie krajowe na drukarki wierszowe i mozaikowe do maszyn cyfrowych i nawet je eksportują. Natomiast dyrektor Zjednoczenia Informatyki zdementował te pochwały, donosząc, że w Błoniu od dawna leżą jego zamówienia i są nie realizowane.

„Gdyby powstał w Polsce zwyczaj — komentuje „Żywocik Gospodarczy" **— że na przechwałki zakładów produkcyjnych reagują ich odbiorcy, to ludzie odpowiedzialni za produkcję nauczyliby się przynajmniej odpowiedzialności za słowo, które jest podstawą poczucia odpowiedzialności w ogóle".**

Biernat z Lublina przestrzegał już w 1522 roku: **„Nie mów pyszno, być na złe nie wyszło"**. Tę maksymę powinni wziąć sobie do serca wszyscy dyrektorzy, których bierze ochota pochwalić się publicznie, jak to ich zakład dobrze pracuje. A gdyby tak chwalili ich inni? To byłoby lepsze. Współczesne nam przysłowie głosi bowiem: **„Chcesz się dowiedzieć prawdy o sobie, pokłóć się z przyjacielem"**. W przemyśle jednakże trudno o przyjaciół, tu każdy bowiem głównie patrzy swego interesu. Mimo wszystko niech nas chwalą inni, niż byśmy się mieli sami chwalić.

W „Wieczorze z Dziennikiem TV" pokazano niedawno zakłady „Polo" z Kalisza. Występująca przed kamerami plastyczka z tej fabryki oświadczyła, że kiedy otrzymują przędzę nie tej barwy, jaką zamówili, to przeznaczają ją dla produkcji krajowej, domagając się dla eksportu właściwej barwy. Natomiast krajowym odbiorcom, czyli przedsiębiorstwom handlowym, płacą kary konwencjonalne. Należy przypuszczać — a taka przynajmniej powinna być praktyka — że sami domagają się kar konwencjonalnych od producenta przędzy, którą dla nich jest łódzka „Bistona". I tak pieniądze krążą sobie po Polsce i nikt nie jest winny. Na tę okoliczność mogę tylko przypomnieć cytowane już przysłowie z XIX wieku, które głosi, że **„gdzie wszyscy winni, tam nie ma winnego"**.

I istotnie, bowiem w tej samej audycji przedstawiciel „Bistony" udowodnił, że kaliskie „Polo" ma do wyboru kilkadziesiąt różnych kolorów, a zamawia tylko kilka czy kilkanaście.

Klient patrzy na to wszystko i myśli. Ale co on myśli, to już jego sprawa...

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Pisz pan: grajek...

Wziąłem pod pachę kilka longplayi Armstronga i Elli Fitzgerald, wsiadłem w autobus „K" i pojechałem na Retkinię. I w ten oto sposób wielkanocny wieczór spędziłem w wyższych sferach, czyli w towarzystwie muzyków i muzyczek przez duże M. Jednym słowem: ludzie z wyższym muzycznym, lub średnim, ale jeśli już to ostatnie, to tylko z wyższymi aspiracjami. Kiedy Louis Armstrong pod drzwiami lokalu „Lincoln Gardens" na rogu Trzydziestej Pierwszej Alei i Cottge Grove Avenue zrobił siusiu — co było wynikiem nie tyle potrzeby fizjologicznej ile dowodem protestu, przeciw publiczności Lincoln Gardens zajmującej się wszystkim tylko nie słuchaniem muzyki — został zaaresztowany.

— Pójdziesz ze mną ty czarny nygusie — powiedział policjant i zaprowadził Louisa do aresztu. W sądzie sędzia zapytał: jaki zawód ma oskarżony? Jestem wielkim muzykiem i wejdę do historii muzyki — rzekł Louis.

— Wyższe muzyczne posiada?

— Nie.

Sędzia zwrócił się do protokolanta i konfidencjonalnym szeptem powiedział: w rubryce zawód, PISZ PAN GRAJEK. Wyższe sfery wśród których przebywałem w wieczór wielkanocny jednomyślnie skrzywiły się, kiedy opowiedziałem im tę anegdotkę, a jeszcze bardziej skrzywiły się kiedy zobaczyły moje płyty. Schowałem więc płyty po tym pierwszym nieudanym podejściu i zaczęło mi się wydawać, że mężczyznom siedzącym za stołem rosną piersi, a kobietom wąsy, że mężczyźni mówią sopranem koloraturowym, a kobiety basem. Kiedy panu domu urosły piersi wielkości małej siódemki, a pani domu wąsy Piłsudskiego uspokoiłem się i wszystko wróciło do normy. Zmieniłem więc temat rozmowy i zrelacjonowałem zebranym jak wielkie wrażenie wywarł na mnie duet Normy i Aldagizy w operze Belliniego śpiewany przez Marylin Horne i Joan Sutherland. Marylin Horne nie znali. Wyjaśniłem, że jej to właśnie głos słyszeliśmy w wyświetlanym na polskich ekranach filmie „Czarna Carmen". Pani domu, która dla swojego męża była symbolem uduchowionego powołania kobiety jako twórczej inspiracji mężczyzny stwiedziła, iż w kinie Polonia wentylacja jest straszna. Wtedy wyobraziłem sobie panią domu jak ze stoiska samoobsługowego DH „Central" kradnie tabliczkę czekolady. Uspokoiłem się w momencie, kiedy została przyłapana przez czujną ekspedientkę.

— A wiecie państwo, że fenomenalna śpiewaczka Elizabeth Schwarzkopf urodziła się w Jarocinie pod Poznaniem?

Nie wiedzieli. Dorzuciłem więc szybko, że Erna Sack zwana najwyższym sopranem świata śpiewała część arii Zerbinetti w „Ariadnie na Naksos" o oktawę wyżej niż napisał kompozytor, a w lżejszych utworach śpiewała aż do czterokreślnego C.

— Na przykład? — z niedowierzaniem zapytał gość domu o nazwisku M. Eloman.

— Na przykład w filmie „Nanon" z muzyką Aloisa Melichara. Siedzący naprzeciwko mnie mgr I. N. Telektualista zdjął okulary i wyjąkał ze zdumieniem: „Tto niemożliwe... ttc prze...kracza ludzkie mm możliwości" I wtedy uznałem, że w końcu nadeszła moja chwila i wyciągnąłem płytę Elli Fitzgerald z nagraniami „How High the Moon", „Lady Be Good" i „Air Mail Special". W tym właśnie ostatnim temacie Ella przekracza barierę dźwięku, śpiewa w górnych rejestrach na granicy cyrkowej ekwilibrystyki, jest perfekcyjnie czysta technicznie, zachowując przy tym serce, głębię i swing. Brytyjski krytyk jazzowy Mike Butcher pisał o niej: „Weź kilka różnych nagrań Elli i uważnie je przestudiuj. Jeśli znajdziesz choć jeden błąd w technice wokalnej czy stylu, będziesz bardziej krytyczny od wszystkich krytyków razem wziętych".

Z patefonu płynął głos Elli, głos o niezwykłej piękności; wariacje rytmiczne, vibrato, skłębie ie bólu i żalu, skomplikowany kształt frazy, a jednocześnie prosty jak świat i gwiazdy, autohipnotyczny czar sentymentalnego romansu, a zarazem atrakcyjność fizycznej strony miłości. Muzyka nie mieszcząca się w czasie i przestrzeni.

— Ale wrzask. Co to jest? — powiedziała zimno słynna debiutantka operowa, mgr W. Oda — Sodowa z zapałem żująca gorące udko kurczęcia. Zacytowałem jej Armstronga, który na podobne pytanie odpowiedział: Man, when you got to ask what is it, you'll never get to know (człowieku, nigdy nie dojdziesz do tego, co to właściwie jest). Towarzystwo jadło cielęcinę na zimno. Przy schabie zaczęto omawiać intelekutalne kontrowersje współczesnej Ameryki, przy bigosie kulturę masową, która wobec kultury wyższej jest jedynie i wyłącznie pasożytem. Przy koniaku i kawie mówiono trochę o męskim erotycznym wyuzdaniu i o braku wazeliny na rynku. Później zastanawiano się nad podniosłą funkcją macierzyństwa jako fundamencie trwałości małżeństwa i o tym że włoszczyznę można dostać taniej w halach. Przy torcie wrócono jeszcze na chwilę do satysfakcji seksualnej i do tego, że wśród mężatek stosunki przedmałżeńskie miało około 50 proc. w grupie kobiet ze średnim wykształceniem. Na jakie seksualno-erotyczne karesy pozwalają sobie panie z wyższym wykształceniem nie rozmawiano, ponieważ wszystkie panie w towarzystwie miały — jak już pisałem — wyższe. Jeden z panów filuternie określił różne aspekty miłości i opowiedział dowcip o panu, pani, cytrynie i języku.

— Ja też się uczę języka angielskiego — pochwaliło się nierozumne pacholę siedzące przy końcu stołu, syn adiunkta Z. Bytt-Łustego. Ta wypowiedź otrzeźwiła zebranych przypominając, że w pokoju są również dzieci.

— A co pan sądzi o scenografii naszego słynnego Al. Koholika i reżyserii naszego miłego N. Aiwnego — spytał mnie pan domu. Obrażony brakiem zainteresowania muzyką Elli Fitzgerald, blady na twarzy, trzesącymi rękoma chowałem płyty i krzyczałem: Oleodrukowa i makietowa, zabudował scenę jak nogę w bucie ortopedycznym, a reżyseria landrynkowa i lukrowana, nieznośnie naiwna i absurdalnie przesentymentalizowana...

Ostatnie słowa wykrzyczałem już na schodach ponieważ w międzyczasie wystawili mnie za drzwi, a płyty i płaszcz położyli na słomiance. Przez chwilę miałem zamiar zrobić im to samo co Armstrong pod drzwiami „Lincoln Gardens", ale zaciął mi się ekspres od spodni, więc zrezygnowałem. Przez drzwi dobiegały mnie odgłosy dyskusji na temat czy Murzyn mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wyobraziłem sobie jak panom wyrastają wielkie rogi (przyprawione przez żony). Przyjęcie się kończy, a oni z powodu rogów nie mogą wsiąść do swoich „Fiatów", „Wartburgów" i „Dacii", podjeżdżają ciężarówki (bez plandek) rogi się mieszczą, panowie też i całe towarzystwo odjeżdża na bezludną wyspę. Ja też wróciłem, położyłem się spać i rano poszedłem szczęśliwy do swojej roboty. Bowiem największym szczęściem, jakie możesz osiągnąć, jest wiedza o tym, że szczęście nie jest ci konieczne potrzebne.

Foto: Archiwum

SMOKIE

To był rok 1967. Wielotysięczne tłumy publiczności przed Salą Kongresową warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, zatarasowane jezdnie na Marszałkowskiej i Alejach Jerozolimskich, astronomiczne ceny biletów kupowanych już tylko u koników. Jednym zdaniem: Rolling Stonesi na występach w Polsce, Mick Jagger, Brian Jones, Keith Richard, Charlie Watts, Billy Wyman — tworzący zespół Rolling Stones, byli wówczas u szczytu sławy. Zespół wylansował w tym czasie takie utwory jak: Satisfaction, Paint it Black, Ruby Tuesday, The Last Time, Come on, Let's Spend the Night Together i inne. Nie dziwię się temu olbrzymiemu zainteresowaniu polskiej młodzieży Rolling Stonesami, bo przecież kiedy w czerwcu 1969 r. zmarł tragicznie Brian Jones, a zespół dla uczczenia jego pamięci wystąpił na specjalnym koncercie w londyńskim Hyde Parku to program ten (do grupy doszedł wówczas Mick Taylor) oglądało „na żywo" ok. 300 tysięcy widzów.

Przypomniałem sobie ów występ w Polsce Rolling Stonesów, bowiem 10 lat później szykuje się nowa muzyczna bomba sezonu. Do Polski przyjeżdża w kwietniu br. największa chyba rewelacja brytyjskiego rynku muzyki pop ostatnich lat, a mianowicie SMOKIE.

Ostatnie przeboje tej grupy znane są polskim melomanom, słuchaczom radia i bywalcom dyskotek. Utwory w wykonaniu SMOKIE jak: If You Think You Know How To Love Me, Wild Wild Angels, czy piosenki znajdujące się na longplayach „Pass It Around", „Changing All The Time" i „Midnight Cafe" sprawiły, że w plebiscycie muzycznego magazynu „Der Musikmarkt", zespół SMOKIE wyprzedził tak popularne zespoły jak „Sweet" i „George Baker Selection" — zajmując czołowe miejsce wśród najpopularniejszych zespołów pop-music 1976 roku.

SMOKIE wystąpią również w Łodzi, 24 kwietnia br. w Hali Sportowej i będzie to znakomita możliwość konfrontacji artystycznej z Procol Harum, czy The Mud (zespołami, które w ubiegłym sezonie również koncertowały w Łodzi) oraz możliwość sprawdzianu ich muzyki znanej dotąd wyłącznie z dyskotek, radia i nagań fonograficznych — z koncertem muzyki żywej.

Profesjonalny warsztat, estradowa brawura, muzyczny show z elementami humoru w wykonaniu grupy SMOKIE wznowi stały cykl „Gwiazdy światowej rozrywki", który cieszył się wielkim powodzeniem łódzkich melomanów w minionym sezonie estradowym.

Ubiegłoroczny koncert Procol Harum zwrócił uwagę na ambitne kierunki współczesnej muzyki pop, precyzję wykonania, kulturę muzyczną zespołu i perfekcję wokalnej techniki Gary Brookera.

Nawet dla mnie, bądź co bądź obeznanego trochę z pop-music była to świetna impreza, która przełamała pewien stereotyp oceny Procol Harum. Stereotyp powstały z kojarzeniem produkcji Procol Harum z ich najpopularniejszym utworem „A Whiter Shade of Pale" (Bielszy odcień szarości), który w latach 60 był — oprócz przebojów Beatlesów — najbardziej ulubioną melodią wszelkich młodzieżowych, towarzyskich przyjęć, bez którego nie obyła się żadna szanująca się „prywatka'.

Z kolei The Mud zaskoczył mnie efektowną choreografią, estradową dynamiką, taneczną pasją, szaleńczymi pomysłami pirotechnicznymi, efektami świetlnymi, które stanowiły dodatkowy argument działań artystycznych, działań „niewidocznych" na nagraniu płytowym, które rejestruje dźwięk, ale nie jest w stanie zarejestrować tej specyficznej atmosfery koncertu — show przed wielotysięczną publicznością. Ostatnio oglądałem koncert Brotherhood of Man oraz sensację tegorocznego MIDEM w Cannes — grupę Manhattan Transfer. Były to prawdziwe widowiska muzyczne, gdzie pracę wokalistów i muzyków w równym stopniu wspierał nie tylko reżyser i choreograf, ale też... projektant strojów.

Zmierzając więc do banalnej zresztą pointy, że żadne nagranie płytowe, czy radiowe, nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu widza z wykonawcą — z nadzieją dużych wrażeń artystycznych (ale i z jednoczesnym niepokojem) oczekujemy łódzkiego koncertu grupy SMOKIE.

A.

WYPISY ŁÓDZKIE

STANISŁAW WASYLEWSKI

SKĄD SIĘ WZIĘLI NIEMCY w ŁODZI?

Granica celna wprowadzona między Kongresówką a Wielkopolską wbrew wyraźnym postanowieniom Kongresu Wiedeńskiego pozbawiła zarobku i możności eksportu liczne warsztaty chałupnicze tkackie Niemców śląskich i poznańskich. W województwie kaliskim i warszawskim istniały już w w. XVIII próby żywszej organizacji sukiennictwa. Melchior Górowski z Władysławowa, organizator cechu tkackiego, nazywany był przez pracujących tam tkaczy niemieckich „graf Berg". W Łasku pracowało w roku 1803 około stu rodzin tkackich, sprowadzonych z Niemiec. Nawiązując do tych pierwocin Rząd Królestwa Polskiego ogłosił 3 maja 1817 publicandum, regulujące sprawę imigracji rzemieślników z Niemiec i ułatwienia w osiedlaniu się ich. Zaczynały się realizować pomysły Staszica i innych pionierów uprzemysłowienia rolniczego kraju.

Początek masowej wędrówki tkaczy i sukienników z Niemiec przypada na lata 1817—1818, najpierw w okolicach Częstochowy (Kamienica Polska). Pierwsze na większą skalę warsztaty tkackie inicjują przybysze w Zgierzu pod Łodzią. Za tym przykładem idą Pabianice, Tomaszów i Łódź. Na wiosnę 1824 akcja osiedleńcza wzrasta. Pierwsza kompania złożona z 15 osób przybywa do Łodzi (liczącej 800 mieszkańców) z Rumburga w północnych Czechach.

Minister skarbu, pamiętny z energicznej ręki, Drucki-Lubecki, woła z trybuny sejmowej: — Sto pięćdziesiąt tysięcy rąk roboczych przybyło z Niemiec, i mimo podnoszonych zastrzeżeń, że to może być groźne na przyszłość, daje wyraz przekonaniu, że ten import fachowego rzemieślnika przyczyni pomyślności przemysłowi polskiemu, a przybysze ulegną powolnej asymilacji.

Gdy w umowie celnej 1825 roku między Prusami a Rosją pozostawiono cła ochronne na tekstylia śląskie i poznańskie, gdy przybył do Łodzi z Saksonii Ludwik Geyer, pierwszy u nas organizator tkactwa i przędzalnictwa nowoczesnego, Łódź wysunęła się na czoło przemysłu tekstylnego i weszła w fazę świetnego rozwoju.

Skąd się rekrutowali przybysze ci, których w roku 1840 liczono w przędzalniach bawełnianych zagłębia łódzkiego 15.749 rodzin? W przeważającej ilości przybywali oni z Dolnego Śląska (ok. 74 proc.), gdzie głodowali na skutek bezrobocia. Reszta — z Sudetów, Badenii, Saksonii oraz garstka Niemców nadnoteckich. W przeważającej większości byli katolikami, odpadła więc zasadnicza przeszkoda rychłej polonizacji. Horoskopy daleko patrzącego ministra Druckiego-Lubeckiego, oparte na głębokiej wierze w siłę asymilacyjną narodu polskiego, miały się sprawdzić w pełni w pokoleniach następnych.

(Stanisław Wasylewski, Życie polskie w wieku XIX, wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1963, str. 381—383).

Wybrał: HENRYK RUDNICKI

BOHDAN PIĄTKOWSKI

Spowiedź dziennikarza - humorysty

Od kiedy objąłem wakujący etat w redakcji czasopisma „Uśmiech Polski" znajomi witają mnie stłumionym chichotem, przerywają rozmowę na tematy zasadnicze i niedwuznacznie dają do zrozumienia, że chętnie usłyszeliby jakąś szampańską anegdotę. A ja, nieborak, kłaniam się i przechodzę na drugą stronę ulicy ponieważ:

1.

Opowiadanie rzeczy śmiesznych z konieczności muszę traktować jako profesję; niestety, o ile większość ludzi rozumie, że zwracanie się z prośbą o diagnozę do poznanego na raucie lekarza jest szczytem nietaktu, o tyle wydaje im się zupełnie naturalne, że dziennikarz, którego zawodowym obowiązkiem jest pisanie zabawnych historyjek — z przyzwyczajenia powinien w godzinach pozasłużbowych strzelać dowcipami na prawo i lewo.

2.

Praca w „Uśmiechu Polskim" bynajmniej nie nastraja żartobliwie, wręcz przeciwnie. Zawistni koledzy, dążąc do bezlitosnego wykończenia konkurentów, już od rana dzielą się opowieściami czarnymi jak noc i tchnącymi nastrojem skondensowanej makabry, z lubością odczytują z gazet opisy wstrząsających wypadków i streszczają budzące grozę powieści, przy których „Biesy" Dostojewskiego wydają się lekturą niefrasobliwą i wręcz figlarną. Cóż więc dziwnego, że po powrocie do domu długo siedzę wciśnięty w kącik, gdzie zażywam „Librium" i „Meprobamat", które obficie zapijam miksturą bromową i „Nervosolem".

3.

Od dnia, kiedy podjąłem pierwsze honorarium za anegdotę opublikowaną w prasie zrozumiałem, jak strasznie błądziłem w okresie, kiedy za darmo trwoniem najcenniejsze perły dowcipu, na jakie było mnie stać. Niestety, w zawodzie humorysty prywatna praktyka jest wykluczona, może dlatego, że referat podatkowy Wydziału Finansowego słusznie pogardzałby dochodami z tak podejrzanego źródła.

4.

Nie wiem, co właściwie mógłbym prywatnie opowiadać bez narażenia się na nieprzyjemności. Jeżeli są to stare dowcipy z „Umiechu" — spotykają mnie niezasłużone przykrości natury towarzyskiej, natomiast jeżeli cytuję żarty z numerów, które jeszcze nie ukazały się w sprzedaży, mogę być oskarżony o zdradę tajemnicy służbowej, co pociągnęłoby za sobą dyscyplinarne zwolnienie z pracy i odpowiedzialność karną.

Wreszcie i to jest istotne, że nie należę do ludzi obdarzonych błyskotliwym dowcipem, posiadających umiejętność szybkiego znalezienia ciętej riposty.

Dlatego też pracuję w czasopiśmie satyrycznym.

POWIĘKSZENIA

ZAWADA i ZASADA

Zbigniew Kwiatkowski pisze w **„Życiu Literackim"** o wątpliwych moralnie i dydaktycznie zasadach inż. Zawady z serialu **„Znaki szczególne"**. Chodzi o historię z fałszywym oskarżeniem szantażysty o kradzież w imię wyższych racji.

Rację ma Kwiatkowski, tylko szkoda, że oglądał film bardzo nieuważnie, a właściwie chyba tylko ten odcinek i to też z przerwami. Otóż inż. Zawada włożył szantażyście do torby nie magnetofon, lecz radio, o czym kilkakrotnie wyraźnie się mówi. „Zakochana w inżynierze sekretarka karmi mu kota" — to prawda, ale jest ona zakochana w zupełnie innym bohaterze serialu i kot też wcale nie jest Zawady.

Niewątpliwie racje dobrze jest odbudowywać niewątpliwymi faktami.

POCZTA „POWIĘKSZEŃ"

Kochane „Powiększenia"!

„Ekspertyza sołtysa" („Odgłosy" nr 15) miała — jak sądzę — wieńczyć wręcz bezprzykładne zainteresowanie wielce poważnego Tygodnika słynnym już incydentem w Dalabuszkach. Godzi się jednak podać, że notka tyleż zabawna co przewrotna, przedstawiła z niczym nie usprawiedliwioną złośliwością rolę pracowników naukowych **Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali PŁ.** Naukowcy, zresztą nie tylko łódzcy, nie zasłużyli sobie na pokpiwanie z ich pracy i autorytetu, za to że podjęli się ekspertyzy znaleziska, które przecież wzbudziło prawdziwą sensację w całym kraju i zapoczątkowało wyraźny wzrost zainteresowania prasy, radia i telewizji problematyką niezidentyfikowanych obiektów latających zwanych UFO. Gwoli ścisłości podam też, że właśnie łódzcy naukowcy od początku powątpiewali w możliwość pozaziemskiego pochodzenia owego „spodka z Dalabuszek" i wskazali, że może pochodzić z odlewni w Gostyniu.

Uprzejmie przypominając za Jakubem Jasińskim, że „jeśli sztuka prócz śmiechu nic nie daje w życiu — nie warto by się człowiek trudził w jej nabyciu", gorąco się polecam na przyszłość. Kochanym „Powiększeniom".

KONRAD TUROWSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 816. W-2